

JAKUB CZARNY

PAN SAMOCHODZIK

I...

EL GRECO

PS-93

JAKUB CZARNY

PAN SAMOCHODZIK

I...

EL GRECO

PS-93

WSTĘP

Sprawa el Greca zakończyła się ostatecznie dopiero kilka miesięcy po owym pamiętnym czerwcu, kiedy się nią zajmowałem.

Ranną pocztą w upalny poranek przyszła do Departamentu Ochrony Zabytków w Ministerstwie Kultury i Sztuki kartka pocztowa z napisem „Pozdrowienia z Siedlec” i zdjęciami zabytków miasta, gdzie przechowywana jest „Ekstaza św. Franciszka” el Greca. Po drugiej stronie tekstu było niewiele:

Panie Pawle!

Dziękuję za okazane zaufanie i pomoc. Pana pomysł był bardzo dobry. Wszyscy są zadowoleni. Niech Pan kiedyś do nas wpadnie. Serdecznie pozdrawiam!

Pod tym lakonicznym komunikatem nie było imienia nadawcy, a tekst napisano na maszynie, która „r” drukowała nieco powyżej reszty liter, „o” przez nią wybite miało nacięcie u dołu, a litera „j” była bez kropki. Doskonale jednak wiedziałem, kto wysłał tę kartkę. Uśmiechnąłem się do siebie, bo decyzja, którą podjąłem kilka miesięcy temu, była bardzo ryzykowna. Na szczęście opłaciło się.

Pan Tomasz, który pił poranną kawę przeglądając jedno z branżowych pism, oderwał wzrok od tekstu i powiedział:

- Słuchaj, tu jest bardzo ciekawy artykuł o „Madonnie” Memlinga... - popatrzył na mnie uważnie.
- Co cię tak ucieszyło? - zapytał.
- Dostałem kartkę z Siedlec...
- Od dyrektora Jankowskiej?
- Nie. Pamięta pan osobę, o którą tak bardzo się wtedy kłóciliśmy?

Twarz pana Tomasza przybrała wyraz, który pojawiał się na niej zawsze, gdy się ze mną nie zgadzał.

- Oczywiście, że pamiętam. Uważam, że postąpiłeś nieodpowiedzialnie.
- Sporo ryzykowałem, to prawda... Ale czas przyznał mi rację.

Pan Samochodzik nie odpowiedział. Już tylko trochę nachmurzony zagłębił się znów w lekturze.

Odchyliłem się na fotelu, położyłem ręce na karku i odwróciłem od okna, przez które wpadały ostre promienie słońca. Wsłuchałem się w szum klimatyzacji, powodującej, że w pomieszczeniu panował miły chłód.

Przed oczami stanął mi dzień, gdy zaczęła się przygoda z el Grekiem.

Siedziałem w tym samym miejscu, ale pocilem się niemiłosiernie, bo nie mieliśmy jeszcze klimatyzacji, a upały były chyba jeszcze bardziej dokuczliwe niż teraz.

Pan Tomasz wpadł jak szalony do mojego gabinecziku na końcu korytarza w Ministerstwie Kultury i Sztuki i zawołał:

- Pawle! Mam dla ciebie nowe zadanie! Chodzi o siedleckiego el Greca. Cieszysz się?

Pan Samochodzik był moim szefem od wielu lat i wiedział, że najlepszym sposobem, żeby skłonić mnie do działania, było wzbudzenie ciekawości. Nazwisko wielkiego hiszpańskiego malarza

zgodnie z jego zamiarem zelektryzowało mnie, ale nie całkiem dałem się nabrać na te dyrektorskie sztuczki i po lekkiej nucie wahania w głosie zwierzchnika domyśliłem się, że za sprawą kryje się nie tylko nowe wyzwanie z dziedziny historii sztuki, ale jakiś poważny problem.

Pan Tomasz siadł w fotelu naprzeciwko biurka. Nalałem mu wody. Wypił duszkiem i powiedział:

- Ależ upał - przetarł spocone czoło chustką. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej podłużną kopertę, zaadresowaną pięknym kaligraficznym pismem.

- Ten list - podał mi przesyłkę - dostałem wczoraj od dyrektora Muzeum Diecezjalnego w Siedlcach. To moja dobra znajoma. Przeczytaj to, co do mnie napisała, a potem pogadamy.

Otworzyłem kopertę i wyjąłem z niej arkusz eleganckiego papieru z herbem biskupa siedleckiego w prawym górnym rogu.

Szanowny i Drogi Panie Tomaszu!

Ośmielam się pisać w sprawie, która spędza mi ostatnio sen z powiek, bo wydaje mi się Pan jedyną osobą władną pomóc. Jak Pan pewnie doskonale wie, w posiadaniu naszego muzeum znajduje się obraz znamenitego malarza hiszpańskiego Domenikosa Theotocopulosa, zwanego el Grekiem. Obraz ów, zatytułowany „Ekstaza Św. Franciszka”, jest największym skarbem Muzeum Diecezjalnego w Siedlcach. Naszą chlubą i dumą.

Dzięki el Grekowi udało się nam w ostatnim czasie nawiązać kontakty z Muzeum Prado w Madrycie, które posiada znaczną liczbę płócien tego malarza. Kilka miesięcy temu gościł u nas dyrektor tej placówki. „Św. Franciszek” zachwycił go niepomniernie. Ocenił obraz jako tajemniczy i subtelny. Zapowiedział też, że jeśli wyrazimy zgodę, chętnie wypożyczy płótno na jakiś czas, żeby pokazać je Hiszpanom. W zamian oczywiście Prado pozwoliłoby nam wystawić któryś ze swoich obrazów el Greca.

Wzięłam to za kurtuazję. I rzeczywiście przez kilka miesięcy nic się nie działo. Ale jakieś trzy tygodnie temu przyszło do nas oficjalne pismo z Madrytu, w którym dyrektor proponował wzajemne wypożyczenie obrazów. Za naszego el Greca proponował nam nie jeden, ale trzy, dowolnie przez nas wybrane obrazy tego malarza ze swojej kolekcji!

Wyobraża Pan chyba sobie, Szanowny Panie Tomaszu, jak się ucieszyłam z tego listu. Byłoby to wydarzenie nie tylko lokalne, ale krajowe! Szybko załatwiliśmy wszystkie formalności i czekamy teraz na delegację hiszpańską, która ma przybyć wraz z płótnami za tydzień. Nie muszę chyba dodawać, że cała sprawa trzymana jest na razie w tajemnicy.

Spyta Pan pewnie: gdzie tu problem? Otóż dwa dni temu przyszedł do muzeum anonim, którego autor zapowiada, że ukradnie el Greca w dzień przyjazdu Hiszpanów! Jeśliby mu się udało, nie tylko nasza skromna placówka, ale całe polskie muzealnictwo doznałoby straszliwej kompromitacji!

Od czasu nadejścia ohydneho anonimu nie mogę spać i zastanawiam się bez przerwy jak zabezpieczyć nasze bezcenne płótno. Kochany Panie Tomaszu, czy mógłby pan pomóc nam chronić obraz i odnaleźć złodzieja?

Jeśli Pan tego nie robi, nie wiem, co z nami będzie.

Pozdrawiam Pana serdecznie i łączę wyrazy najszczerzego szacunku

Anna Jankowska

Dyrektor Muzeum Diecezjalnego w Siedlcach

Odłożyłem list.

- I co o tym sądzisz? - pan Tomasz spojrzał na mnie uważnie spod posiwiałych brwi. - Co mówi twoja żyłka detektywistyczna?

- Wygląda mi to na, że ktoś chce w głupi sposób zadrwić z pani dyrektor, ale...

- Wiedziałem, wiedziałem... - zaśmiał się Pan Samochodzik i poklepał mnie po ramieniu. - A

więc skusiłem cię?

- Ciekawa sprawa... - zawahałem się. - Ale Kobyłka mnie nie puści, nie mamy nawet na papier do drukarki, nie mówiąc już o wyprawach.

Alfred Kobyłka był urzędnikiem odpowiedzialnym za zarządzanie zasobami ludzkimi w naszym ministerstwie. Zwolnił nas kiedyś z pracy, a potem, kiedy już do niej wróciliśmy po jego porażce w roli detektywa, na wszystkie sposoby starał się utrudniać nam życie. Do jego ulubionych zajęć należało odrzucanie wszelkich próśb o pieniądze dla naszego departamentu, co doprowadziło do tego, że rzadko mieliśmy okazję brać udział w jakiejś przygodzie. Najczęściej spędzaliśmy całe dnie w ministerstwie, wykonując papierkową robotę.

- Weź urlop - powiedział szef - a pieniędzmi się nie przejmuj... Mam trochę oszczędności. Bardzo mi zależy na tym, żeby pomóc dyrektor Jankowskiej. To taka sympatyczna kobieta...

- A może pojedziemy razem, panie Tomaszu? - zaproponowałem. - Trochę ruchu dobrze panu zrobi.

- Nie, Pawle - rzekł szef. - Jeszcze czuję w kościach niewolę u „Cesarza”. Będę pomagał ci z Warszawy i osłaniał przed zbytnią ciekawością Kobyłki.

- Jak pan woli... - byłem zawiedziony. - Kiedy pana zdaniem powinienem wyruszyć?

- Najlepiej zaraz - odpowiedział pan Tomasz. - Jedź na Ursynów i spakuj się. Ja załatwię ci urlop. Przed wyjazdem wpadnij jeszcze tylko podpisać papiery i zabrać list do dyrektor Jankowskiej.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

GDZIE SIĘ PODZIAŁA PRZYGODA? * KIM BYŁ EL GRECO I SKĄD SIĘ WZIĄŁ W POLSCE JEGO OBRAZ? * DZIWNY POCHÓD * „SZCZUROŁAP”, CZYLI CZŁOWIEK, KTÓRY UŻYWA GOŁĘBI POCZTOWYCH ZAMIAST TELEFONU

Bardzo się ucieszyłem z nowego zadania. Od miesiąca tkwiłem w ministerstwie, przerzucając papiery, z których najwięcej emocji mogły mi chyba dostarczyć zezwolenia na wywóz zabytków za granicę.

Ech! Lato w mieście! Żar lał się z nieba. Asfalt topniał na ulicach. Upały nie dawały oddychać. Kto żyw, pakował się, wsiadał do pociągu, autobusu albo samochodu i wyruszał do lasu, na plażę i w góry. Zamknięty w dusznym gabinecie jak w szklarni (nie mogłem się doprosić u Alfreda Kobyłki o klimatyzację) dwa razy dziennie zmieniałem koszulę.

A Przygoda, zapytacie, pana stara, niezawodna przyjaciółka?

Otóż Przygoda chyba obraziła się na mnie. Nie zapukała do moich drzwi przez cały długi miesiąc ręką interesanta. Nie puściła oka z gazetowego ogłoszenia. Nie odcisnęła śladu ręki na żadnej liście aukcyjnej. Milczała. Może ostatnimi czasy zbyt ją lekceważyłem. Może zbyt poddałem się terrorowi Alfreda Kobyłki i niezbyt uważnie wsłuchiwałem się w jej wołanie.

A Przygoda, jak wiecie, to zazdrosna panna. Wystarczy raz ją obrazić, zlekceważyć i minie długi czas, zanim znów łaskawie się pojawi. Albo, co gorsza, nie przyjdzie już nigdy.

Po miesiącu spędzonym na nudnej administracyjnej robocie wydawało mi się, że tak jest i w moim przypadku. Że już nigdy nie wyruszę na żadną wyprawę, nie poczuję zapachu drzew po deszczu, kurzu na polnej drodze, nie zobaczę jak słońce zachodzi nad jakimś jeziorem, nie poznam nowych ludzi. I nie będę miał nowej historii do opowiedzenia. Chyba że wezmę urlop. Na szczęście pan Tomasz przyniósł ten list z Siedlec. Przygoda znowu się do mnie odezwała!

Co prawda dała tylko, jak mityczna Ariadna, nitkę, której śladem, ufając jej bezgranicznie, trzeba było pójść, ale podniecenie, które odczułem, dało mi niezawodny znak, że coś się zaczyna!

Wyszedłem z ministerstwa i wsiadłem do naszej ministerialnej „poczwy”. Po kilku minutach pakowałem do wehikułu stary namiot, wysłużony śpiwór, garnki, kuchenkę turystyczną trochę ubrań oraz książki o el Grecu i przewodnik po Podlasiu z domowej biblioteczki. Nie wiedziałem, jaką sytuację zastanę w Siedlcach i w jakich warunkach przyjdzie mi prowadzić śledztwo. Wołałem się zabezpieczyć.

- Witaj, Przygodo! - powiedziałem pod nosem, zapalając silnik.

Odetchnąłem głęboko, jakby jakiś ciężar spadł mi z piersi. Zanim wyjechałem z Warszawy, wstąpiłem jeszcze do ministerstwa. Potem przejechałem przez most Poniatowskiego i zostawiając za sobą Pragę i Bródno, pożegnałem stolicę.

El Greco...

Człowiek, którego nazwano „malarzem hiszpańskiej duszy”, był, jak wskazuje na to jego przydomek, Grekiem. Pochodził z Krety, która w czasach, gdy się narodził (1541 rok) pozostawała

we władzy Republiki Weneckiej. Podobnie jak wielu jego pobratymców, którzy zajmowali się malarstwem, ruszył na emigrację.

W Wenecji, do której się udał w 1568 roku, istniała spora diaspora greckich emigrantów. Wśród nich byli malarze, którzy w stolicy Republiki kontynuowali tradycje pisarzy ikon, czyniąc niewielkie tylko koncesje na rzecz malarstwa zachodniego. Głównym tematem tych chętnie kupowanych ikon była Matka Boska, co sprawiło, że greckich malarzy zwano w Wenecji madonneri.

El Greco jednak chciał czego innego. Stopniowo odrzucał rodzimą tradycję na rzecz zachodniego stylu malowania. Został prawdopodobnie uczniem wielkiego Tycjana. I to właśnie malarstwo włoskie miało największy wpływ na jego wczesne dzieła, takie jak „Wypędzenie kupców ze Świątyni”. Po dwóch latach przeniósł się do Rzymu na dwór kardynała Alessandro Farnese, który był nie tylko mecenasem sztuki, ale jednym z tych, którzy przygotowywali Sobór Trydencki.

Siedem lat przebywał w Wiecznym Mieście. Co skłoniło go do wyjazdu, nie wiadomo. Można przypuszczać, że wpływ miała na to, łagodnie mówiąc, duma młodego artysty. Istnieją przekazy, według których el Greco twierdził, że gdyby mu na to pozwolono, przerobiłby „Sąd ostateczny” Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej, tak że „byłby bardziej obyczajny i równie doskonały pod względem malarskim”. Trudno się spodziewać, żeby po takich stwierdzeniach był mile widziany w środowisku artystycznym miasta, w którym tworzył genialny Michelangelo.

Wędrówka, w którą wyruszył po opuszczeniu Rzymu, zawiodła Domenikosa Theotocopulosa do Toledo. Był rok 1577. Szesnaście lat wcześniej miasto przestało być stolicą Hiszpanii.

Toledo, czyli „miasto pokoleń”. Tak mieli, według legendy, nazywać gród żydów, którzy przybyli na tę ziemię. Gdy ściągnął tu el Greco, było ono nie tylko „miastem pokoleń”, ale i miastem trzech religii. Panującego chrześcijaństwa, islamu, wyznawanego przez pozostałych tu muzułmanów, którzy niegdyś władali miastem, i judaizmu, będącego religią licznej gminy żydowskiej. Żydzi, za pośrednictwem arabskich ksiąg, wnieśli do atmosfery miasta element magiczny.

Katolicy święci, reformatorzy zakonu karmelitów, św. Teresa z Avila i św. Jan od Krzyża, których życie wiąże się z Toledo, są symbolem chrześcijańskiej mistyki tak mocno obecnej w mieście nad Tagiem. Także w dziełach Kreteńczyka.

Było wreszcie Toledo, które oglądał el Greco, miastem poszukiwaczy mocnych wrażeń, wypełnione wieloma językami, którymi mówili przybysze z całej Europy. Trudno się więc dziwić, że wychowanemu w prawosławiu Kreteńczykowi, który przeszedł na katolicyzm, spodobało się Toledo. Został tu na zawsze, oddając miastu pędzel i duszę. A jako artysta, pobierający nauki najpierw u greckich madonnerich, a potem u włoskich mistrzów, zawsze przejawiał w swej twórczości zainteresowanie niezwykłością, psychologiczną głębią i mistycyzmem.

Próbował swą sztuką zachwycić króla Hiszpanii, Filipa II. W roku 1580 jego starania osiągnęły cel i otrzymał zlecenie na wykonanie „Męczeństwa św. Maurycego” do Eskurialu, dzieła życia Filipa II. Pałacu, klasztoru i biblioteki zarazem, a jednocześnie samotni króla-mizantropa. Niestety, nowatorskie malarstwo Kreteńczyka nie zyskało aprobaty królewskiej i współpraca z dworem skończyła się.

Ta odmowa, połączona z koniecznością zarobienia pieniędzy na utrzymanie rodziny (rok wcześniej malarzowi urodził się syn, Jorge Manuel) i własne wystawne życie, przesądziła o pozostaniu w Toledo, które lepiej niż władca, zdawało się doceniać geniusz el Greca. Malarz był tam już sławny dzięki swej wersji motywu „Espolio”, czyli obnażenia Chrystusa z szat, którą ukończył dwa lata wcześniej. Wiadomo, że na pewno wykonał siedemnaście kopii tego dzieła.

Wiedział doskonale, że w Toledo może liczyć na stałe zamówienia i pewny chleb.

Miasto nad Tagiem dobrze przysłużyło się artystycznej drodze el Greca. To właśnie tu jego styl uzyskał niepowtarzalność i tu powstały jego największe arcydzieła. W roku 1586 namalował „Pogrzeb hrabiego Orgaza”, już zapowiadający jego „wydłużonych”, półmaterialnych świętych, których uwiecznił w seriach, będących tak dla niego charakterystycznym powtarzaniem podobnych motywów, trochę tylko zmienionych i pogłębionych psychologicznie. Oprócz świętych kilkakrotnie stworzył też „Chrzest Chrystusa”, „Pokłon pasterzy”, „Zwiastowanie”, „Ukrzyżowanie” i „Chrystusa w Ogrójcu”.

Dał też Toledo „Apostołów wraz z Chrystusem”, serię dziś już niekompletną, którą ze swej samotni w mieście pokoleń zapowiedział impresjonizm. Namalował wreszcie „Nawiedzenie” i „Otwarcie piątej pieczęci”. Dwa obrazy tak nowoczesnie oszczędne w swej sile wyrazu, że w pełni poznali się na nich dopiero malarze dwudziestowieczni.

Chociaż el Greco był niewątpliwie malarzem scen religijnych, stworzył też całkiem sporo genialnych portretów, z takimi arcydziełami jak, tajemnicza „Dama w futrze”, groźny portret prezydenta Świętego Oficjum, kardynała Fernando Nino de Guevary czy niemal monochromatyczny wizerunek brata Hortensio Paravicino, wybitnego kaznodziei i poety, a przy tym przyjaciela i popularyzatora malarstwa el Greca.

Niestrudzony Kreteńczyk był nowatorem na jeszcze jednym polu. Jako pierwszy, poza Holendrami, wprowadził do malarstwa zachodnioeuropejskiego pejzaż.

El Greco zyskał za życia sławę i powodzenie materialne. Wzgardzony przez króla potrafił trafić ze swoją nasyconą mistycyzmem sztuką do zwykłych mieszkańców Hiszpanii. Zmarł w 1614 roku i spoczął w podziemiach kościoła San Domingo w Toledo, ale dzisiaj nie sposób tam odnaleźć jego sarkofagu z porfiru. Sława el Greca szybko przeminęła. Przypomniano sobie o nim dopiero po prawie trzystu latach, pod koniec XIX wieku. Wtedy jednak było już za późno, by żył ktokolwiek, kto by pamiętał, gdzie spoczęły doczesne szczątki malarza. Do naszych czasów przetrwała tylko inskrypcja nagrobna autorstwa Luisa de Gongory, wybitnego hiszpańskiego poety barokowego, który dziesięć lat wcześniej spotkał się z el Grekiem i pod wpływem jego sztuki napisał wiersz, wryty na grobowcu z porfiru:

W wytwornym kształcie, o pielgrzymie

Ta twarda płyta lśniącego porfiru

Odbiera światu najczarowniejszy pędzel,

Jaki kiedykolwiek nadawał życie desce i ożywiał płótno.

Tu leży Grek: Natura mu zawierzyła

Sztukę, Sztuka studia, Iris swoje barwy,

Febus światło, lecz nie zawierzył cieni swych Morfeusz.

Uczcij go i idź dalej.

Wróćmy jednak do „Ekstazy św. Franciszka”. Biedaczyna z Asyżu był ulubionym świętym malarza. Może ze względu na to, że szczególny kult otaczał tę postać na Krecie. Do naszych czasów przetrwało 129 wizerunków świętego wykonanych ręką genialnego Greka. Są wśród nich takie, na których biedaczynę z Asyżu przedstawiono razem z innymi świętymi, na przykład Janem Ewangelistą są takie, które ukazują świętego Franciszka zatopionego w głębokiej medytacji, są wreszcie „ekstazy”, na których patron ekologów wznosi oczy ku burzliwemu niebu, rozkładając ręce, przeszyte

ranami stygmatów. Taki właśnie obraz jest w Siedlcach.

Do jednego z największych odkryć w dziejach polskiego muzealnictwa doszło przez przypadek. W 1964 roku dwie kustoszki z PAN, Izabella Galicka i Hanna Sygietyńska, trafiły na niego, kiedy inwentaryzowały dzieła sztuki w kościołach na Podlasiu.

W parafii w Kosowie Lackim wisiał stary obraz. Mistrzostwo wykonania i artyzm obrazu skłoniły kustoszki do stwierdzenia, że obraz wyszedł z pracowni el Greca. Długo nikt im nie wierzył. Naśmiewano się z tej hipotezy w ogólnopolskich gazetach. Autorytety twierdziły, że obrazu nie mógł namalować el Greco.

Spór został rozstrzygnięty dopiero w 1974 roku, kiedy obraz, już przewieziony do Siedlec, został odrestaurowany. Konserwatorzy Zofia Blizińska i Maria Orthweinowa usunęły przemalowania z fragmentu płótna i ich oczom ukazała się sygnatura: „Dominikos Theotokop...”.

Konserwatorka zanotowała w raporcie: *„Są duże jej wykruszenia, ale jest na tyle czytelna, że z całą pewnością można stwierdzić jej autentyczność - potwierdzony wynikiem analizy spektrograficznej (...). Pismo greckie pisane minuskułą typową, jakim ten malarz podpisywał się w okresie wczesnym swej twórczości.”*

W stronę odkrywczyń popłynęły przeprosiny i słowa uznania. Jeden z historyków sztuki napisał: *„Gratuluje intuicji silniejszej niż promienie podczerwone.”*

Ustalono, że obraz powstał w 1580 roku, a więc zaledwie kilka lat po przybyciu el Greca do Toleda. Był prawdopodobnie początkiem całej serii „Ekstaz”. W 1975 roku brytyjski dom aukcyjny Sotheby's wycenił go na około 3 miliony dolarów.

W ten sposób „Ekstaza św. Franciszka” weszła do pierwszej ligi najdroższych obrazów w polskich zbiorach. Oprócz niej należą do niej tryptyk „Sąd ostateczny” renesansowego mistrza z Holandii Hansa Memlinga, który można oglądać w Muzeum Narodowym w Gdańsku, „Dama z łasiczką” Leonarda da Vinci i „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem” Rembrandta, będące własnością Muzeum Czartoryskich w Krakowie, i „Adoracja Madonny przez Kartuzów” z Muzeum Narodowego w Poznaniu, autorstwa Francisco de Zurbarana, jednego z najlepszych malarzy hiszpańskiego baroku, zwanego „hiszpańskim Caravagiem”, ze względu na mistrzostwo w użyciu światłocienia.

Hanna Sygietyńska i Izabella Galicka usiłowały dociec, w jaki sposób „Ekstaza św. Franciszka” znalazła się w Kosowie Lackim. Według nich obraz prawdopodobnie należał do magnackiej rodziny Lubomirskich. Później trafił do warszawskiego antykwariatu Michała Ryka, którego teść był zarządcą włości Lubomirskich pod Częstochową. Obraz kupił pod koniec lat dwudziestych proboszcz parafii w Kosowie Lackim, ks. Franciszek Dąbrowski, który chciał mieć po prostu ładny wizerunek patrona. Można więc przypuszczać, że „Ekstaza św. Franciszka” trafiła do Polski w podobnych okolicznościach, jak trzy ostatnie dzieła z listy „pięciu najdroższych”. Zakupiono ją po prostu na aukcji.

Gdyby tak było, z całej piątki najdroższych polskich obrazów tylko „Sąd ostateczny” Memlinga znalazłby się w naszym kraju w wyniku splotu wypadków, które z powodzeniem mogłyby się stać kanwą dla powieści sensacyjnej.

Obraz wykonany na zlecenie Medyceuszy miał trafić do Florencji, by stać się ozdobą kościoła Badia Fiesolana. Na galeon „Saint Thomas”, który transportował dzieło do Italii, napadła piracka karaka „Piotr z Gdańska”. Zrabowany obraz trafił do kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Gdańsku. Nie był to jednak koniec burzliwych dziejów „Sądu ostatecznego”. Kolejne wojny sprawiły, że tryptyk znalazł się w składzie kolekcji dwóch wielkich muzeów. Najpierw, w epoce

napoleońskiej, trafił do Luwru. Po powrocie do Gdańska, w 1817 roku, spokojnie doczekał końca II wojny światowej. Potem ozdobił ścianę Ermitażu, jako łup wojenny zdobyty przez Armię Czerwoną na Niemczech. Wrócił do Polski dopiero w 1956 roku.

Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że „Ekstaza św. Franciszka”, tak jak „Dama z łasiczką”, „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem”, „Adoracja Madonny przez Kartuzów” czy „Sąd ostateczny”, była dostępna publiczności. Obraz czekał na ekspozycję czterdzieści lat. Dopiero od 15 października 2004 roku można go podziwiać w Muzeum Diecezjalnym w Siedlcach.

Na rozmyślaniach droga upłynęła mi szybko. Zbliżałem się już do celu. Włączyłem radio i znalazłem lokalną stację. Poleciał dżingiel w ukraińskim stylu, chór głosów zaśpiewał nazwę stacji, „Przebojowe Fale”, i odezwała się spikerka:

- Witajcie, Siedlce! Właśnie minęła jedenasta trzydzieści. Nadajemy najważniejsze wiadomości. Wyjątkowe jak na czerwiec upały dręczą nasz powiat. Dzisiaj rano ogłoszono trzeci, najwyższy stopień zagrożenia pożarowego. Oznacza to, że zagrożenie pożarem jest katastrofalne. W całym powiecie nie wolno rozpalać ognisk w lasach, a wstęp do niektórych lasów jest zakazany. Uważajcie na tabliczki wywieszane przez leśników!

Druga informacja zaintrygowała mnie bardziej:

- Jak donoszą nieoficjalne źródła, w najbliższych dniach do Siedlec przybędzie delegacja z hiszpańskiego Muzeum Prado. Podobno ma dojść do wypożyczenia trzech obrazów el Greca z tego muzeum, w zamian za możliwość pokazania w Madrycie naszej wspaniałej „Ekstazy św. Franciszka”!

- Świetnie - warknąłem pod nosem - widzę, że przyjazd Hiszpanów jest tutaj tajemnicą poliszynela.

Wściekły przekręciłem gałkę radia. Głos zamilkł.

Musiałem trochę zwolnić, bo po lewej stronie drogi zmierzał w kierunku Siedlec niezwykle pochód.

Na jego czele szedł człowiek wysoki jak tyczka. Odziany w dziwny strój, zszyty z zielonych, żółtych, czerwonych i białych podłużnych pasów. Szczególną uwagę zwracały bufiaste, długie do kolan nogawki i takie same rękawy dziwnie skrojonej kapoty. Na głowę miał nasadzony brązowy kapelusz z wytartej skóry. Wysoką stożkową główkę nakrycia głowy obwiązał zieloną wstążką za którą zatknął, tańczące teraz w rytm kroków, pióro.

Za dziwacznie ubranym osobnikiem kroczył dostojnie stary czarny pies z okiem przewiązanym białą chustką, rudy kot bez ogona i biała koza w czarne łaty.

Przyhamowałem z wrażenia.

Jechałem powoli, obserwując tę dziwną procesję. Tyczkowaty jegomość miał nienaturalnie wydłużoną chudą twarz. Na czoło, spod runda kapelusza upadały rozczochrane czarne włosy.

Szerokie półkoliste brwi, spod których spoglądały przed siebie wielkie jak dojrzałe winogrona oczy, schodziły się u nasady trójkątnego, długiego nosa. W ustach, mających w sobie coś wschodniego, okolonych wyraźnym, ale niezbyt długim zarostem, wędrowiec trzymał piszczałkę. Przebierał chudymi palcami, to zakrywając dziurki, to pozwalali powietrzu wydostawać się swobodnie.

Melodię, którą wydobywał z instrumentu, zagłuszał silnik wehikułu. Zaintrygowany zatrzymałem się w końcu kilka metrów przed nim i uchyliwszy drzwi, powiedziałem do wagabundy:

- Mogę podwieźć, jeśli idzie pan do Siedlec!

Grajek zwolnił. W jego ślady natychmiast poszły zwierzęta. Pies zwinął się w kłębek i zasnął, kot wskoczył na przydrożne drzewo, a koza poczęła skubać trawę, rosnącą przy drodze. Wędrowiec stanął, rzucił mi trochę nieprzytomne spojrzenie, a potem, nic nie mówiąc, wpatrzył się w niebo. Poszedłem za jego przykładem, ale oprócz białych chmur pędzących w stronę Siedlec i kilku ptaków nie zauważyłem niczego szczególnego.

- No, nie wiem... - za pomocą piszczałki Grajek przesunął kapelusz na tył głowy. - Pogoda jest chyba zbyt ładna, żeby rezygnować ze spaceru.

Poczułem się urażony.

- Jeśli nie podoba się panu mój samochód, może pan być szczery. Już dawno przyzwyczailem się do tego, że wszyscy mają za nic mój pojazd... Wolę nawet otwartą drwinę niż jakieś pokrętne aluzje...

Już miałem zamknąć drzwi, ale do Grajka chyba dopiero teraz dotarły moje słowa i podbiegł do drzwi z przeproszającym uśmiechem:

- Śmieszna sytuacja, nie zrozumieliśmy się - powiedział spokojnym głosem. - Zastanawiam się, czy pojechać razem z panem nie dlatego, że mam coś do pańskiego wehikułu, ale naprawdę nie widzę sensu w korzystaniu z pojazdów mechanicznych, kiedy można cieszyć się urokami lata...

- Rozumiem - odpowiedziałem trochę udobruchany. - Sam lubię kontakt z przyrodą... - podrapałem się w głowę, próbując wymyślić coś, żeby skłonić wędrowca, którego zamiłowanie do długich spacerów na powietrzu od razu mnie ujęło, do podróży ze mną. - Ale jeden z pańskich zwierzątek - wskazałem na psa z przewiazanym okiem - chyba potrzebuje szybkiej pomocy...

- A tak - włóczyki zrobił zmartwioną minę. - Burek to bardzo stary pies... Mało już widzi. Bawił się dzisiaj kijem i zranił się w powiekę... Idę właśnie do weterynarza... - złapał za koniec pióra przytroczonego do kapelusza. - Może ma pan rację? Czy propozycja podwiezienia jest ciągle aktualna?

- Ależ oczywiście - powiedziałem i otworzyłem tylne drzwi - boję się tylko, że się wszyscy nie pomieścimy - spojrzałem znacząco na kozę...

Wagabunda zajrzał do wozu.

- Eee, przesadza pan - wsunął do wehikułu prawie połowę swojego długiego tułowia. Jego głos dobiegał do mnie przytłumiony: - Tu jest dużo miejsca. Chyba że koza panu przeszkadza?

- Skąd! - powiedziałem. - Bardzo lubię zwierzęta...

Towarzystwo załadowało się do wehikułu. Zwierzęta do tyłu, wędrowiec na fotel obok mnie.

Koza natychmiast nadgryzła brzeg jednego z foteli i dostawszy się do gąbki, zjadała ją z przyjemnością.

- Przestań, Baśka! - skarcił ją Grajek, a potem zwrócił się do mnie: - Bardzo pana przepraszam, ale zwierzęta niełatwo jest kontrolować...

- Nie szkodzi, to stara tapicerka, miałem ją niedługo wymieniać... - powiedziałem. - A pan mieszka tutaj? Nie mówi pan z akcentem... - zmieniłem temat.

- Może najpierw się przedstawię... Gbur ze mnie, że dotychczas tego nie zrobiłem. Jestem Wojciech Kalinowski, ale wszyscy w okolicy nazywają mnie „Szcurołapem”...

- To z powodu tej piszczałki? - przypomniałem sobie starą baśń o człowieku wyprowadzającym szczury z miasta za pomocą czarodziejskich dźwięków fletu.

- Nie tylko... - powiedział. - Widzi pan, mam kupę zwierząt, szczury leż... Mieszkam w lesie, kilka kilometrów od miasta. Rok temu uciekłem od cywilizacji. Pracowałem w wielkiej firmie

handlowej. Byłem dyrektorem zarządzającym.

- Sam czasem chciałbym uciec... - westchnąłem i spojrzałem na niego. Dopiero teraz zauważyłem, że pokryta kurzem brodata twarz jest bardzo młoda. - Czy to znaczy, że jest pan antyglobalistą?

- Teraz mówi się: alterglobalista. Nie, nie jestem nim, przynajmniej formalnie... Denerwują mnie wielkie korporacje, ale mnie chodzi raczej o powrót do źródeł. Chcę żyć w spokoju. Pragnę być samowystarczalny, mieć kontakt z przyrodą. Nie chcę, żeby życie przepłynęło mi przez palce... - jego twarz przybrała wyraz zamyślenia.

- Zupełnie jak Henry David Thoreau... - powiedziałem.

- Trafił pan w dziesiątkę! - „Szczurołap” ożywił się. - „Walden” to moja ulubiona książka. Naśladuję Thoreau we wszystkim... Zbudowałem własnymi rękami chatę, mam poletko fasoli... Ale, ale... - zmitygował się. - Przepraszam, gadam tylko o sobie... A pan czym się zajmuje?

- Chronię zabytki...

- Aha.. I po to pan jedzie do Siedlec? Chronić zabytki?

- Nie - wołałem być ostrożny. - Przyjechałem na urlop.

Chyba mi nie uwierzył.

- Rozumiem... - powiedział powoli. - Jeśli nie chce pan mi powiedzieć...

- Nie chodzi o to, że nie chcę... - tłumaczyłem się. - Po prostu nie mogę.

- Strasznie pan podejrzliwy - „Szczurołap” podrapał się w głowę. - A może jest pan detektywem?

- Raczej detektywem-amatorem - nie widziałem sensu, żeby to przed pasażerem ukrywać. - I naprawdę chronię zabytki.

- Zaintrygował mnie pan, panie...

- Paweł Daniec - przedstawiłem się.

- Panie Pawle - dokończył - czy nie zechciałby pan odwiedzić mojej samotni? Pogadalibyśmy sobie przy kozim mleku.

- Czemu nie? - zgodziłem się.

Wjeżdżaliśmy już do miasta.

- Proszę się zatrzymać! - wykrzyknął nagle „Szczurołap”. - To dom weterynarza! Bardzo dziękuję panu za podwiezienie.

Całe towarzystwo wysiadło już z wehikułu. „Szczurołap”, nachyliwszy się do otwartego szeroko okna, powiedział:

- Wie pan co? W zamian ja pomogę panu. Będę miał oko na to co się dzieje w okolicy. A gdybym coś zauważył, pošlę gołębia.

- Gołębia? - zdziwiłem się. - Nie ma pan telefonu?

- Koniecznie musi mnie pan odwiedzić - odpowiedział tajemniczo. - Wtedy nie będzie pan zadawał takich pytań. Niedługo się odezwę. Do zobaczenia! - rzucił i odwróciwszy się na pięcie, odszedł na czele pochodu zwierząt. W tonach wydobywających się z jego piszczałki rozpoznałem pierwsze takty sławnego „Concierto de Aranjuez” Joaquina Rodriga.

Ruszyłem do centrum miasta.

ROZDZIAŁ DRUGI

DYREKTORKA O URODZIE CYGANKI * KTO NAPISAŁ ANONIM? * WRÓŻBA * MŁODZI MALARZE
OGLĄDAJĄ OBRAZ STAREGO MISTRZA *
CZY ŚWIĘCI EL GRECA SĄ CHORZY? *
TAJEMNICZY NIEPOKÓJ KIEROWNIKA MALINOWSKIEGO

Zaparkowałem przed dwupiętrową kamienicą w której mieściło się Muzeum Diecezjalne. Skromną fasadę zakrywały rusztowania. Krzżeli się po nich robotnicy odnawiający elewację budynku. Wszedłem do środka i po chwili zostałem przyjęty przez panią dyrektor.

Anna Jankowska okazała się być trzydziestokilkuletnią bardzo przystojną kobietą. Cerę miała śniadą twarz kwadratową i szczupłą. Przecięta w środku bródka zwiastowała mocny i nieco chimeryczny charakter. Nad pełnymi ustami, pomalowanymi bordową szminką widać było po prawej stronie pieprzyk. Nos miała prosty. Spod bardzo cienkich brwi i bardzo długich rzęs spoglądały na mnie błyszczące, ciemne jak u Cyganki, oczy. Czarne długie włosy powiewały nad wysokim czołem jak korona rozwichrzonego wiatrem drzewa. Miała na sobie brązowy kostium, ozdobiony tylko złotym naszyjnikiem, na którego końcu zwisał, mieniący się wszystkimi kolorami ognia, agat.

- Jeszcze raz dziękuję stokrotnie, że zgodził się pan przybyć - powiedziała z emfazą ale uśmiechnęła się szczerze.

- Ochrona zabytków to mój zawód... - odpowiedziałem z uśmiechem i zastanowiłem się jak wyglądam. Nagle zaczęło mi bardzo zależeć na tym, żeby jak najlepiej wypaść przed piękną panią dyrektor.

- Czego się pan napije? - zapytała.

Poprosiłem o kawę, a kiedy podeszła do drzwi, żeby wydać sekretarce polecenie, szybko przyglądałem sobie włosy i spróbowałem zetrzeć ślady kurzu z marynarki.

- Może przejdziemy do sprawy... - zaproponowałem nieśmiało nie wiedząc co powiedzieć.

Upiłem pierwszy łyk kawy, jednocześnie usiłując przejrzeć się w ciemnej toni napoju, ale nic nie byłem w stanie dostrzec. Pani dyrektor westchnęła, jakbym powiedział zupełnie nie to na co liczyła. „Czyżbym i ja ją zainteresował?” - pomyślałem. Sięgnęła do szuflady i wyjęła z niej kartkę papieru zapełnioną maszynowym pismem.

- Proszę przeczytać... To ten anonim, o którym pisałam do pana Tomasza - podała mi arkusz.

Autor listu nie zamieścił w epistole żadnych pozdrowień. Przechodził od razu do sedna sprawy.

Wiem o tym, że niedługo przyjeżdża do Was delegacja z Hiszpanii, żeby wymienić się obrazami. Ukradnę Waszego el Greca w dzień ich przyjazdu i nie zdołacie mi przeszkodzić. Nie ma sensu się bronić przed nieuniknionym, więc nawet nie próbujcie stawać na mojej drodze.

Życzliwy

- Ładny mi „życzliwy”! - wybuchnąłem gniewem, by pokazać, że angażuję się w sprawę. - Czy

pani się nie domyśla, kto to mógł napisać? Czy muzeum albo pani osobiście nie ma jakichś wrogów?

- Jest kilka osób... - Anna Jankowska zaczerwieniła się. - Ale wolę nie podawać nazwisk.

Przecież nie powinno się nikogo oskarżać bez dowodów...

- Proszę się nie obawiać, to co mi pani powie, nie wyjdzie poza ten gabinet... Nie jestem przecież policjantem, a tylko detektywem-amatorem i nie mogę, nawet gdybym chciał, nikogo zaaresztować. Będę działał dyskretnie. Ta metoda zawsze przynosiła dobre efekty. Powiadomię policję dopiero wtedy, kiedy będę miał dowody.

- W takim razie - pani dyrektor chciała się podrapać w głowę, ale zorientowała się, że może sobie popsuć fryzurę i zamiast tego objęła dłońmi filiżankę z kawą. - Pierwsza osoba, która mi przychodzi na myśl to, to... - znów się zacięła.

- Proszę mi zaufać - spojrzałem na nią. - Naprawdę wiele już widziałem i słyszałem. Mało rzeczy na ziemi może mnie zadziwić. Pewnie chodzi o wysoko postawioną osobę?

Pokiwała głową.

- Burmistrz? - zgadywałem.

Zaprzeczyła energicznie.

- Jego zastępcę?

Znów zaprzeczenie.

- Hmm... Skoro nie burmistrz i nie jego zastępcę... - myślałem głośno. - No tak! Jego sekretarka?

Potwierdziła i odezwała się niepewnie:

- Widzi pan, ona mnie chyba nie lubi... Mieszka razem z mężem na wsi. Jej mąż był kiedyś szefem jednego z muzeów warszawskich. Teraz jest na wcześniejszej emeryturze, bo miał trzy zawały. Poczul się chyba ostatnio lepiej, bo startował razem ze mną w konkursie na dyrektora Muzeum Diecezjalnego...

- I pewnie przegrał. Więc i on wchodzi w grę.

- No tak...

- Ktoś jeszcze startował w konkursie?

- Nauczyciel historii z jednej z wiejskich szkół. Mieszka w Siedlcach i dojeżdża co rano do pracy. Ale to chyba nie on... Po konkursie podarował mi bukiet róż...

- To jeszcze o niczym nie świadczy - powiedziałem pewnie i żeby dobić ewentualnego konkurenta, dodałem trochę może zbyt złośliwym tonem: - To może być wilk w owczej skórze!

- Bardzo pan podejrzliwy... On jest naprawdę miły... - powiedziała to ciepło, co jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło.

- Taki mam zawód - udałem obrażonego - i wredny charakter. Gdybym nie podejrzewał wszystkich wokoło, nigdy nie rozwiązałbym żadnej zagadki. Podejrzliwość i wścibstwo to główne cechy detektywów - zakończyłem i zamilkłem.

- Nie chciałam pana urazić! - Anna Jankowska aż podskoczyła na krześle. Przeraziła się pewnie, że zostawię ją i jej wspaniałego el Greca na pastwę złodziei dzieł sztuki!

„Kobiety są wszystkie takie same” - myślałem i wpatrywałem się ze złością w twarz ślicznej pani dyrektor, która przybierała coraz bardziej załamany wyraz. „Kokietują cię i próbują usidlić, żeby wykorzystać do swoich celów, a potem ni z tego, ni z owego wbijają nóż w serce!”.

Twarz Anny Jankowskiej wykrzywiła się w grymasie, usta zadrżały, a ich kąciki powędrowały w dół. Oczy zaszkliły się. I wtedy skończyło się moje szaleństwo.

„Co ty wyrabiasz, Pawle?!” - pytałem się bezradnie w duchu, nie wiedząc jak powstrzymać

wybuch płaczu pani dyrektor i czując, że rumieniec pojawia się na mojej twarzy. „Wstydz się! Nie postępujesz jak dżentelmen!” - skarciłem się w myślach, a już głośno powiedziałem:

- Przepraszam, byłem za ostry - mój głos przybrał teraz najmiłszy ze znanych mi tonów. - To chyba przez tę podróż... Strasznie się zmęczyłem - z ulgą zauważyłem, że oczy pani dyrektor wysychają. Słuchała mnie uważnie, trochę zdezorientowana. Ciągle była bardzo blada i wyglądała jakby za chwilę miała się rozplakać. Musiałem ratować sytuację.

- Obiecuję pani, że zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby ochronić el Greca! - wykrzyknąłem i położyłem rękę na piersi. - Wszystko! - powtórzyłem. - A mogę sporo, pani Aniu... - uśmiechnąłem się.

Podziałało.

Twarz Anny Jankowskiej nabrała koloru, a uśmiech rozchylił jej pełne usta. Odetchnęła głęboko, zajrzała do swojej torebki, niby to czegoś tam szukając.

- Pytał pan, panie Pawle, kto mógłby życzyć źle mnie albo muzeum... No jest jeszcze jedna osoba, chyba już naprawdę ostatnia...

- O kogo chodzi?

- Dyrektor Muzeum Diecezjalnego w Drohiczynie.

- W Drohiczynie? - zdziwiłem się. - A co on ma do tego?

- To takie nasze lokalne sprawy... Pan wie, gdzie znaleziono obraz el Greca?

- Oczywiście. W Kosowie Lackim.

- No właśnie... Kosów Lacki leżał wtedy w diecezji siedleckiej i dlatego obraz jest teraz u nas. Ale jakiś czas temu Kosów znalazł się w sąsiedniej diecezji drohiczyńskiej. A tytuł własności obrazu jest przypisany do Kosowa. Na tej podstawie drohiczyńskie władze zarówno kościelne, jak i świeckie występują o zwrot „Ekstazy św. Franciszka”. Najusilniej, co zrozumiałe biorąc pod uwagę znaczenie obrazu, zwrotu dopomina się dyrektor Muzeum Diecezjalnego w Drohiczynie. Prawie co tydzień dostaje od niego listy - odetchnęła z ulgą ale zaraz znów się napięła. - Zaznaczam jednak, że tylko odpowiadam na pana pytanie o osoby ewentualnie zainteresowane przejęciem obrazu! W żadnym razie nie oskarżam dyrektora z Drohiczyna! To krystalicznie uczciwy człowiek!

- Ja też go o nic nie oskarżam, ale dobrze, że mi pani o tym powiedziała. Lepiej znać pełny kontekst sprawy. Nigdy nie wiadomo, co może się przydać w śledztwie...

Na słowo „śledztwo” dyrektor Jankowska znów pobladła.

- To znaczy w rozpoznaniu... - poprawiłem się szybko. - Bo przecież jeszcze nic się nie stało, prawda?

Znów sięgnęła do torebki. Wyjęła z niej paczuszkę ziołowych tabletek uspokajających. Połknęła jedną.

- Strasznie się denerwuję, panie Pawle... - powiedziała w końcu takim głosem jakby święty Franciszek zszedł z obrazu el Greca i pił razem z nami kawę w jej gabinecie. - Kiedy pomyślę, że ktoś mógłby ukraść... że zjawiłaby się policja... że wybuchłby skandal...

- Proszę się uspokoić - odezwałem się stanowczym, ale spokojnym głosem. - Niech pani nie zapomina, że to może być głupi żart, a poza tym na razie to my mamy obraz i jeśli się nie mylę, jest dobrze chroniony.

- Najlepiej jak się tylko da! - zapewniła mnie trochę już chyba spokojniejsza Anna Jankowska. - Mamy najnowocześniejszy sprzęt, czujniki, które...

- Sza! - położyłem palec na ustach. - O tych sprawach lepiej nie mówić głośno. Po co kusić

licho?

- Ma pan rację... - pokiwała głową. - Więc... Czy ma pan jakiś plan?

Jej pytanie zbiło mnie z tropu. Potencjalni przestępcy, ze względu na swoją pozycję społeczną nie bardzo pasowali mi na złodziei dzieł sztuki. Wyglądałem się chcąc zaimponować pani dyrektor i wziąłem całą sprawę zbyt poważnie.

Wciąż bardziej przemawiała do mnie teoria o głupim żarcie. W zamyśleniu spojrzałem jeszcze raz na anonim, który leżał na biurku i zauważyłem coś, co podsunęło mi bardzo prosty pomysł zdemaskowania jego autora. Nie chciałem jednak na razie zdradzać się ze swoimi zamierzeniami wobec pani dyrektor, więc powiedziałem tylko:

- Proszę zapisać nazwiska, imiona i adresy ludzi, o których rozmawialiśmy... To zawsze jakiś trop... Jeśli pani pozwoli, wezmę także ten anonim - skłoniła głowę na zgodę. - Ile dni zostało do przyjazdu Hiszpanów? - zapytałem.

- Dwa. Będą tu w niedzielę.

- Dobrze... To sporo czasu. Na razie rozejrzę się po okolicy. Może dzieje się tu coś dziwnego... Czy ktoś obcy nie pojawił się ostatnio w mieście?

- Jest sporo turystów. Poza tym gościmy u nas plener malarski z liceum plastycznego z Warszawy. Rozbili obóz nad naszym zalewem.

- To świetnie! - ucieszyłem się. - Chętnie postawię swój namiot obok nich.

- Chce pan mieszkać w namiocie, panie Pawle? - zdziwiła się pani dyrektor. - Załatwiłam już pokój w kurii...

- Dziękuję serdecznie, ale ja wolę przyrodę. Często podczas moich licznych przygód nocowałem pod namiotem. Mówiąc szczerze liczyłem, że i teraz nadarzy się ku temu okazja...

- Jak pan woli... Widzę, że to prawda, co o panu mówią...

- A co mówią? - zapytałem.

- No, że jest pan bardzo oryginalnym człowiekiem... i bardzo upartym - słysząc słowa „uparty”, poczułem nieprzyjemne ukłucie. Anna Jankowska chyba to zauważyła, bo zaraz dodała: - Że często przedkłada pan nowe doświadczenia nad wygodę. No i oczywiście też, że jest pan znakomitym detektywem...

Poczułem palenie rumieńca, tak zawstydził mnie ten, niezwykle dla mnie pochlebny epitet o detektywie. Zaraz jednak przypomniałem sobie o „dziwnym, upartym człowieku” i zapytałem podejrzliwie: Kto pani o mnie to wszystko opowiedział? Policzki dyrektor Jankowskiej pokryły rumieniec.

- Eee... Nikt... To znaczy... stary znajomy - wydusiła wreszcie. „Oczywiście Pan Samochodzik!” - domyśliłem się, ale nie dałem po sobie nic poznać.

- Niech pani nie wierzy we wszystko, o czym plotkują starzy znajomi... - rzuciłem.

Przystojnej dyrektorce czerwieniły się już nawet uszy.

- Tym bardziej jeśli są urzędnikami ministerialnymi w wieku emerytalnym - dokończyłem i zaśmiałem się.

Z dyrektor Jankowskiej już całkiem chyba zeszło napięcie, bo też się uśmiechnęła.

- Pan tylko udaje, że jest taki straszny - powiedziała patrząc na mnie z sympatią. - Naprawdę ma dobre serce i poczucie humoru.

„Czyżby pani dyrektor mnie kokietowała?” - pomyślałem z nadzieją.

Zapisała informacje, o które prosiłem i podała mi karteczkę.

- Będzie pan potrzebował pomocnika?

- Wie pani co, dawno nie byłem w Siedlcach, chyba przydałby mi się przewodnik.

- W takim razie proszę do mnie wpaść jutro rano i załatwimy tę sprawę - zajrzała do kalendarza.

- O! Ma pan szczęście. Uczestnicy pleneru mieli dzisiaj przyjść oglądać el Greca! Będą tu za pół godziny. Panie Pawle, czy wierzy pan we wróżby? - zapytała ostrożnie.

- Nie bardzo - odpowiedziałem zgodnie z prawdą - traktuję wszelkie wieszczenie raczej jako zabawę.

- A ja wierzę w to co mówią karty... - rzekła patrząc mi prosto w oczy. - Mogą dawać nam wskazówki w ważnych sprawach. Może zgodziłby się pan, żebym powróżyła na najbliższe dni?

Kiwnąłem głową na zgodę, bo nie chciałem robić jej przykrości, a poza tym przebywanie z nią sprawiało mi przyjemność. Mówiąc szczerze byłem też, jak chyba każdy, ciekawy, co wypadnie we wróżbie.

Pani dyrektor sięgnęła do szuflady i wyjęła z niej dość mocno zniszczoną talię zwykłych kart. Zgarnęła na bok leżące przed nią papiery, robiąc sobie miejsce. Przetasowała karty, dała mi je do przełożenia i rozłożyła przede mną osiem zakrytych kart w jednym rzędzie.

- To będzie cygańska wróżba... - ściszyła nieco głos, który nabrał teraz tajemniczego tembru.

- Zobaczmy... - rzekła odkrywając dwie pierwsze karty z lewej strony, dziewiątkę trefl i siódmkę w tym samym kolorze. Przez jej twarz przebiegł grymas niepokoju.

- Niedobrze, panie Pawle, niedobrze... - mówiła. - Te karty zwiastują niebezpieczeństwo, złe wydarzenia albo stratę.

Następny był as trefl. Oblicze dyrektor Jankowskiej jeszcze bardziej posmutniało.

- Za tymi niefortunnymi wydarzeniami stoją czyjeś negatywne zamiary. Nie jest powiedziane, że człowiek, który te zamiary żywi, jest z gruntu zły, ale z całą pewnością chce coś złego zrobić.

As karo, który został odkryty jako następny, po raz pierwszy sprawił, że Anna Jankowska uśmiechnęła się nieśmiało.

- Ta karta, panie Pawle, symbolizuje zamiary przeciwne do tych wcześniejszych. Dojdzie więc do starcia dwóch potężnych natur o przeciwnych zamiarach - odkryła następną kartę, tym razem dziesiątkę karo.

- As karo i dziesiątka karo razem - tłumaczyła Anna Jankowska - symbolizują jakąś cenną rzecz, podarek...

Odruchowo pomyślałem o obrazie el Greca i przełknąłem ślinę.

- I to właśnie o tę rzecz rozegra się walka między dwoma naturami symbolizowanymi przez asy.

- Czy mogłaby pani dokładniej opisać osoby, które stoczą między sobą walkę o ten, jak go pani określiła, „cenny podarek”? - zapytałem zaintrygowany.

- Spróbuję - powiedziała dyrektor Jankowska i sięgnęła do kupki kart leżącej obok i wzięła dwie karty. Jedną położyła na asie trefl. To był walet pik. Na asie karo wylądował król trefl. - Niecne zamiary żywi młody mężczyzna - mówiła dalej - bardzo sprytny, to właśnie jego symbolizuje walet pik. Król trefl natomiast to człowiek o szlachetnych zamiarach, człowiek który musi pokonać waleta pik w walce o cenny podarek. To mężczyzna w sile wieku, niezwykle inteligentny. To, to... - pani dyrektor spojrzała na mnie - to może być pan, panie Pawle...

- Ja? - zaśmiałem się niepewnie, ale po moich plecach przeszedł dreszcz, a włosy stanęły mi na karku.

Jeszcze trzy karty pozostały nieodkryte. Za chwilę okazało się, że były to dama karo, ósemka kier

i król karo.

- W niebezpiecznej rozgrywce z waletem pik pomoże panu dama karo... to znaczy - dyrektor Jankowska uśmiechnęła się niepewnie - młoda kobieta, jeszcze niezamężna, o miłej aparycji, na co wskazuje ósemka kier. Będzie jej towarzyszył młody niezamężny mężczyzna, król karo... - dyrektor Jankowska zmrużyła oczy i pozbierała karty. Westchnęła i spojrzała na zegarek. - Młodzi malarze powinni być już na miejscu. Chodźmy do nich...

Nie od razu zobaczyłem płótno el Greca.

Zabezpieczony solidną szybą obraz prawie w całości był zasłonięty przez las głów młodych malarzy. Spośród rudych, blond, czarnych i płowych czupryn wyróżniała się szczególnie jedna. Jej posiadacz był wyższy od wszystkich swoich kolegów. Jego czarne, kręcone włosy tworzyły coś w rodzaju nieregularnego czepca. Miał na sobie czarny obcisły golf. Oczy wpatrzone w dzieło genialnego Greka były zakryte przeciwsłonecznymi okularami.

„Czy on w ogóle coś widzi przez te czarne szkła?” - pomyślałem.

Oparliśmy się z panią dyrektor o ścianę i słuchaliśmy wykładu, który wygłaszał tęgi człowiek w okularach. Jego duża łysina ograniczona przez dwa wąskie pasma siwiejących włosów po bokach głowy błyszczała w świetle reflektorów. Co chwila wycierał spocone ręce o poły sztruksowej marynarki.

- „Ekstaza św. Franciszka” została namalowana pomiędzy 1575 a 1580 rokiem. Jest zwiastunem zmiany, która za kilka zaledwie lat miała dokonać się w malarstwie kreteńskiego mistrza. Zmianę tę dobrze widać na późniejszym o zaledwie sześć lat dziele „Pogrzeb hrabiego Orgaza” - tęgi człowiek wyciągnął z torby stojącej pod ścianą album i pokazał słuchaczom „Pogrzeb”. - Zauważcie, że przez środek obrazu, w poziomie, przebiega niewidzialna linia. Postacie na dole, żałobnicy uczestniczący w pochówku, są namalowani realistycznie, ze wszystkimi szczegółami, natomiast przedstawione u góry niebios zaludniają święci już odrealnieni, tak charakterystycznie dla późnego el Greca nienaturalnie wydłużeni, trochę jakby rozmyci - zamknął album.

- Św. Franciszek, którego mamy okazję tu oglądać - otwartą ręką wskazał na obraz - pochodzi z obu tych światów. Z jednej strony możemy obserwować drobiazgowo wykonany habit i sznur, którym jest przewiązany święty. Widać prawie każdą nitkę powrozu i tkaniny, ale palce, szczególnie te u prawej ręki, i twarz św. Franciszka są wydłużone, w ten charakterystyczny dla spadkobiercy mistrzów bizantyjskich sposób...

- A ja czytałem ostatnio opracowanie - odezwał się chłopak w okularach przeciwsłonecznych - według którego te deformacje można wytłumaczyć inaczej...

Oczy kolegów zwróciły się na niego z zaciekawieniem, natomiast w spojrzeniu tęgiego człowieka pojawił się wyrzut, że ktoś psuje mu wykład.

- Według artykułu el Grekowi pozował do tego obrazu ten sam model, który był pierwowzorem jednego z pasterzy na obrazie braci Jacopo i Francesco Bassano „Pokłon pasterzy”, pochodzącego z tego samego okresu co „Ekstaza św. Franciszka”. Ten człowiek ma objawy zespołu Marfana. Szkliste oczy, długa czaszka, szczupła sylwetka, wydłużone i „pająkowate” palce, czyli wszystko to co tu widzimy...

- Ale to jeszcze wszystkiego nie wyjaśnia... - nie mogłem się powstrzymać przed wtrąceniem swoich trzech groszy i tym razem oczy słuchaczy skierowały się na mnie. - Smukłość postaci el Greca próbowano też tłumaczyć tym, że malarz cierpiał na astygmatyzm, chorobę oczu, której jednym z

objawów jest „wydłużone” widzenie. Hipoteza ta, jak słusznie zauważyła biografka malarza, Antonina Vallentin, upada, kiedy dokładnie prześledzi się jego twórczość. Otóż około 1600 roku namalował on portret kardynała Fernando Nino de Guevary, prezydenta Świętego Oficjum w Toledo. W 1600 roku! A więc już po stworzeniu „Pogrzebu hrabiego Orgaza”, „Św. Marcina i żebraka”, „Chrztu Chrystusa” czy „Św. Józefa”, obrazów, na których postacie są wydłużone przez rzekomy astygmatyzm! Zresztą - mówiłem dalej - po namalowaniu tego portretu el Greco wraca do swoich „tyczkowatych” świętych.

Chłopak, który mówił o zespole Marfana, ściągnął okulary i patrzył na mnie gniewnie, a ja przecież nie chciałem go upokorzyć.

- Nie oznacza to bynajmniej, że nie masz racji - zwróciłem się do niego.

Ciężar jego spojrzenia trochę zelżał.

- Oczywiście, że choroba modela czy malarza mogła w jakiś sposób wpłynąć na jego dzieło... - tłumaczyłem spokojnie. - Chcę tylko powiedzieć, że nie da się wszystkiego wytłumaczyć w racjonalny sposób. Może el Greco wydłużał swoje postacie całkiem świadomie, bo chciał, żeby sięgały nieba? Może chciał w ten sposób, poprzez ich odrealnienie, podkreślić cnoty duszy? A może to była jakaś półświadoma remisja bizantyjskiego dziedzictwu, które w sobie nosił? Nie wiem...

- Uhm, uhm... - przerwał mój wywód tęgi człowiek z łysiną. - Starczy chyba na dzisiaj tego oglądania. Macie teraz dwie godziny czasu wolnego. Spotkamy się o... - spojrział na zegarek - ...o dziewiętnastej przed muzeum. No, lećcie!

Młodzież zapomniawszy o wszystkim i kolorowym korowodem ruszyła na zewnątrz. Chłopak w czarnych okularach na chwilę się od nich odłączył i wziął spod ściany pozostawioną tam wcześniej gitarę. Podnosząc instrument, spojrział na mnie. Znów miał na oczach okulary, więc nie byłem w stanie nic wyczytać z jego spojrzenia, ale zaciśnięte usta świadczyły o tym, że dalej jest na mnie obrażony.

- Bardzo panu dziękuję! - tęgi jegomość, który przed chwilą opowiadał o el Grecu, podszedł do mnie z uśmiechem na twarzy. - Uratował pan mój autorytet. Jestem Grzegorz Malinowski, kierownik pleneru artystycznego.

- Paweł Daniec - powiedziałem i wymieniliśmy uścisk ręki.

- Pan Samochodzik! Mogłem się domyślić. Głośno o panu w środowisku artystycznym...

- Bardzo mi miło, ale moja sława jest chyba trochę przesadzona...

- Niech pan nie będzie taki skromny. Ale, ale... Co pana sprowadza do Siedlec? Czyżby ktoś dybał na sławnego el Greca? - w oczkach schowanych za okularami błysnęła przebiegłość i jakby niepokój.

„Coś zbyt ciekawy i za dobrze poinformowany jesteś jak na szefa pleneru artystycznego?” - pomyślałem, ale nie dałem po sobie nic poznać i odpowiedziałem wesoło:

- Och, nie! Przyjechałem na urlop. Potrzebuję odpoczynku jak każdy... Panią dyrektor odwiedziłem po starej znajomości.

- Pan Paweł chce nocować pod namiotem - wtrąciła się Anna Jankowska. - Czy mógłby się rozbić obok waszego obozu?

- Ależ oczywiście! - kierownik Malinowski doskonale maskował niepokój, którym go wyraźnie napawałem. - Pańska obecność będzie dla nas zaszczytem. Dzisiaj o dwudziestej pierwszej mamy ognisko, może opowie pan o którejś ze swoich ostatnich przygód?

- Z przyjemnością - rzekłem patrząc mu w oczy, z których, chociaż twarz była uśmiechnięta, nie

znikał strach. Postanowiłem mieć od tej pory kierownika Malinowskiego na oku.

- Może pójdziemy na kawę... Pani dyrektor, da się pani namówić?

- Niestety, nie mogę - uśmiechnęła się przepraszająco - sprawy służbowe, panowie rozumieją...

- Ja też z przykrością muszę odmówić... - powiedziałem - zanim przyjadę do obozu, czekają mnie jeszcze sprawunki...

Prosto z muzeum udałem się do biura ogłoszeń lokalnej gazety i załatwiłem tam sprawę, która miała mi pomóc w identyfikacji autora anonimów. Potem skoczyłem jeszcze do sklepu. Kupiłem kilka konserw, kielbasę na wieczorne ognisko, butelkę koniaku do herbaty, chleb, jajka, pół kostki masła, chińskie zupki, czekoladę w proszku, mleko i wodę mineralną. Zapakowałem to wszystko do wehikułu, siadłem za kółkiem i wyjąłem telefon komórkowy. Zadzwoiłem do pana Tomasza.

- I jak tam, Pawle? - dopytywał się niecierpliwie szef. - Wiesz już, kto chce ukraść el Greca?

- Przecenia mnie pan, panie Tomaszu ... - stwierdziłem. - Mam prośbę. Pan, jako człowiek bywały, ma znajomości w kręgach artystów. Czy mógłby pan delikatnie wypytać o niejakiego Grzegorza Malinowskiego... Uczy w jednym z warszawskich liceów plastycznych...

Szef obiecał zadzwonić następnego dnia po południu.

Zadzwoiłem jeszcze do nadinspektora Skorlińskiego, znajomego z Komendy Głównej Policji. Poprosiłem go, żeby sprawdził, czy podejrzewane przez panią dyrektor osoby i kierownik Malinowski nie figurują w policyjnych aktach.

Potem uruchomiłem wehikuł i ruszyłem nad zalew.

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZBIJAM NAMIOT * „DYLAN” I AGNIESZKA - NOWI POMOCNICY * OGNISKO INTEGRACYJNE * IN VINO VERITAS * CO BYŁO W NAMIOCIE? * ZWIERZENIA KIEROWNIKA * PIOSENKA „DYLANA”, CZYLI WYWOŁYWANIE WILKA Z LASU

- Pan to chyba nigdy nie rozkładał namiotu - dziewczęcy głos odezwał się za moimi plecami, kiedy po raz dziesiąty próbowałem włożyć składaną rurkę do przeznaczonej do tego szpary w pokrywie namiotu. Rurka wchodziła do połowy, a potem rozkładała się i musiałem zaczynać od początku. Wiedziałem, że lepiej było wziąć moją starą pałatkę!

Obejrzałem się. Stała za mną szesnastolatka ubrana w zwiewną sukienkę. Na nogach miała japonki. Pod pachą trzymała płytę pilśniową z przyczepionymi do niej szkicami. Przez ramię przewiesiła torbę, z której wystawały pędzle. Prawie białe, długie i bardzo cienkie włosy powiewały na wietrze, który szedł od tafli zalewu. Miała słowiańską urodę i uśmiechała się szeroko. Obok niej przestępował z nogi na nogę trochę jakby zawstydzony wysoki chłopak o końskiej twarzy. Oczy zakrywały klasyczne ciemne okulary. Zmierzwiona czupryna wyrastała nad czołem.

Był to ten sam młodzieniec, który twierdził, że model el Greca cierpiał na zespół Marfana. Okulary opierały się na jego długim, prostym, haczykowatym nosie. Pod nim była szeroka przerwa, a niżej usta, które wydawały się wąskie. Dopiero kiedy chłopak je otworzył, okazało się, że ma szerokie wargi, za którymi widać było duże, trochę krzywe zęby.

- Może panu pomóc? - powiedział niepewnie i strzepnął niewidzialne pyłki z wąskich sztruksowych spodni i flanelowej koszuli w kratkę. - Wiem, że nie chciał pan mnie poniżyć w muzeum i już panu wybaczyłem. Uważam zresztą, że nie powinno się do nikogo chować zbyt długo urazy.

- Znowu zaczynasz swoją uduchowioną gadkę, „Dylan”. Lepiej pomóż panu Pawłowi! - napomniała chłopaka dziewczyna.

Chłopak już postąpił kilka kroków w kierunku rozgrzebanego namiotu, ale ja powstrzymałem go gestem ręki.

- Zaraz, zaraz... Skąd wiecie, jak się nazywam, przecież nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Coś mi się zdaje, że nie znaleźliście się tu przypadkiem...

Twarz dziewczyny z białej zmieniła barwę na czerwoną, a chłopak podniósł z ziemi jakąś gałązkę i nerwowo obrywał z niej listki. Czyżby byli szpiegami przysłanymi przez kierownika Malinowskiego?

- Słucham - wziąłem się pod boki. - Skąd mnie znacie?

- Przejrzał nas pan, panie Pawle - dziewczyna patrzyła w ziemię - ale proszę się nas nie obawiać... My jesteśmy wielbicielami przygód pańskich i pana Tomasza. Kiedy zobaczyliśmy jak przed muzeum wsiada pan do tego dziwnego starego samochodu, powiedziałam do „Dylana”, to znaczy Zbyszka, że to musi być pan... I że na pewno przyjechał pan, żeby bronić el Greca przed złodziejami...

- Skąd wiecie... - ugryzłem się język. - Chyba rzeczywiście będziemy musieli pogadać... Ale najpierw rozłożę namiot.

- Pomożemy panu! - powiedzieli jednocześnie młodzi ludzie.

Po kilku minutach namiot był gotowy do użytku. Wrzuciłem do środka śpiwór i prowiant. Rozstawiłem maszynkę turystyczną nalałem do garnuszka mleko i odezwałem się do moich nowych znajomych, którzy stali teraz kilka metrów dalej i szeptali cicho.

- Siadajcie. Chciałbym się wam odwdziżyć za to, że pomogliście mi z namiotem. Co powiecie na gorącą czekoladę?

Chłopiec i dziewczyna ciągle szeptali.

- O co chodzi? - powiedziałem niecierpliwym tonem. - W towarzystwie, moi państwo, nie ma tajemnic!

Bez słowa siedli obok pełgającej niebieskim ogniem maszynki turystycznej.

- No więc, o czym tak szeptaliście? Może o el Grecu?

Ale oni ciągle milczeli.

Dziewczyna szturchnęła chłopaka łokciem. Uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami, jakby chciał ją przede mną usprawiedliwić, a potem spojrzał na nią pytająco. Dziewczyna odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem, które zapowiadało, że jeśli nie zrobi tego o co go prosiła, zaraz się obrazi. Chłopak wypuścił powietrze, podnosząc brwi, i w końcu się odezwał.

- Panie Pawle - zaczął uroczyście - przyszliśmy tu, bo chcieliśmy prosić o autografy...

Spojrzałem uważnie na chłopaka i dziewczynę, ale szczerze twarze i niewinne oczy mówiły, że mogą im zaufać.

- Bardzo chętnie, ale najpierw musicie się przedstawić, bo ciągle jeszcze nie wiem, jak się nazywacie... - powiedziałem trochę weselej.

- Ja jestem Agnieszka Filipiak - dziewczyna przejęła inicjatywę - a to jest Zbyszek Baranowski - wskazała na towarzysza. - Ale wszyscy i tak mówią na niego „Dylan”, bo robi się na tego pieśniarza. Nosi czarne okulary, gra jego piosenki na gitarze i strasznie filozofuje.

Chłopak zrobił się czerwony, ale nie zaprzeczył. Sięgnął za to do swego chlebaka i wyciągnął z niej książkę o przygodach pana Tomasza z Winnetou, dziewczynka zaś podała mi tom o templariuszach.

- Chciałabym być taka jak kapitan Petersen! - powiedziała wręczając mi książkę. - Poszukiwanie skarbów na morzach i oceanach. To musi być piękne!

- Największe skarby kryją się w ludzkim sercu - powiedział filozoficznie „Dylan”, chowając podpisaną książkę do chlebaka.

- Oboje macie po trosze rację... - rzekłem pojednawczo, rozlewając czekoladę do kubków - a teraz powiedzcie mi, skąd wiecie o tym, że ktoś chce ukraść el Greca. Myślałem, że to tajemnica?

Agnieszka prychnęła, parząc sobie usta napitkiem:

- Całe miasto o tym plotkuje - wyjęła coś z kubka i odrzuciła za siebie. - Fuj! Kozuch! - skrzywiła się. - Wszyscy wiedzą, że mają przyjechać Hiszpanie i wymienić się z Muzeum Diecezjalnym obrazami. I że ktoś chce skompromitować dyrektora Jankowską, kradnąc obraz w dzień ich przyjazdu.

Zasępiłem się. Powoli piłem czekoladę. Wpatrując się w zachodzące za horyzont słońce i odbłaski światła na tafli zalewu, próbowałem zebrać myśli. Kto rozpuścił w okolicy wieści o wymianie z Muzeum Prado? Autor anonimu? A może ktoś inny? Jakiś tajemniczy przeciwnik na razie

skryty w cieniu...

- Panie Pawle - głos Agnieszki wyrwał mnie z zamyślenia - Panu Samochodzikowi często pomagali młodzi ludzie... Może moglibyśmy i my?

Spojrzałem na moich nowych znajomych. Wypili już swoją czekoladę i wpatrywali się teraz we mnie z nadzieją.

- No, nie wiem... - powiedziałem. - Złodzieje dzieł sztuki robią się coraz bardziej bezwzględni i okrutni. Wolałbym nie narażać was na niebezpieczeństwo... Poza tym jesteście tutaj po to, żeby rozwijać swoje zdolności malarskie, a nie detektywistyczne.

- Ale my się niczego nie boimy - powiedziała hardo dziewczyna. - Prawda, „Dylan”? - chłopak ochoczo pokiwał głową. - Poza tym, ten głupi Malinowski i tak niewiele nas może nauczyć, bo sam niewiele umie.

- Nie powinnaś się tak wyrażać o swoim opiekunie! - ofuknąłem ją. - Nawet jeśli wątpisz w umiejętności nauczyciela, to i tak powinnaś go szanować.

- Wszyscy dorośli są tacy sami! - rzuciła dziewczyna, podciągnęła kolana do brody i objęła je rękami, odgradzając się ode mnie. Była wściekła jak osa i obrażona.

- Ja i tak nie będę malarzem - powiedział „Dylan”, który zdjął okulary i wpatrywał się smutno w ziemię. - Starzy mnie zmusili, żebym poszedł do liceum. Jak tylko skończę osiemnastkę, ruszam w Polskę z gitarą. Będę zarabiał swoją grą na utrzymanie.

Agnieszka zaśmiała się cicho, ale nic nie powiedziała.

Siedzieliśmy w milczeniu. Patrzyłem na zalew, który już prawie całkiem wzięły we władanie ciemności nocy. Bryza idąca od wody mile chłodziła moją głowę umęczoną całodziennym upałem. „Przydaliby ci się pomocnicy. Osoby, które mają nieczyste sumienie w sprawie el Greca, już pewnie się dowiedziały o twoim przyjeździe i będą się miały na baczności. A na dwójkę młodych malarzy z pleneru nikt nie zwróci uwagi...” - przekonywałem się w myślach.

Rozmyślenia przerwał mi tym razem komar, który usiadł na moim odkrytym przedramieniu i ucztował w najlepsze. Nieprzyjemne ukłucie przywróciło mnie do rzeczywistości. Jednym ruchem ręki strąciłem owada i powiedziałem:

- Dobra, mam dla was zadanie...

Dziewczyna i chłopak skoczyli jak oparzeni. Unieśli ręce w górę i zaczęli dziki taniec nad brzegiem zalewu.

- HUUURRA! - krzyczeli.

- Uspokójcie się - syknąłem głośno.

Wrócili i usiedli. Ostatnie promyki słońca oświetliły ich rozpalone twarze.

- Musimy działać w konspiracji - tłumaczyłem im. - Nasi przeciwnicy nie mogą się dowiedzieć, że mi pomagacie... Rozumiecie?

Pokiwali w milczeniu głowami.

- Waszym pierwszym zadaniem będzie obserwacja. Miejcie oczy szeroko otwarte i jeśli zauważycie coś podejrzanego, zawiadomcie mnie. Macie komórki?

- „Dylan” nie używa komórki. Twierdzi, że nie da się prowadzić na smyczy. Ale ja mam telefon.

Zapisałem jej na karteczce mój numer. Spojrzałem na zegarek. Było dziesięć po dwudziestej pierwszej.

- Chyba pójdziemy już na ognisko? - powiedziałem, drapiąc się w głowę.

Podniosłem się ciężko z ziemi, otrzepałem spodnie z trawy i zanurkowałem do namiotu w

poszukiwaniu kiełbaski. Kiedy się z niego wynurzyłem, Agnieszka i „Dylan” siedzieli ciągle w tych samych miejscach. Szeptali bardzo cicho.

- O co tym razem chodzi? - zapytałem z przekąsem.

- O zadanie, które nam pan wyznaczył. Jest beznadziejne i nudne - powiedziała dziewczyna.

- Nie masz racji, młoda panno! Cierpliwość to jedna z najważniejszych cech detektywa, a obserwacja to jego podstawowe narzędzie, będziecie moimi oczami i uszami...

- Wolelibyśmy szukać skarbów w labiryntach albo rozwiązywać szyfry, albo... - Agnieszka zacięła się.

- ...albo ścigać złoczyńców pana wehikułem - dokończył za nią „Dylan”.

- Na razie nikt jeszcze, dzięki Bogu, nic nie ukradł - powiedziałem - i dlatego ograniczymy się do obserwacji... Ale jeśli coś się, odpukać, zdarzy, to obiecuję, że weźmiecie, oczywiście jeśli zgodzi się na to wasz opiekun, udział w rozwiązywaniu zagadki.

- Słowo? - zapytała Agnieszka.

- Daję wam na to uroczyste słowo pracownika Departamentu Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki! - powiedziałem to trzymając rękę na sercu. - A teraz, jeśli będziecie tak mili, to może zaprowadzicie mnie na to ognisko? Moje kiszki marsza grają!

Do obozu malarzy było jakieś trzysta metrów. Przeszliśmy obok czterech opustoszałych wielkich namiotów harcerskich.

- Wezmę tylko gitarę - powiedział „Dylan” znikając w ostatnim z nich.

- Jakby pan nas chciał znaleźć - tłumaczyła Agnieszka - to ja mieszkam w przedostatnim, a Zbyszek w tym tutaj.

Po chwili z namiotu wyłonił się „Dylan” z gitarą przewieszoną przez ramię. Przeszliśmy jeszcze pięćdziesiąt metrów i zostaliśmy hucznie powitani przez młodych malarzy, którzy już rozsiedli się na kocach wokół wesoło trzaskającego ognia. Kiełbaski zatknięte na kijkach puszczały już soki. Głód ścisnął mi żołądek.

Zapraszany przez kierownika Malinowskiego zająłem miejsce obok niego. Naciąłem kiełbaskę i nabiwszy ją na długi kij, opuściłem nad ogień. Obserwowałem moich nowych znajomych. Nie minęło pięć minut, a Agnieszka szepnęła coś na ucho „Dylanowi”, potem wzięła od niego kijek z kiełbaską, a chłopak sięgnął po gitarę. Głos miał trochę ochryply, ale nie fałszował. Przygrywając sobie na gitarze, zaśpiewał sławną balladę Boba Dylana „Blowin' in the Wind” (Odpowiedź gwizdże wiatr):

Ile oddziela nas granic i rzek

Od sensu, który jest w nas?

Ile mórz ujrzy ptak, nim ocali go brzeg

I długi sen w ciszy gwiazd?

Ile jeszcze eksplozji ogłuszy ten wiek,

Tę ziemię zasieków i krat?

Odpowiedź zna wiatr, odpowiedź gwizdże wiatr,

Odpowiedź, odpowiedź gwizdże wiatr.

Ile ostrości powinien mieć wzrok,

By dojrzeć niebo zza chmur?

Ile razy słuch złowi czyjś jęk albo szloch,

Nim wreszcie dosłyszysz w nim ból?

Ilu jeszcze na zawsze zagłębi się w mrok,

W ten mrok, co w nich samych się wkradł?

Odpowiedź zna wiatr, odpowiedź gwiżdże wiatr,

Odpowiedź, odpowiedź gwiżdże wiatr.

Ile przeminie imperiów i lat,

Nim góry skruszą się w pył?

Ile człowiek znieść może poniżeń i zrad,

Nim z łaski pozwolą, by żył?

Ile jeszcze zostało mu woli i sił,

By godzić się wciąż na ten świat?

Odpowiedź zna wiatr, odpowiedź gwiżdże wiatr,

Odpowiedź, odpowiedź gwiżdże wiatr.

Śpiew zamilkł, struny gitary brzdęknęły po raz ostatni, zapadła cisza. Gałązki trzaskały trawione ogniem. Iskry były w niebo. Zapach sośniny, zmieszany z wonią piekącej się kiełbasy, rozchodził się w powietrzu.

- Czas chyba się posilić - zaordynował kierownik Malinowski i pierwszy wyjął swoją kiełbasę z ognia.

Poszliśmy za jego przykładem. Z kijkiem w dłoni podszedłem do stolika, na którym stały tacki, widelczyki, musztarda, keczup i termosy z ciepłą herbatą. Przygotowałem jedzenie i już miałem sobie nalać herbaty do styropianowego kubeczka, kiedy poczułem, że ktoś szarpie mnie za koszulę. To kierownik Malinowski próbował mnie odciągnąć od stolika, przy którym tłoczyła się młodzież. Odszedłem z nim kilka kroków.

- Mam coś lepszego niż herbata... - szepnął. - Niech pan tylko spojrzy - wyjął zza pazuchy butelkę wypełnioną rubinowym płynem. - Wino, moje własne! Napije się pan?

- Dobrze - odpowiedziałem, bo wpadł mi do głowy pewien pomysł.

Kierownik energicznie wypełnił mój kubeczek, potem zrobił to samo ze swoim i stuknął w moje naczynie.

- A pana uczniowie? Co oni sobie pomyślą?

- Pan ich nie zna ... - powiedział sztucznie zatroskanym tonem. - Zapewniam, że nie ograniczą się tylko do herbaty.

- I nic pan nie robi?

- A co ja mogę zrobić? Pan jest bardzo staroświecki, panie Pawle...

- No to zdrowie - wzniosłem toast.

- Zdrowie! - powiedział cicho Malinowski. - I na pohybel złodziejom el Greca! - jednym haustem opróżnił swój kubeczek. Ja ledwie zamoczyłem usta w winie. Było bardzo smaczne, ale musiałem zachować trzeźwość.

- Jeszcze mam - rzekłem zakrywając kubeczek ręką.

Malinowski nalał sobie znowu.

- Chodźmy do ogniska, bo zaczną coś podejrzewać... - uśmiechnął się do mnie, znów wychylił kubeczek i ruszył w stronę ognia.

Upewniłem się, że nie widzi co robię i kucnąwszy, wylałem wino w trawę.

- Panie Pawle! - zawołał Malinowski. - Może nam pan opowie o którejś ze swoich przygód?

Zgodziłem się i zacząłem snuć opowieść o niedawnych perypetiach, które przyszło mi przeżyć.

Młodzież słuchała z zainteresowaniem, ale kierownik Malinowski co jakiś czas oddalał się od ogniska z przeproszającym uśmiechem. Za każdym razem wracał coraz weselszy, z coraz bardziej świecącymi oczami i coraz mniej pewnym krokiem. Czerwone plamy, które dobrze widziałem na jego koszuli w świetle ogniska i duszny zapach upewniały mnie o celu jego wycieczek. Wreszcie skończyłem opowiadać i młodzi ludzie nagrodzili mnie oklaskami. Wstałem, ukloniłem się z uśmiechem i usiadłem.

Ognisko powoli dogasało. Młodzież nie siedziała już kręgiem wokół ognia, ale podzieliła się na małe grupki. Słysząc było zewsząd przyciszone rozmowy, śmiech i brzdęknięcia gitary „Dylana”, który siedział sam pod drzewem i wpatrywał się w księżyc rozmyślając nad czymś.

- Panie Pawle, panie Pawle - rozległ się gdzieś za mną bełkotliwy szept. - Jest pan tam?

Obróciłem się i zobaczyłem kępę krzaków, spod której wystawały stopy kierownika Malinowskiego. Zajrzałem tam. Szef pleneru leżał z szeroko rozrzuconymi rękami. W jednej z nich ścisnął pustą butelkę po winie.

- Panie Samochodziku kochany, czy nie pomógłby mi pan dojść do namiotu? Tak się jakoś słabo poczułem.

Pomogłem mu wstać z ziemi i zaprowadziłem do namiotu. Przed wejściem kierownik Malinowski zajrzał do butelki jednym okiem i wybełkotał:

- Pusta - obliznął wargi i szerokim ruchem odrzucił od siebie flaszkę. - Szkoda, takie było dobre... A mnie się dalej tak strasznie chce pić... Czy nie ma pan u siebie w namiocie czegoś mocniejszego?

- Niech pan poczeka, kupiłem dzisiaj butelkę koniaku... Chciałem go dolewać do herbaty, gdyby zrobiło się zimno, ale chętnie wychylę z panem kieliszeczek...

Usadziłem go pod akacją która rosła obok namiotu. Głowa opadła mu na piersi, a powieki zakryły oczy. Najszybciej jak umiałem pobiegłem do wehikułu po alkohol, żeby zdążyć wrócić, zanim kierownik Malinowski zaśnie. Udało mi się.

- Kieliszki są w środku, zaraz obok wejścia - powiedział powoli, z trudem wymawiając słowa.

W namiocie panował bałagan. Ubrania leżały na stosie w nogach śpiwora. Ale moją uwagę zwróciła leżąca obok nich wczorajsza lokalna gazeta i artykuł, który zaznaczono czerwonym mazakiem:

WYSTAWA IKON SKONFISKOWANYCH NA GRANICY

Ikony zabrane przemytnikom będzie można oglądać od niedzieli w Muzeum Diecezjalnym w Siedlcach.

Na wystawie, która potrwa dwa miesiące, zostanie pokazanych kilkaset pięknych ikon z Muzeum Ikon w Supraślu. Dużą część eksponatów stanowią skonfiskowane przez celników ikony, które próbowano przemyścić ze Wschodu, głównie z Białorusi, do Polski.

Nie mogłem dalej czytać ani się zastanawiać, bo kierownik Malinowski nawoływał niecierpliwym głosem:

- Panie Samochodzik, co pan tam tak długo robi? Mówiłem, że kieliszki są obok wejścia.

- Strasznie tu ciemno! Nic nie mogę znaleźć - odkrzyknąłem mu, nerwowo poszukując we wskazanym miejscu. W końcu usłyszałem ciche stuknięcie i z kieliszkami w rękę wynurzyłem się z namiotu.

Kierownik Malinowski nie próżnował. Odkorkował już butelkę i pociągnął z niej spory łyk. Uśmiechał się do mnie głupkowato.

- No to siup, Samochodzik! - spoufalał się coraz bardziej. - Nalewaj!

Upewniłem się, że wypił całą zawartość kieliszka i wypaliłem:

- Ten el Greco... Piękny obraz...

- A tak - kierownik Malinowski pokiwał głową z zamkniętymi oczami - bardzo piękny.

- I cenny...

- Podobno wart pięć milionów euro. Kupa szmalu...

- Ale chyba nie dałoby się go sprzedać...

- No właśnie, lepiej... - Malinowski zaciął się. Nie mogłem go popędzać, chociaż rozpięła mnie ciekawość, co też powie. Musiałem ograniczyć się do obserwacji.

Kierownik pleneru zajrzał do kieliszka i zorientowawszy się, że jest pusty, wyciągnął w moim kierunku chwiejącą się rękę:

- Nalej jeszcze!

Spełniłem jego życzenie, ale to był błąd.

Wypiwszy, Malinowski stracił kontakt z rzeczywistością. Zachowywał się jakby mnie nie widział. Wstał i gwałtownym ruchem urwał gałązkę z akacji, pod którą przed chwilą leżał. Usiadł i ciężko sapnąwszy, oparł się znów o drzewo. Wpatrywał się przez chwilę w gałązkę, a potem zaczął obrywać z niej listki, mamrocząc cicho:

- El Greco, ikony, el Greco, ikony...

Szybko znudziła go ta wyliczanka, odrzucił gałązkę, na której ciągle było kilka listków, zaplótł ręce na piersi i zapadł w drzemkę.

Oponował, kiedy próbowałem go obudzić i zaprowadzić do namiotu. W końcu jednak uległ i wczółgał się do śpiwora. Po sekundzie dobiegło mnie głośnie chrapanie.

Rozmyślając o najświeższych odkryciach, wróciłem do ogniska. W ciemnościach rozświetlonych już tylko nikłym blaskiem dogasającego żaru, zobaczyłem siedzących po turecku i szepczących pomiędzy sobą Agnieszkę i „Dylana”. Byli tak zajęci rozmową że musiałem chrząknąć, żeby mnie zauważyli.

- A, to pan... - odezwała się dziewczyna. - Gdzie pan był?

Nie chciałem podrywać autorytetu wychowawcy u młodych ludzi, dlatego odpowiedziałem wymijająco:

- Tu i tam...

- „Dylan” ułożył dla pana piosenkę o obrazie el Greca - powiedziała Agnieszka.

- Naprawdę? - usiadłem naprzeciw nich.

- To tylko taki żarcik... - twarz chłopaka była czerwona. Nie wiedziałem, czy od żaru, czy z zawstydzenia.

- Zaśpiewaj - zachęciłem go serdecznym tonem.

„Dylan” chrząknął, poprawił gitarę. Brzdęknięły struny.

W mieście Siedlce był obraz wielkiego el Greca,

Myślał, że końca świata w muzeum doczeka.

Nocą przyszli złodzieje,

Porwali obraz w knieje.

I nie było już w Siedlcach Świętego Człowieka.

Agnieszka zaśmiała się cicho, ale mnie wcale nie było do śmiechu. Wiedziałem już, że groźba kradzieży obrazu nie była żartem, że w spokojnych Siedlcach działają siły, które czekają tylko na

okazję, by wyjść na chwilę z ukrycia, zagarnąć obraz i znów zniknąć w mroku.

Dlatego odebrałem piosenkę „Dylana” nie jako zabawny żarcik, ale groźną przepowiednię.

ROZDZIAŁ CZWARTY

**OGŁOSZENIE, CZYLI JAK ZARZUCIŁEM WĘDKĘ * KUSTOSZ ROMAN BOGUSZ PRZEWODNIKIEM *
RYBA BIERZE! * OSTRZEŻENIE * GDZIE SIĘ UBRUDZIŁ KIEROWNIK MALINOWSKI? * SKRZYNIA Z
PRZEGRODAMI * MIASTO-WIDMO * SZERMIERZ W KAPTURZE * PRZEBUDZENIE**

Myślałem twarzą w zalewie po ciężko przespanej nocy. Dawno nie nocowałem na ziemi, od której odgradzała mnie tylko karimata, a poza tym czarne myśli kłębiące się w mojej głowie, jak ciemne chmury na obrazach el Greca, nie pozwalały mi zasnąć. Skończyłem ablucje i cesałem rozwichrzone włosy, kiedy zobaczyłem, że brzegiem zalewu zmierza w moją stronę kierownik Malinowski.

Poruszał się powoli i ciężko. Miał na sobie szare spodnie podtrzymywane przez szelki i biały podkoszulek bez rękawów. Zbliżył się do mnie i wyraźnie zobaczyłem nieogoloną zmiętą twarz z podkrążonymi oczami. W ręce trzymał butelkę kefiru i co chwila zwilżał wyschnięte usta znanym lekarstwem na kaca.

- Wczoraj chyba trochę przesadziłem - powiedział witając się ze mną.

Usiadł na brzegu, upił trochę kefiru i przejechał ręką po głowie, próbując uporządkować rozczochrane włosy.

- Najgorsze jest to - zwierzał mi się dalej - że prawie nic nie pamiętam. Kojarzę tylko, że pomógł mi pan wrócić do namiotu. Myśli pan, że młodzież niczego się nie domyśliła?

Ucieszyłem się w myślach z tej niepamięci kierownika Malinowskiego. Była mi bardzo na rękę. Wiedziałem już o jego zainteresowaniu ikonami, a on niczego się nie domyślał.

- Raczej nie - powiedziałem drapiąc się po głowie. - Było ciemno...

- Całe szczęście... - odetchnął z ulgą i napił się kefiru. - To byłaby katastrofa pedagogiczna... A tak w ogóle - przypomniał sobie o czymś - czy jedzie pan do centrum?

- Tak - odpowiedziałem. - Mam dzisiaj w planach zwiedzanie.

- Czy mógłby pan mnie podwieźć do miasta?

- Oczywiście, ale zaraz wyjeżdżam.

- Za sekundę będę gotowy - powiedział i popędził do swojego namiotu.

Zjawił się za chwilę wyświeżony, w czarnej atłasowej marynarce i białych spodniach. Miał trochę trzeźwiejsze spojrzenie. Widocznie poranny ruch dobrze mu zrobił. Wsiedliśmy do pojazdu i ruszyliśmy w drogę.

- A pan po co jedzie do centrum? - zagadnąłem od niechcienia.

- Niech pan sobie wyobrazi - odpowiedział po chwili - że tu w Siedlcach mieszka mój kolega ze studiów... Jest dyrektorem Muzeum Regionalnego. Dzisiaj mamy się spotkać.

Potem rozmawialiśmy już tylko o pogodzie, sporcie i polityce, bo kierownik Malinowski jak ognia unikał tematu swojego wczorajszego zachowania i usiłował skierować rozmowę na inne tory. Po kilku minutach dotarliśmy do ratusza, w którym swoją siedzibę miało Muzeum Regionalne. Kierownik Malinowski wysiadł.

Wychyliłem się przez okno i szukałem wzrokiem rzeźby Atlasa dźwigającego ziemski glob, którą

umieszczono na szczycie wieży muzeum. Mieszkańcy Siedlec przewalili go „Jackiem”, a od niego nazwę przejął ratusz, który jest ciekawym przykładem handlowego typu tego rodzaju budowli. Pod oktagonalną wieżą szeroko przysiadły sukiennice.

Musiałem już jechać do Muzeum Diecezjalnego, więc obiecałem sobie, że później odwiedzę ten ciekawy budynek. Zobaczyłem jeszcze, jak kierownik Malinowski wchodzi do środka i ruszyłem do ulicy Piłsudskiego, z której po chwili skręciłem w prawo, w ulicę Orzeszkowej, i znowu w lewo, w ulicę biskupa Świrskiego, u której końca, naprzeciwko katedry, znajdowało się Muzeum Diecezjalne.

Zaparkowałem wehikuł i poszedłem do kiosku po gazetę, w której wczoraj zamówiłem ogłoszenie. Tak jak chciałem, rzucało się w oczy.

!!! KUPIĘ MASZYNY DO PISANIA !!!
KOLEKCJONER KUPI
STARE NIEMIECKIE MASZYNY DO PISANIA
Z PRZERÓBKAMI NA POLSKI ALFABET
PŁACĘ GOTÓWKĄ!

Dalej był mój numer telefonu. Uśmiechnąłem się do siebie i zamknąłem gazetę.

Zapytacie pewnie, po co mi stara maszyna do pisania? Otóż w ten właśnie sposób chciałem dotrzeć do autora anonimu, który otrzymała dyrektor Jankowska. Nadawca tego uroczego liściku popełnił błąd, pisząc go na maszynie. Lepiej dla niego byłoby, gdyby wykleił tekst literami wyciętymi z gazety, maszyna do pisania bowiem zostawia prawie takie same ślady jak ręka przestępcy pozbawiona rękawiczki, odciskająca linie papilarne na przedmiotach.

Można łatwo odgadnąć, na jakiej maszynie został napisany tekst, a to po wielkości i kształtach liter czy nawet nieuniknionych skazach fabrycznych czcionek. Kiedy dokładniej przyjrzałem się anonimowi, zrozumiałem od razu, że został napisany na niemieckiej maszynie, którą po wojnie przerobiono tak, żeby można pisać na niej po polsku. Czcionki z „ą”, „ę” i innymi naszymi „krzaczkami” różniły się od oryginalnych. Poza tym trzy czcionki tej właśnie maszyny były szczególne. Litera „r” drukowała się trochę wyżej niż reszta tekstu, kółko „o” było przerwane w dolnej części, a w „j” brakowało kropki, która musiała się wytrzeć przez lata użytkowania.

Rozumiecie więc doskonale, że gdyby udało mi znaleźć właściciela tej właśnie maszyny, byłbym bardzo blisko autora anonimu. Zamieszczenie ogłoszenia było zarzuceniem wędki. Na razie nikt się nie odezwał, ale tak samo jak wędkarz musi trochę zaczekać, zanim ryba weźmie, tak i ja musiałem uzbroić się w cierpliwość. Wrzuciłem gazetę do wehikułu i wszedłem do Muzeum Diecezjalnego.

Pani dyrektor przyjęła mnie w swoim gabinecie. Dzisiaj była ubrana w mniej oficjalną czerwoną letnią sukienkę (w soboty muzeum było nieczynne dla zwiedzających). Jej ramiona okazały się być równie śniade jak twarz.

- Witam, panie Pawle! - uśmiechnęła się promiennie. - Przedstawiam panu Romana Bogusza - z fotela zerwał się chudy młodzieniec. - Jest jednym z naszych kustoszy. Doskonale zna Siedlce.

Roman Bogusz miał chudą twarz z wielkim nosem i „kurzymi łapkami” wokół oczu, które świadczyły o tym, że lubił się śmiać. Brwi lekko uniesione do góry na końcach dodawały mu jakiejś powagi. W brązowych oczach, skrytych za okularami w cienkich oprawkach, igrały wesołe ogniki. Kwadratową brodę przecinało na środku wgłębienie.

Był ubrany skromnie, w czarne sztruksowe spodnie i marynarkę w tym samym kolorze, pod którą nosił białą koszulkę. Przejechał dłonią po czarnych, krótko przystrzyżonych włosach.

- Cieszę się, że będę pańskim przewodnikiem - podał mi szczupłą dłoń i uśmiechnął się. Można było odnieść wrażenie, że szeroka szczęka ciągnie się od ucha do ucha.

- Miło mi pana poznać, panie kustosz...

- Od razu: kustozu! - zachnął się młodzieniec. - Proszę mi mówić po imieniu.

- Dobrze, panie Romanie... - spodobała mi się skromność młodego muzealnika. - Od czego zaczniemy zwiedzanie?

Mało brakowało, a wycieczka po Siedlcach zakończyłaby się, zanim jeszcze do niej doszło. W drzwiach wyjściowych Roman Bogusz przepuścił mnie. Wyszedłem z cienia rusztowań przystawionych do fasady i usłyszałem nad sobą szczęk metalu. Spojrzałem w górę. Biała plama farby pędziła w moją stronę z samej góry rusztowania. Wepchnąłem kustosza, który szedł za mną z powrotem do budynku. Odskokczyłem dwa metry od wejścia. Udało się.

Wiadro brzęknęło o bruk. Kilka kilogramów białej farby rozprysnęło się przed wejściem do muzeum. Na szczęście tylko dwie krople zabrudziły mi spodnie.

- Przepraszam, kierowniku! - odezwał się z góry zachrypnięty głos murarza.

Spojrzałem tam i zobaczyłem zarośniętego majstra podnoszącego metalowe wiadro i robotników, którzy, skrecając się ze śmiechu, wracali do przerwane go tynkowania ściany. Jeden z nich gramolił się na dół, żeby posprzątać po wypadku.

Roman Bogusz wyszedł z budynku, zręcznie przeskoczył przez kałużę farby i skierowaliśmy się na wschód ulicą biskupa Świrskiego. Po chwili szybkiego marszu stanęliśmy przed klasycystycznym piętrowym budynkiem krytym czerwoną dachówką z parterowymi skrzydłami po bokach. Uwagę zwracał portyk z jońskimi kolumnami.

- Pałac pochodzi z XVIII wieku - opowiadał Roman Bogusz. - Jego ostateczny kształt nadała mu w latach 1776-1782 jedna z najważniejszych person w prawie pięćsetletniej historii naszego miasta, hetmanowa wielka litewska Aleksandra Ogińska, żona hetmana Michała Ogińskiego, tego samego, który najpierw był kandydatem Rosji na króla Polski...

- ...a potem walczył przeciw niej w szeregach konfederatów barskich. Świetny administrator, pisarz, mecenas sztuki i, jakby tego było mało, wybitny muzyk - popisałem się wiedzą.

Roman Bogusz spojrzał na mnie z uznaniem.

- W rzeczy samej, panie Pawle. Aleksandra Ogińska była, rzeklibyśmy dzisiaj, animatorką życia kulturalnego miasta. Organizowała wiele imprez, wystawiała spektakle, gościła znamienite osobistości. Największe nazwiska tamtej epoki! Dwa razy mieszkał tu król Stanisław August Poniatowski, bywali wybitni poeci polskiego Oświecenia: Franciszek Karpiński, Julian Ursyn Niemcewicz i Dionizy Kniaźnin! Hetmanowa bardzo dbała o Siedlce, remontowała miasto, brukowała drogi... To za jej czasów miasto przeżywało swój „złoty wiek”.

- Słyszałem, że jest tu piękny park?

- A tak, nasza Aleksandria. Nie taka piękna jak kiedyś i nie taka duża. Nie ma już meczetu, teatru letniego, grot... - poprowadził mnie w lewo od pałacu, pod wysokimi drzewami. Szukał przez chwilę czegoś wzrokiem, a potem podbiegł do rozłożystego drzewa z przypiętą tabliczką informującą że to pomnik przyrody, i klepnął je familiarnie.

- Właściwie ze starego sentymentalnego założenia zostały tylko drzewa i tylko one pamiętają jeszcze może wizytę Stanisława Augusta w Siedlcach. Hetmanowa Ogińska kazała wtedy pobudować w parku altanki, na stawach usypała wysepki, pomiędzy którymi można było się przemieszczać na łódkach. Z każdej altanki wyglądali ludzie witając swojego monarchę. Stare dzieje, ale to miejsce

jest ciągle ważne dla miasta. W pałacu rezyduje Akademia Podlaska, a park służy wszystkim mieszkańcom...

Wyszliśmy z parku i po chwili doszliśmy do ulicy Piłsudskiego, która wraz ze Starowiejską przecina Siedlce na pół. Po lewej minęliśmy pierwszy kościół parafialny Św. Stanisława Biskupa i weszliśmy na plac przed ratuszem, na którym dzisiaj rano wysadziłem kierownika Malinowskiego.

Przez całą drogę kustosz Bogusz zabawiał mnie wesołymi anegdotkami z historii miasta i okolic. Mówił o archeologu Ottonie Warpechowskim, który uratował zamek w Liwie, opowiadając niemieckiemu staroście, że zamek jest krzyżacki, chociaż naprawdę zbudował go książę mazowiecki, Janusz I Starszy; o tym jak Jan Paweł II, jeszcze jako metropolita krakowski podczas pogrzebu biskupa częstochowskiego przypadkowo nie przywitał się z biskupem siedleckim i zauważywszy swoją omyłkę, podszedł do pominiętego i powiedział: „Świnia jestem, nie przywitałem Księdza Biskupa!”; przytoczył wreszcie mrozącą krew w żyłach opowieść, która ostatnio obiegła miasto: właściciel sklepu spożywczego znalazł w skrzynce z włoskimi winogronami dwudziestocentymetrowego, żywego węża! Dzięki tym krotochwilom nie zauważyłem, kiedy znaleźliśmy się przed wejściem do „Jacka”.

Roman Bogusz poprowadził mnie do marmurowej tablicy wiszącej na białym murze ratusza. Pod płaskorzeźbą przedstawiającą piorun uderzający z chmury w wieżę siedleckiego ratusza, wyryto wiersz Franciszka Karpińskiego:

Gdy z szumem piorun przybieży

Tu złamie siły burzliwe

Wszelako bać się należy

Bo mocno niebo gniewliwe.

- Ten wiersz umieszczono w kuli na szczycie ratusza w 1784 roku. Karpiński napisał go specjalnie z okazji zamontowania na budynku konduktora, czyli piorunochronu...

- To musiał być jeden z pierwszych piorunochronów w Polsce - powiedziałem nieco zaskoczony.
- Jeśli dobrze pamiętam, pierwszy konduktor umieszczono na Zamku Królewskim w Warszawie w 1778 roku.

- Było to trzecie takie urządzenie w Polsce. Drugie też zamontowano w Siedlcach. Trzy albo cztery lata wcześniej, na pałacu. Sam pan widzi, że Aleksandra Ogińska była nowoczesną kobietą. Ale piorunochrony pojawiły się na siedleckich dachach nie bez powodu. Miasto od wieków trażyły pożary, już przodkowie hetmanowej wprowadzali przepisy mające zapobiec atakom żywiołów, ale to właśnie Aleksandra Ogińska wprowadziła bardzo nowoczesne przepisy przeciwpożarowe. Każdy dom był wyposażony w zbiornik wodny, bosaki i drabinę. W mieście działało coś na wzór dzisiejszej ochotniczej straży pożarnej. Ostre przepisy dotyczące odległości między domami, pokryciu dachów i zakazu palenia na ulicach i placach miały bronić miasto przed ogniem. Proszę za mną - kustosz wskazał na wejście do muzeum. - Pokażę panu portret hetmanowej.

Józefa Aleksandra z Czartoryskich Ogińska, hetmanowa wielka litewska, wyglądała na kobietę nieco już zmęczoną życiem, ale ciągle jeszcze aktywną. Wesołe oczy patrzyły śmiało i dobrodusznie. Długie, białe włosy zawijały się szeroką falą nad czołem i opadały po prawej stronie na ramię, prawie znikając pod ramą obrazu. Uśmiech na zaciśniętych wargach miał w sobie zarówno jakąś pogodną rezygnację, jak i wyzwanie rzucone światu. Lekko obrócona twarz z mocno zaznaczonym podbródkiem znamionowała przekorny charakter.

Wyobraziłem sobie hetmanową wybiegającą z pałacu w nocy, tylko w letnim płaszczu. Pokrzykującą na biegających po zalanym czerwoną łuną podjeździe pacholków, żeby czym prędzej chwyтали wiadra i ruszali gasić pożar. Uśmiechnąłem się pod nosem.

- Widzę, że i pan znalazł się pod urokiem tej postaci... - rzekł głośno Roman Bogusz.

- Chyba tak - odrzekłem normalnym tonem. - Podejrzewam, że niezwykle by ją uradowała wiadomość, że w jej mieście jest teraz obraz el Greca...

- Zapewne - odpowiedział chłodnym tonem kustosz. Jego twarz na chwilę spochmurniała, a ja przeraziłem się, że powiedziałem coś niestosownego. Kustosz odwrócił twarz, a kiedy spojrzał znów na mnie, uśmiechał się. - Chodźmy dalej. Mamy sporo do obejrzenia.

Siedleckie Muzeum Regionalne ma w swoich zbiorach ciekawe eksponaty. Sporą kolekcję narzędzi z epoki kamienia łupanego, urny na prochy zmarłych z czasów od epoki brązu do początków średniowiecza, ceramikę i broń średniowieczną. Uwagę zwracają pieczołowite rekonstrukcje wnętrza dawnej chaty wiejskiej, dworku szlacheckiego i pałacu ziemiańskiego. Można tu też zobaczyć ciekawe kolekcje prac wybitnego modernistycznego rzeźbiarza i malarza Konstantego Laszczki oraz sławnego artysty-ceramika Albina Tomaszewskiego. Prawdziwym jednak rajem jest siedleckie muzeum dla miłośników historii wojskowości: sporo broni, wyposażenia, a przede wszystkim części niemieckich rakiet V2.

Oglądaliśmy właśnie tuleję, będącą kiedyś częścią tej tajemniczej broni, kiedy do sali wszedł chudy łysawy mężczyzna w brązowym garniturze.

- Niech pan chwilę zaczeka - powiedział szeptem Roman Bogusz. - To dyrektor muzeum, przedstawię pana... - i pobiegł w jego kierunku.

Po pięciu minutach Roman Bogusz podszedł do mnie w towarzystwie urzędnika:

- Dzień dobry, panie Pawle - pod cienkim wąsikiem na opalonej twarzy dyrektora pojawił się szeroki uśmiech. - Taka wizyta to dla nas zaszczyt!

Zrozumiałem, że kustosz musiał powiedzieć dyrektorowi, że jestem z ministerstwa. Urzędnik pewnie przestraszył się wizytacji i starał się zrobić na mnie jak najlepsze wrażenie. Spojrzałem z wyrzutem na Romana Bogusza, ale ten tylko uśmiechnął się przepaszająco.

- Czy muzeum się podoba? - mówił coraz szybciej i coraz bardziej nerwowo. - Widzę, że pan ogląda fragmenty V2. No, mamy tego najwięcej w kraju...

- Panie dyrektorze, to muzeum jest prowadzone wzorowo - zapewniłem go. Urzędnik odetchnął z wyraźną ulgą. - Chociaż jestem tu na urlopie, nie omieszkać szepnąć słówka moim szefom, kiedy wrócę do pracy. Tę placówkę można stawiać za wzór!

Dyrektor był tak zadowolony, że pewnie gdybym go poprosił, podarowałby mi któryś z eksponatów. Wziąłem go pod rękę i odchodząc trochę na bok, zapytałem konfidencjonalnym szeptem:

- Mam pytanko... - spojrzałem mu w oczy. - Czy zna pan może Grzegorza Malinowskiego? Jest kierownikiem pleneru, na który przyjechała tu warszawska młodzież licealna.

Niespokojne i zaskoczone spojrzenie dyrektora, błędzące pomiędzy mną i kustoszem, dało mi odpowiedź na moje pytanie, zanim dyrektor wykrztusił:

- Czy to ten łysy osobnik, który włóczy się po okolicy z chmarą dzieci? Jeśli o niego pan pyta, to był tu kilka dni temu.

- I nigdy wcześniej go pan nie widział? - zapytałem.

Odpowiedź dyrektora była błyskawiczna:

- Nigdy!

- W takim razie proszę dalej prowadzić swoją placówkę w tak wzorowy sposób jak dotychczas - powiedziałem. - Panie kustoszu, idziemy! - rzuciłem Boguszowi i uściskawszy rękę zdębiałego urzędnika, ruszyłem do wyjścia.

Do katedry mieliśmy dziesięć minut.

Bogusz, który wcześniej był wesoły i rozgadany, szedł teraz w milczeniu, wpatrując się w chodnik. Nie wytrzymałem i w końcu powiedziałem:

- Panie kustoszu, czy coś się stało? Może mogę jakoś pomóc?

- Przepraszam, panie Pawle - powiedział kustosz zboliałym tonem. - Przypomniałem sobie o czymś przykrym.

Nie pytałem dalej, podejrzewając, że chodzi pewnie o sprawę osobistą.

Kustosz rozchmurzył się dopiero, kiedy stanęliśmy pod katedrą i popatrzyliśmy w górę na jej strzeliste wieże.

- Lubię neogotyki - powiedział Roman Bogusz. - Dobra sztuka musi odwoływać się do tradycji.

Weszliśmy do katedry. Wielką nawą główną zbliżaliśmy się do ołtarza, kiedy odezwała się moja komórka. Spiekłem raka i z przeproszającym wyrazem na twarzy, odprowadzany zagniewanymi spojrzeniami innych turystów, wybiegłem ze świątyni. Spojrzałem na wyświetlacz. Nie znałem numeru, z którego dzwoniło. Odebrałem.

- Dzień dobry. Mam, prawda, maszynę do pisania, która pana zainteresuje, prawda, mogę ją sprzedać - głos należał do człowieka trochę już steranego życiem. - Pan, prawda, dalej jest zainteresowany?

- Tak - starałem się powstrzymać podniecenie. - Kiedy możemy się spotkać?

- Którą to mamy, prawda, godzinę? Aha, jest piętnasta, nawet zaraz, prawda...

Pożegnałem się szybko z moim przewodnikiem i ruszyłem do wsi, w której mieszkał człowiek proponujący mi kupno maszyny. Domysły cisnęły mi się do głowy, ale na razie starałem się skupić na jeździe i oczyścić umysł, żeby nie popełnić błędów w śledztwie, które zdarzały się, gdy za bardzo poniosły mnie emocje.

Po drodze odebrałem dwa telefony.

- Witaj, Pawle... Mam dla ciebie informacje o tym Malinowskim. Jego koledzy ze studiów mówią, że jeśli chodzi o malarstwo to orłem nie był. Uprawiał zachowawczy akademizm. Dwa razy ledwo zdał. Miał za to smykałkę do liternictwa...

- Co w takim razie robi na plenerze malarskim?

- Sprawdziłem to. Sam się zgłosił, bardzo nalegał, a że innym nauczycielom zależało na urlopie, więc skwapliwie wykorzystali jego zainteresowanie. I co, pomogłem ci?

- Bardzo dziękuję, szefie...

Zadzwoił też generał Skorliński z informacją, że tylko dwie osoby, o których sprawdzenie go prosiłem, figurują w aktach policji. Mąż sekretarki, który kiedyś został oskarżony o zbyt głośne zachowanie na jakiejś imprezie i Grzegorz Malinowski, który był przesłuchiwany jako świadek w sprawie drobnego fałszerstwa obrazu Matejki.

Zajechałem pod drewniany domek z dwuspadowym dachem, otoczony ogródkiem. Wszedłem przez otwartą bramkę w płocie oplecionym bluszczem. Pod rozłożystym drzewem, które rosło przed domem, na ławeczce siedział chudy i bardzo wysoki człowiek. Wyciągnął długie nogi w zbyt krótkich spodniach, dając im odpocząć. Był ubrany w białą koszulę i ciemnozieloną kamizelkę. Przymknął oczy i mocną ręką gładził swoją siwą hiszpańską bródkę i wąsy. Co chwila przykładał do

ust przypominających kreskę, długi cybuch fajki.

- Dzień dobry! - przywitałem się. - Przyjechałem w sprawie maszyny.

Starszy człowiek powoli obrócił głowę w moją stronę. Łypnął na mnie podejrzliwie. Podciągnął nogi, przegiął się lekko do przodu i odłożył fajkę na ławkę. Wsparł się na chudych rękach i wstał. Chwiejnym krokiem podszedł do mnie. Był ode mnie wyższy przynajmniej o dwie głowy. Wyciągnął rękę i powiedział:

- Witam pana, prawda, a więc przyjechał pan po moją starą maszynę. Długo leżała na strychu, prawda... Napije się pan kompotu? A potem, prawda, obejrzymy sobie sprzęt.

W kuchni ocienionej rosnącą za oknami lipą gospodarz postawił przede mną szklanekę wypełnioną czerwonym napojem. Kompot mile ochłodził moją głowę i przywrócił jasność umysłu. Człowiek z hiszpańską bródką spoglądał na mnie z drugiej strony stołu z dziwnym uśmiechem:

- Pan, prawda, nietutejszy?

- Tak, jestem z Warszawy. W lecie jężdżę po Polsce i skupuję maszyny w różnych częściach kraju. Nazywam się Paweł Daniec.

- Jan Surdykowski - gospodarz podał mi rękę. - Da się z tego, prawda, wyżyć? Bo pańskich samochód, prawda, nietęgo wygląda...

Zaśmiałem się sztucznie.

- Kokosów na tym interesie nie da się zrobić, ale na skromne życie wystarcza...

- Podoba się panu nasza, prawda, okolica?

- Bardzo - podjąłem uradowany, że rozmowa zeszła na tory mnie interesujące. - Byłem dzisiaj w muzeum i widziałem el Greca, piękny obraz...

Twarz mojego rozmówcy przeciął jakiś skurcz. Oczy zasnuła mgła gniewu.

- El Greco to, prawda, prawdziwy skarb naszej, prawda, ziemi, może największy... Ale muzeum jest, prawda, w nieodpowiednich rękach.

- Tak? - udałem zdziwienie. - Byłem dzisiaj u pani dyrektor. Pytałem ją oczywiście o te moje maszyny do pisania. Wygląda mi na kompetentną osobkę...

Surdykowski prychnął gniewnie.

- Widzę, że i pana, prawda, omotała ta czarownica!

- Nie podoba się panu jak kieruje muzeum? Placówka wygląda na zadbaną...

- Nie o to chodzi, prawda - machnął ręką jakby uważał, że nie ma co wyjaśniać, bo i tak nie zrozumie. - Ten el Greco to jest szansa... To mogłoby być, prawda, jedno z naszych najwspanialszych muzeów. Pracowałem kiedyś, prawda, w muzeum w Warszawie. Mam wizję, dzięki której Siedlce miałyby placówkę muzealną z prawdziwego, prawda, zdarzenia...

„Tuś mi, bratku” - ucieszyłem się w duchu, bo rozpoznałem w Janie Surdykowskim męża sekretarki burmistrza, który przegrał z dyrektorem Jankowską wyścig do dyrektorskiego fotela.

„Czyżby on chciał...?” - pomyślałem „Nie, to by było zbyt proste”.

- Można by było, prawda - kontynuował płomienne przemówienie - kupić jakieś obrazy, prawda, wprowadzić multimedia, prawda, nawiązać kontakty z zagranicznymi, prawda, muzeami...

Postanowiłem zaryzykować.

- Słyszałem, że dyrektor Jankowska wymieni się niedługo obrazami el Greca z Muzeum Prado. Będzie wartościowa wystawa...

Słabo udawał zdziwienie.

- Gadanie. Ona nic nie potrafi, prawda, zrobić.

- Może przejdziemy do interesów... - uciałem. - Chciałbym zobaczyć maszynę...

- A tak, prawda, chodźmy - powiedział i zaprowadził mnie na tył domu, do ogródka. Tam, na stole, obok sadzonek pomidorów i ogórków stała stara maszyna. Na klapce za wałkiem miała wielki złoty napis: „KAPPEL”. Szczyrzyła się do mnie, ułożonymi w półkole, czcionkami. Obejrzałem ją ze wszystkich stron, żeby nie wzbudzić w gospodarzu podejrzeń, zanim dokładnie sprawdziłem czcionki. Dorobione polskie znaki były inne niż niemieckie.

- Nie ma pan kawałka papieru? - zapytałem.

Gospodarz zniknął w domu i po chwili wrócił z plikiem czystych kartek. Włożyłem jedną z nich do maszyny i napisałem trzy słowa: „errata”, „główkowanie” i „jajko”. Nie było wątpliwości. Oba „r” były w górze, „o” miały nacięcia na dole, a u obu „jot” brakowało kropeczek. Nie było wątpliwości. Anonim został napisany na tej maszynie.

- I co, prawda, nada się? To jest to, prawda, czego pan szuka?

- Od dawna myślałem o takim egzemplarzu. Czy mógłbym panu zadać jeszcze jedno pytanie?

- Oczywiście, prawda, oczywiście - jegomość z hiszpańską bródką już się chyba cieszył, że pozbędzie się dowodu rzeczowego i w dodatku jeszcze na tym zarobi.

Sięgnąłem do kieszeni marynarki i wyjąłem z niej anonim. Rozłożyłem kartkę i pokazałem mojemu rozmówcy.

- Wie pan, co to jest? - zapytałem chłodno.

Jan Surdykowski zaniemówił na chwilę. Przez jego twarz przebiegł wyraz wściekłości, przemieszanej ze zdziwieniem.

- Skąd pan, prawda, jak pan, prawda, nic, prawda, nie wiem! - wykrzyknął.

- To bardzo dziwne... - zaatakowałem. - Bo tak się składa, że ten anonim napisano na tej - wskazałem na urządzenie - maszynie. A może woli pan, żeby stwierdziła to policja?

- Pan mnie, prawda, szantażuje? - oburzył się.

- Nie - mówiłem spokojnie, ale stanowczo. - Staram się tylko panu wytłumaczyć, że jeśli powie pan wreszcie prawdę - ostatnie słowo zaakcentowałem - to może obejdzie się bez interwencji władz.

Zrozumiał, że przegrał. Kiedy siadał na leżaku, wyglądał jak składający się scyzoryk. Nerwowo gładził bródkę i wąsy, patrząc na mnie z obawą.

- Przyznaję się - powiedział w końcu. - To ja, prawda, napisałem ten anonim...

Milczałem.

- Ale, prawda, nie chciałem ukraść tego cholernego el Greca... - spojrzałem na niego uważnie, ale tym razem w jego oczach i twarzy nie było fałszu. - Chciałem dopiec tej, prawda, jędzy...

- No i udało się panu! - wykrzyknąłem oburzony. - Dyrektor Jankowska nie mogła spać przez kilka dni!

Z trudem pohamował uśmiech mściwej satysfakcji. Przez głowę musiała mu jednak przebiec myśl o czymś innym, bo jego twarz ściągnęło zmartwienie. Zastanawiał się przez chwilę, a potem spytał:

- I co pan, prawda, zamierza dalej zrobić z tą sprawą?

- Na razie nie ujawnię, że to pan napisał ten anonim - odpowiedziałem.

Odetchnął z ulgą. Na twarz wróciło mu trochę koloru.

- Ale gdyby coś stało się z obrazem...

- Rozumiem, prawda, nie będzie pan miał wyjścia... Ale chyba nie sądzi pan, prawda, żebym...

- Nie. Wygląda mi pan na rozsądnego człowieka i wiem, że nie będzie pan próbował ukraść obrazu. Niestety, jeśli el Greco zniknie z muzeum, będzie pan musiał wypić piwo, którego sam

naważył.

Jan Surdykowski odprowadził mnie do bramki.

- Mam do pana, prawda, prośbę...

- Słucham.

- Cokolwiek by się nie stało, prawda, proszę nie mówić nic mojej żonie...

- Dobrze - zgodziłem się niechętnie, podałem mu rękę i, ponieważ było już późno, ruszyłem z powrotem nad zalew.

Po drodze odwiedziłem panią dyrektor, której, bez podawania nazwisk, opowiedziałem o moim odkryciu. Ucieszyła się, że sprawa znalazła szczęśliwy koniec i, wyraźnie rozluźniona, przypomniła mi, że jutro o dziesiątej przybywa delegacja z Hiszpanii. Poprosiła mnie, bym był obecny przy wymianie obrazów, na co chętnie przystałem. Wyszedłem od pani dyrektor w doskonałym nastroju. Ledwie jednak wsiadłem do wehikułu i ruszyłem, opadły mnie wątpliwości. Zrozumiałem, że przegapiłem ważny wątek sprawy. Nie zapytałem męża sekretarki, skąd wiedział o wymianie obrazów z Muzeum Prado.

Już miałem zawrócić, ale na poboczu przede mną zobaczyłem kierownika Malinowskiego machającego na mnie dłonią z wyciągniętym w górę kciukiem.

Postanowiłem, że człowieka z hiszpańską bródką dopytam o ten szczegół jutro. Nie spodziewałem się wtedy, że popełniam błąd, który będzie mnie sporo kosztował.

- Jak dobrze, że na pana trafiłem - powiedział kierownik Malinowski gramoląc się do wozu. - Nóg już nie czuję od tego chodzenia.

- Cały dzień był pan w mieście?

- Tak. Ten znajomy mnie oprowadzał.

- A młodzież?

- Och, oni są już prawie dorośli. Na pewno dali sobie radę beze mnie.

Oburzyła mnie trochę nieodpowiedzialność kierownika Malinowskiego. Skoro zdecydował się prowadzić plener, to powinien bardziej dbać o jego uczestników, a nie zwiedzać sobie zabytki. Prowadziłem w milczeniu, tylko co jakiś czas zerkając z ukosa na Malinowskiego. Jego lśniąca czernią atłasowa marynarka była w kilku miejscach przybrudzona czymś białym. Zapytałem go o to.

- A tak - zaczerwienił się. - Musiałem ubrudzić się tynkiem podczas zwiedzania... - powiedział niepewnym tonem, który nakazał mi podejrzliwość. - A panu jak minął dzień? - zmienił natychmiast temat.

Już do końca podróży opowiadałem mu o zwiedzaniu Siedlec, ani słowem nie wspominając oczywiście o tym, że poznałem dyrektora Muzeum Regionalnego w czasie, kiedy ten miał go rzekomo oprowadzać po Siedlcach, ani o odwiedzinach u autora anonimu.

Wysadziłem go przy jego namiocie, zaparkowałem wóz przy swoim i zabrałem się do przygotowywania kolacji. Uruchomiłem maszynkę gazową i zagotowałem na niej wodę do chińskiej zupki. Rozkruszyłem makaron i wsypałem do niego przyprawy. Przykryłem garnuszek pokrywką i czekałem, aż zupa się zaparzy. Zamknawszy oczy, wdychałem świeże powietrze idące od wody.

Nagle usłyszałem obok mego namiotu kroki. To Agnieszka z „Dylanem” przyszli mnie odwiedzić. Twarze mieli rozpalone, jakby coś odkryli. Usiedli.

- Nie było pana cały dzień... - odezwała się dziewczyna. - Odkrył pan coś?

Opowiedziałem im o wizycie u autora anonimu.

- To chyba rzeczywiście rozwiązuje sprawę... - powiedziała Agnieszka. - My też trafiliśmy dziś

na coś ciekawego...

Zrobiłem zdziwioną minę.

- Pan w nas nie wierzy, panie Pawle - odezwał się „Dylan”. - A my mamy oczy i uszy szeroko otwarte. Wiemy na przykład, dlaczego zniknął wczoraj z ogniska kierownik Malinowski...

Poczułem jak palą mnie uszy.

- Śledziliście mnie?

- Nie był pan z nami szczery - powiedziała z wyrzutem Agnieszka. - Nie mieliśmy wyboru... A dzisiaj, kiedy Malinowski wyjechał z panem do miasta i wszyscy ruszyli w plener malować, zostaliśmy na chwilę w obozie i przeszukaliśmy namiot kierownika Malinowskiego!

- O Boże! - wykrzyknąłem, ale natychmiast ściszyłem głos. - Jak mogliście tak ryzykować. Co będzie, jeśli się pozna. Poza tym, to bardzo niegrzecznie grzebać w czyichś rzeczach.

- Ten stary bałaganiarz niczego się nie domyśli - powiedział „Dylan”.

- A nasza mała rewizja - dokończyła dziewczyna uśmiechając się tajemniczo - potwierdziła pańskie podejrzenia...

- Jakie podejrzenia? - udałem, że nie wiem, o co chodzi.

- Niech pan znowu nie udaje, bo się na pana obrazimy i nic nie powiemy.

- No dobrze - rzekłem pojednawczo - więc co znaleźliście w namiocie kierownika Malinowskiego?

- Była tam gazeta z zaznaczonym artykułem o wystawie ikon skonfiskowanych przez celników, która odbywa się właśnie w Muzeum Regionalnym...

- Widziałem ją wczoraj. To jeszcze o niczym nie świadczy... Może kierownik Malinowski chce po prostu zwiedzić tę wystawę i zaznaczyć artykuł, żeby o tym nie zapomnieć...

Popatrzyli na mnie z politowaniem.

- A jak pan wytłumaczy, że ma w namiocie katalog tej wystawy z pozaznaczanymi niektórymi ikonami? - zapytała Agnieszka.

- Pewnie chce was zabrać na tę wystawę i wybrał najciekawsze eksponaty, żeby je wam pokazać.

Na twarzach moich pomocników zatańczyły ironiczne uśmiechy.

- Znaleźliśmy jeszcze to - powiedział „Dylan” i wyjął z kieszeni paragon.

Przyjrzałem się uważnie papierkowi. Nosił wczorajszą datę. Był to kwit ze sklepu dla plastików w Siedlcach. Ktoś kupił tam produkt oznaczony „skrz.tran.przeg. 100x120” za cenę siedmiuset złotych.

- W namiocie kierownika Malinowskiego nie ma żadnej skrzyni transportowej. Sprawdziliśmy. W całym obozie nie ma takiej skrzyni - powiedziała Agnieszka.

- To rzeczywiście trochę podejrzanę, ale jeszcze o niczym nie świadczy... Kierownik Malinowski mógł wejść w posiadanie tego paragonu przypadkowo, mógł też kupić skrzynię na czyjeś zamówienie i od razu wysłać ją do Warszawy...

- Jakby w Warszawie nie można było kupić skrzyni transportowej... - dziewczynka skrzywiła ironicznie usta.

- No tak. Widzę, że będę was musiał wtajemniczyć... - rzekłem i opowiedziałem im o tym, jak kierownik Malinowski wróżył wczoraj z gałązki akacji, jak okłamał mnie rano, że dyrektor Muzeum Regionalnego jest jego znajomym z liceum i o jego pobrudzonej tynkiem marynarce.

Młodzi ludzie zamyślili się i umilkli.

- To znaczy, że... - powiedziała po chwili Agnieszka.

- To jeszcze nic nie znaczy... - uciąłem ostro. - Nie mamy żadnych dowodów, że wasz wychowawca chce ukraść ikony... Będziemy go dalej obserwować. Wy tutaj, a ja w mieście. Tylko bądźcie bardzo ostrożni i spróbujcie zwrócić mu ten kwit, bo dla policji i tak nie będzie na razie żadnym dowodem - oddałem im paragon. - Kierownik Malinowski nie może się niczego domyślić. Inaczej ostrzeże swoich współników i nikogo nie uda nam się złapać...

Zamyśliłem się na chwilę.

- Musimy też dowiedzieć się, gdzie jest skrzynia. Jak będziecie mieli okazję, to jeszcze raz przeszukajcie obóz, ja spróbuję w Siedlcach... Dobrze się spisaliście, ale wiedźcie, że nie pochwalam myszkowania w cudzych rzeczach - żartobliwie pogroziłem im palcem.

- Musimy już iść - Agnieszka spojrzała na zegarek. - Zaraz będzie cisza nocna. Do jutra, panie Pawle!

- Cześć! - pożegnałem młodych pomocników i sam także udałem się na spoczynek. Chciałem się wyspać przed jutrzejszym wielkim wydarzeniem. Ale nie mogłem zasnąć.

W głowie kłębiły mi się domysły. Czuję, że coś przegapiłem. Że jakaś nitka, która mogłaby mnie doprowadzić do celu, wymknęła mi się z ręki.

Zapaliłem latarkę i sięgnąłem po album z obrazami el Greca.

Przez godzinę przyglądałem się dziwnym, wydłużonym twarzom i rękom świętych Kreteńczyka. Studiowałem z uwagą ich tajemnicze gesty i twarze o zagadkowym wyrazie. Po godzinie oczy kleiły mi się ze zmęczenia, ale nie mogłem wyrwać się spod uroku tego malarstwa i ciągle mi było mało.

Znużenie okazało się jednak silniejsze.

Co chwila kładłem ciężki album na brzuchu i zamykając oczy, wmawiałem sobie, że to tylko na chwilę, że zaraz wrócę do przerwane oglądania. Wiedziałem, jak to się skończy, ale nie chciałem przerywać, bo chwilowe drzemki były niezwykle przyjemne. Ostatnią rzeczą jaką zapamiętałem, zanim osunąłem się w sen, był obraz „Plan Toledo”.

Szybowałem w kierunku dziury, której brzegi otaczała jasnozłota, prawie biała obwódka światła. Z wielką prędkością, pchany wiatrem, który mierzwił włosy, furczał w złobieniach wielkiej ozdobnej kryzy uciskającej mi szyję i wydymał odzienie przypominające to, które mieli na sobie szlachcice z obrazów el Greca, zanurkowałem w głąb dziury. Niebo uciekło do góry. Zawisło, majestatyczne i burzliwe, ponad jasno-brązową, pofałdowaną pagórkami wyżyną, którą przecinała poskręcana, wijąca się z zachodu na wschód rzeka o ciemnych, zielonych wodach.

Wielki meander rzeki, jak ramię obejmował wzgórze, na którym wzniesiono miasto. Ponad ściśniętymi na wzniesieniu budynkami, poprzecinanymi kreskami ulic, dostrzegłem masywną wieżę, którą przed chwilą oglądałem w albumie. Ośmiokątny czubek otoczony gotyckimi wieżyczkami. Stożkowate zwieńczenie opasane trzema kołami ze szpikulcami. To była katedra w Toledo! A więc rzeką, która, w miarę jak zbliżałem się do miasta, stawała się coraz szersza, był Tag.

Toledo, które oglądałem, było miastem widmowym. Jego srebrnoszare groźne mury skąpane w ciemnej zieleni przypominały niepokojące pejzaże el Greca. Pierwsze pejzaże w malarstwie zachodnim, jeśli nie liczyć dzieł holenderskich mistrzów.

Niesiony przez wiatr skierowałem się najpierw na północny wschód, gwałtownie skręciłem na zachód i pomiędzy czterema ułożonymi na planie kwadratu wieżami Alkazaru, poleciałem w kierunku katedry.

Otoczyłem trzy razy jej wieżę i lecąc już bardzo nisko nad dachami w kolorze granitu, kierowałem się nad południowo-zachodnią część miasta, w stronę Tagu. Nie wiedziałem, jaki jest cel mojej podróży, zdawałem się hardziej na prądy powietrzne, które muskając to z prawej, to z lewej strony, delikatnie wskazywały mi drogę.

Byłem już trzysta metrów od katedry, gdy gwałtowny podmuch wiatru przydusił mnie ku ziemi. Opadałem powoli w pozycji pionowej. Pęd powietrza nie szumiał mi już w uszach. Jego miejsce zajął gwar miasta. Zewsząd dochodziły mnie hiszpańskie, arabskie i hebrajskie okrzyki. Ktoś miotał przekleństwa, ktoś zachwalał swój towar, jeszcze inny wydawał szybkie żołnierskie rozkazy.

Znalazłem się wreszcie między dwoma ścianami stojących blisko siebie domów i tylko kilka metrów dzieliło mnie od wąskiej brukowanej uliczki. Owionął mnie smród szesnastowiecznego miasta pozbawionego kanalizacji. Po chwili wylądowałem pośród odpadków walających się po ulicy. Wystraszony moim nagłym zjawieniem się pies, porwał leżącą pod ścianą kość i popędził w dół opadającej dość stromo drogi. Rozejrzałem się i u szczytu ulicy ujrzałem duże drewniane drzwi z kółkami kołatek, zwieńczone kamiennym łukiem.

Drzwi były uchylone. Ze szpary wyglądała ku mnie ciekawie znajoma twarz. Ależ tak! To był „Rycerz z ręką na piersi” z jednego z najsławniejszych obrazów el Greca. Z twarzy zatopionej w białej kryzie patrzyły na mnie bystre i spokojne oczy. Wyrazu ust nie sposób było dostrzec spomiędzy obfitych czarnych wąsów i na hiszpańską modłę przystrzyżonej bródki. Rycerz powiedział coś i jednocześnie uczynił dłonią gest, bym się do niego zbliżył.

Zaciekawiony pogładziłem się po podbródku i ze zdziwieniem zorientowałem się, że połowę twarzy pokrywa mi gęsta i dość długa broda. Postąpiłem krok, ale usłyszałem za sobą jakiś dziwny trzask. To rapier z ozdobną rękojeścią, który zauważyłem dopiero teraz, musiał upaść na ziemię podczas mojego lądowania. Podniosłem oręż. Złoto rękojeści błysnęło w zimnym słońcu. Przytroczyłem broń do pasa i wspiałem się wąską uliczką do drzwi. Lekko zdyszany oparłem się o mur, ale nie dane mi było długo wypoczywać. Rycerz zniknął już w głębi domu. Pospieszyłem za nim.

Poprowadził mnie przez obszerne pokoje pełne niedokończonych obrazów i miniaturkę dzieł, stanowiących rodzaj katalogu dla potencjalnych nabywców, którzy wygodnie mogli przejrzeć ofertę artysty, zanim zdecydowali się zlecić wykonanie odpowiadającego im obrazu w pełnych wymiarach.

W jednym z tych pomieszczeń zobaczyłem taką oto scenę.

Plecami do nas, naprzeciwko mierzącego prawie pięć metrów płótna, które już zaludniały tak dobrze mi znane postacie sceny pogrzebu hrabiego Ogaza, siedział czarnowłosy człowiek z pędzlem w ręku. Po prawej stronie obrazu, tyłem do wpadającego przez duże okno światła, stało lustro, w którym ujrzałem twarz malarza.

Miała owalny kształt, podkreślony przez czarną linię włosów i brody. Wysokie czoło. Długi nos, rozdzielający niezbyt wyraźne brwi ponad sporymi, nierównej wielkości oczami, zakrytymi częściowo przez przymknięte powieki. Hiszpański charakter nadawała tej bladej twarzy bardziej broda i wąsy niż rysy, przypominające o greckim rodowodzie artysty.

Za lustrem, schowany w kącie pokoju siedział mały chłopiec z nastroszoną szopą ciemnych włosów, wyglądających jak kępa trawy. Ze skupieniem nanosił farby na stojące przed nim płótno wsparte na miniaturowej sztaludze. Co malował, nie mogłem jednak dostrzec. Malarz o bladej twarzy nie obrócił się, kiedy weszliśmy do pokoju. Jednak na rozmarzonym i skupionym jednocześnie obliczu pojawiły się rozdrażnienie i nieufność. Mój cicerone popchnął mnie dalej i zanim opuściliśmy pracownię, zdołałem tylko dostrzec, że el Greco, bo był to z całą pewnością on, kładzie

pędzłem zarys nosa na szóstej od lewej twarzy w tylnym rzędzie żałobników zgromadzonych na pogrzebie.

Znaleźliśmy się teraz w kuchni. Wielki prosiak obracał się powoli na rożnie w wypełnionym płomieniami kominie. Ociekał tłuszczem. Dwóch kucharzy z zapalem siekało warzywa i wrzucało je do garnka. Kuchcikowie biegali po obszernym pomieszczeniu z butlami wypełnionymi winem i octem.

Mój przewodnik podszedł do stołu i urwał sobie z leżącej tam kaczki udko. Stał przy drewnianych drzwiach po prawej stronie i wgrzył się w pieczone. Tłuszcz pociekł po jego wypielegnowanej brodzie i ubrudził czarną kapotę. Przez chwilę nie zwracał na mnie uwagi, potem przerwał jedzenie i machnął znacząco głową w stronę drzwi.

Podszedłem do nich i nacisnąłem złotą klamkę. Odrzwia zaskrzypiały złowieszczo. Po stromych schodkach zszedłem do mrocznego pomieszczenia, rozświetlonego tylko nikłym światłem wpadającym przez umieszczone wysoko okienko. Zapach stęchłego wina i wędzonych serów uświadomił mi, że jestem w piwnicy. Nie zdążyłem jednak przyzwyczać się do mroku i rozeznac w wyglądzie pomieszczenia, bo niemal natychmiast zostałem zaatakowany.

Świst szpady wyciąganej ze stalowej pochwy. Błysk klingi w białym promyku słońca. Skoczyłem w tył, cudem unikając ciosu. Stal zazgrzytała na kamieniach podłogi, krzesząc iskry. Dzięki temu dojrzałem, że mój przeciwnik odziany jest w opończę z kapturem, który zakrywał jego twarz. Sięgnąłem po rapier i wycelowałem broń w niewidocznego napastnika. Ten, po tym jak nie udało mu się dosięgnąć mnie z zaskoczenia, zmienił taktykę. Próbował zmusić mnie do odwrotu szybkimi sztychami. Parowałem te ciosy z łatwością, ale szermierz w kapturze osiągnął zamierzony cel. Po kilku jego manewrach poczułem, że dotykam plecami czegoś co przypominało lufę pistoletu. Następny sztych szermierza sprawił, że uderzyłem w to coś trochę mocniej i usłyszałem znajomy stukot szkła. „Butelki!” - przemknęło mi przez myśl.

Wolną ręką wybadałem jak szeroka jest półka z butelkami wina. Kończyła się zaledwie pół metra po mojej lewej stronie. Sparowałem kolejny sztych, wykonałem piruet i z całej siły pociągnąłem półkę. Wysoki do sufitu regał uderzył z hukiem o ziemię. Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła i poczułem zapach wina.

Niestety, mój przeciwnik miał świetny refleks i zdołał umknąć przed spadającą półką. Zanim go zauważyłem, już był przy mnie, a pięść okryta kabłąkiem rapiera pędziła w stronę mojej twarzy. Zdążyłem jedynie zablokować na chwilę potężne uderzenie jelicem mojego rapiera. Siłowaliśmy się przez chwilę, ale nawet w zwarciu nie zdołałem dostrzec twarzy napastnika.

Nasze siły były równe i pojedynek znalazł się w martwym punkcie. Nagle mój przeciwnik wykonał zaskakujący ruch. Chwycił mnie wolną ręką za brodę i mocno pociągnął. Ból oszołomił mnie i na chwilę straciłem koncentrację. Szermierz w kapturze wykorzystał to. Wykonał szybki ruch nadgarstkiem, uwolnił się ze zwarcia i uderzył mnie pięścią w szczękę. Zatoczyłem się i upadłem na ziemię.

W prawej ręce trzymałem na sztorc rapier, a lewą obmacywałem bolącą twarz. Z ust leciała mi krew. Wypłułem ją na rękę i zobaczyłem, że na dłoni leży trzonowy ząb. Usłyszałem za sobą kroki i chrzęst rapiera ciągniętego po ziemi. Potem powietrze przeciął świst stali. Przygotowałem się na uderzenie, przymknąłem oczy, ale zanim klinga dosięgła celu, obudziłem się.

W prawej ręce trzymałem maszt namiotu. W lewej guzik, który oderwałam od pizamy. Byłem zlany potem. Przechodziły mnie dreszcze, które powodowała poranna bryza idąca od zalewu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

**„SENNIK ARTEMIDORA” * DELEGACJA Z MUZEUM PRADO PO RAZ PIERWSZY * MAŁOMÓWNA
HISZPANKA * TRZY ARCYDZIEŁA * DELEGACJA Z MUZEUM PRADO PO RAZ DRUGI * TRAGICZNA W
SKUTKACH POMYŁKA * GNIEW DYREKTORA HERRERY * ZASKAKUJĄCA EKSPERTYZA * PRAWDZIWE
MYŚLI INSPEKTORA TOMASZEWSKIEGO * GOŁĄB OD „SZCZUROŁAPA”**

Otrząsnąłem się z resztek snu, wypuściłem maszt namiotu z ręki i usiadłem w śpiworze. Przetarłem oczy, przejechałem rękami po włosach i sięgnąłem po zegarek. Za piętnaście ósma. Przysunąłem sobie plecak i po chwili poszukiwań wydobyłem z niego batonik i niewielką książkę. Był to „Sennik Artemidora” Aleksandra Krawczuka, wydany w 1976 roku przez „Ossolineum”.

Dziwicie się pewnie, czemu taki racjonalista jak ja sięgnął po radę do książki wyjaśniającej marzenia senne. Powód był bardzo prosty. Wiele wskazuje na to, że dzieło poświęcone nocnym widzeniom autorstwa Artemidora miał w swoim podręcznym księgozbiorniku el Greco. Sławę temu rodakowi el Greca z II wieku naszej ery przyniosło dzieło „Onejrokrytyka”, w którym wieszczek z Efezu tłumaczy znaczenie 95 snów. Artemidor był wróżem z ambicjami. Chciał z onejrokrytyki, czyli sztuki wyjaśniania snów, uczynić gałąź nauki, stąd jego wywody są osadzone w tradycji. Artemidor szukał też dla swoich wywodów logicznego uzasadnienia. Może właśnie dlatego jego dzieło przetrwało wieki i jeszcze dziś potrafi zafrapować czytelnika, tak jak pewnie zafrapowało zatopionego w niezwykłościach el Greca.

Opracowanie, które miałem w rękach, jak się wcześniej rzekło, było współczesne. Aleksander Krawczuk sparafrazował oryginalne Artemidorowe teksty, splótł je z egipską sztuką tłumaczenia snów i zabawną historią w której Artemidor wraz z wróżem Aleksandra Wielkiego, Arystandrem, trafiają do Krakowa, by popularyzować onejrokrytykę. Postanowiłem zabawić się i sprawdzić, co sen, z którego przed chwilą się zbudziłem, mówił o mojej przyszłości.

Włos zjeżył mi się na głowie, tak niepomysłny był mój sen.

„Sen, że się lata wysoko nad ziemią bez skrzydeł, jest groźny; zapowiada niebezpieczeństwo i strach” - wykladał Artemidor i kontynuował: „Sen o lataniu nad dachami, nad domami i ulicami, oznacza, że bliskie są niepokoić duszy i kłopoty.”

Trochę otuchy dodał mi ustęp: „Sen, że się lata niezbyt wysoko nad ziemią, w postawie wyprostowanej, wróży dobrze; ile bowiem ktoś wzniesie się nad ziemię, tyle jest wyższy od chodzących na dole.” Zaraz jednak zasępiłem się, bo przeczytałem, że: „Zawsze zaś dobrze śnić, że po wzlocie w górę już się opada - i właśnie obudzić się w tym momencie. Ale najlepiej, jeśli się śni, że to z własnej woli się leciało i z własnej lot przerwało: wszystkie sprawy pójdą łatwo i ułożą się pomyślnie.”

Czy leciałem z własnej woli? Czy wylądowałem, bo tak chciałem, czy dlatego, że popchnął mnie do tego podmuch wiatru? Księga starożytnego wróża nie mogła mi jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania.

Przekartkowałem książkę w poszukiwaniu wyjaśnień dotyczących zębów i znalazłem taki oto

fragment: „Zęby jednak mogą też oznaczać to, co się posiada. Trzonowe - przedmioty drogic; (...) sen o ich wypadaniu zapowiada odpowiednią stratę.”

- Trzonowe, przedmioty drogic - powtórzyłem jak echo w ciszy poranka.

Zadrzałem, walcząc z natrętną myślą, że tą rzeczą w schowku może być zamknięty w muzeum obraz el Greca, który mam chronić. A skoro tajemniczy człowiek w kapturze wybił mi trzonowca, może to oznaczać, że zdoła wydobyć cenną rzecz, obraz ze skrytki, czyli z muzeum. Na razie trzymam go jeszcze w ręce, ale wystarczy jeden ruch rapierem...

Niespokojne i coraz bardziej fantastyczne rozmyślania przerwał budzik w zegarku. Była już dziewiąta. Ubrałem się w najlepszą marynarkę i pojechałem do Siedlec.

Dyrektor Jankowska uśmiechnęła się, kiedy wszedłem do jej gabinetu. Była ubrana w elegancki czarny kostium. Twarz miała bladą i wymiętą z niewyspania, ale jej oczy błyszczały.

Usiadłem na wskazanym przez nią fotelu, a ona zaczęła przemierzać gabinet.

- Będą za pół godziny - powiedziała cicho do siebie, jakby mnie nie zauważając. - Pudło naszykowane, papiery gotowe, stoliki w restauracji zarezerwowane. Czemu tak strasznie się denerwuję?

Milczałem. Znów, może pod wpływem niepokoju żywionego przez panią dyrektor ogarnęły mnie złe przeczucia. Wypiliśmy kawę i wyszliśmy przed muzeum, gdzie już zgromadzili się wszyscy pracownicy w oczekiwaniu na przyjazd Hiszpanów. Nawet robotnicy remontujący elewację przerwali pracę i oparli o metalowe rurki rusztowań, chroniące ich przed upadkiem, niby widzowie w łóżach obserwowali wylot ulicy.

- A gdzie pan kustosz Bogusz? - zapytałem nie zauważając pośród tłumu mojego sympatycznego przewodnika.

- Pojechał odebrać delegację z lotniska - wytłumaczyła mi pani dyrektor i spojrzała na zegarek. - Spóźniają się już dwadzieścia minut. Co ich mogło zatrzymać? - rzekła, ale nie miała okazji dłużej się tym martwić, bo oto w dalekiej perspektywie ulicy pojawiła się niewielka ciężarówka.

- Jadą... - wyszeptała dyrektor Jankowska takim tonem, jakby zamiast ciężarówki pojawił się tam anioł, kroczący dostojnie w powietrzu.

Wóz powoli podjechał pod muzeum i wysiadło z niego pięć osób. Trzech zamaskowanych policjantów oraz kobieta i mężczyzna.

On był czterdziestoletnim wysokim brunetem z dużymi wąsami i bródką. Część wydłużonej czaszki zagarnęła już łysina. Na wydatnym nosie zasadził grube okulary w cienkich oprawkach. Palił fajkę, która roztaczała wokoło aromatyczny dym.

Ona nosiła się lekko z cygańska. Miała najwyżej dwadzieścia kilka lat. Podobnie jak mężczyzna była brunetką. Mocno opalona, prawie czarna skóra była odpowiednim tłem dla czerwonej sukienki, złotych kółek wpiętych w uszy i chyba tuzina pierścionków i bransoletek, które zdobiły jej ręce.

- Buenos dias! - przywitał się po hiszpańsku mężczyzna.

Wydało mi się, że mówi z dziwnym akcentem, ale nie znałem na tyle mowy Cervantesa, by móc zlokalizować prowincję, z której pochodzi przybyły.

- Buenos dias, mis amigos! - rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko. - Jestem wicedyrektor Muzeum Prado, doktor Juan Herrera y Pacheco!

Dyrektor Jankowska rzuciła się witać gości. Mówiła doskonale po hiszpańsku.

- Jestem taka rada, że państwo przyjechali! Bardzo się o państwa martwiłam. Co spowodowało

opóźnienie?

- Ach, to nic, był korek w Warszawie - dyrektor Herrera machnął ręką. - Przedstawiam pani moją asystentkę, Blankę Fernandez y Puyol - wskazał na kobietę o cygańskiej urodzie. Dziewczyna dygnęła lekko, pochyliła głowę nieśmiałym gestem i wyszeptała:

- Buenos dias, señora directora... - potem zamilkła.

Weszliśmy do budynku. Czuję jakiś nieokreślony niepokój. Coś mi nie pasowało w całej tej sytuacji, ale perspektywa zobaczenia trzech pięknych obrazów el Greca nie pozwalała się skupić.

Anna Jankowska szła przodem prowadząc ożywioną dyskusję z dyrektorem Herrera. Mnie przypadło towarzystwo małomównej Blanki. Za nami podążali pracownicy muzeum niosący wydobyte z ciężarówki trzy skrzynie z obrazami. Pochód zamykali policjanci z bronią w pogotowiu.

- Pani lubi el Greca? - spróbowałem zagaic rozmowę korzystając ze znajomości hiszpańskiego.

- Si, si... - odpowiedziała dziewczyna.

- Mnie, proszę pani - mówiłem dalej - najbardziej fascynuje to, że poszedł tak daleko, że nie bał się eksperymentować... Jak on malował świętych...

- Si, si, muy bien - bąknęła Hiszpanka.

- I chociaż jego epoka zrozumiała go doskonale, to jednak później o nim zapomniano.

- Si, si - przytaknęła po raz trzeci, a jej twarz zalał rumieniec. „Jaka ona nieśmiała! Słyszałem, że Hiszpanki są bardziej kontaktowe...” pomyślałem, przyglądając się jej uważnie.

Ale byliśmy już w sali, gdzie prezentowano „Ekstazę św. Franciszka”. Obraz ciągle wisiał skryty za szybą. Wicedyrektor Herrera podbiegł do niego, zdjął okulary i przykleił się nosem do szyby.

- Meravilioso! Jest piękny, cudowny, bajeczny. Jaki kolor, jaka ekspresja, jakie mistrzostwo! To prawdziwy skarb! - odrywając twarz od szyby zrobił dziwny ruch ręką. Wyglądało to tak, jakby podrapał się w wąsy. Założył okulary z powrotem i niepewnym krokiem podszedł do nas.

- Czas chyba pokazać co przywieźliśmy... - wskazał ręką w kierunku trzech skrzyń opartych o ścianę. Pierwsza miała około metra wysokości i pół szerokości, druga była od niej o pół metra szersza i wyższa, natomiast trzecia ledwie mieściła się pod sufitem. Miała ponad trzy metry wysokości i prawie dwa szerokości.

Dyrektor Herrera otworzył pierwszą skrzynię.

Ukazał się naszym oczom jeden z najśłynniejszych portretów, które namalowano na hiszpańskiej ziemi.

Był to ów „Rycerz z ręką na piersi”, w którym krytycy doszukiwali się niekiedy autoportretu el Greca. Liczne reprodukcje, które oglądałem, nie były w stanie oddać siły oddziaływania tego obrazu.

Genialny Grek namalował około 1585 roku archetyp Hiszpana końca XVI wieku. A więc najpierw strój, na który składała się czarna szata i kontrastujące z nią białością koronkowa kryza i mankiety. Potem szpada mistrzostwem swej roboty i złoceniami stanowiąca jakby kontrapunkt dla ascetycznych nut ubioru. Razem synteza rozdarcia między kontrreformacyjną potrzebą ascezy a renesansowym umiłowaniem dla pięknego przedmiotu. Swą brodę rycerz el Greca unosi lekko w górę. Nie za wysoko. Tyle tylko, by zaznaczyć, że jest człowiekiem honoru.

Jest w portrecie i tajemnica. Gest, który biografka el Greca nazwała jego tajemnym podpisem, tak często pojawia się na różnych obrazach. Tytułowa ręka na piersi rycerza złożona jest w dziwny sposób. Palec środkowy i serdeczny są złączone razem, a wskazujący i mały odstają na boki. Spróbujcie powtórzyć ten gest! Nie jest to łatwe, a przecież na obrazie el Greca wygląda tak naturalnie, jakby wszyscy portretowani na świecie składali rękę w ten właśnie sposób.

Doszukiwano się w tym geście jakiegoś rytuału, próbowano go tłumaczyć za pomocą „Ćwiczeń Duchowych” św. Jana od Krzyża, w których mówi on o położeniu ręki na piersi, gdy żałujemy za właśnie popełniony grzech. Zastanawiano się, czy nie jest znakiem rozpoznawczym hiszpańskiej szlachty. Widziano w nim też tajemny podpis el Greca oraz znak wyróżniający szczególnie bliskie jego sercu postacie.

Dyrektor Herrera otworzył drugą skrzynię. Tym razem zobaczyliśmy „Św. Andrzeja i św. Franciszka”.

El Greco często malował świętych parami. Jakby chciał poprzez kontrast uwydatnić osobowość każdego z nich, a raczej swoje o ich osobowości wyobrażenie. Oto po lewej święty Andrzej Apostoł, pierwszy z powołanych przez Chrystusa. Stoi ze swoim krzyżem w kształcie litery „X” (po grecku słowo „Chrystus” zaczyna się właśnie od tego znaku), nieustrudzony misjonarz ludów mieszkających nad Morzem Czarnym. Starzec z siwą brodą. Chociaż jego spojrzenie, zaciemnione zmęczeniem życia, spoważniało, bo widziało już wiele, to jednak jego twarz jest obliczem ekstrawertyka, człowieka nastawionego optymistycznie do życia, łagodnie pogodzonego ze światem i sobą. Cała jego twarz zdaje się czasami uśmiechać do widza. Stan jego ducha podkreślają jeszcze szaty. Zielona obszerna opończa, symbolizująca nadzieję, wolność i uzdrowienie, oraz błękitno-fioletowa tunika. Błękit symbolizować może uduchowanie, fiolet przypomina o męczeńskiej śmierci apostoła.

Obok niego święty Franciszek z Asyżu. Koścista, inna niż czerstwe, ogorzałe i prawie rumiane oblicze świętego Andrzeja, twarz z zapadniętymi policzkami, pochylona lekko w dół, ze wzrokiem pozornie trzeźwym, a tak naprawdę nieobecny, wpatrzony gdzieś poza obraz. To portret świętego introwertyka. Ręce, inaczej niż mocne dłonie świętego Andrzeja, który był przecież rybakiem, są dłońmi mistyka o chudych nadgarstkach i długich palcach. Przebite stygmatami. Ten piewca piękna świata, został tu przedstawiony od mistycznej i ascetycznej strony swej osobowości, co podkreśla jeszcze skromny, brązowy habit z kapturem, przepasany długim sznurem z trzema węzłami oznaczającymi trzy franciszkańskie śluby: posłuszeństwa, ubóstwa i czystości. I na tym obrazie odcisnął el Greco swoją pieczęć, swój rozpoznawczy znak: ową dłoń dziwnie złożoną. Tym razem wyróżnił nią świętego Franciszka. Postacie obu świętych są niepomiernie, jak to u el Greca, wydłużone.

Warto także przyjrzeć się pejzażowi, który stanowi tło dla wymagowanego spotkania odległych od siebie o ponad tysiąc lat ludzi. Za świętym Andrzejem widać jakieś strzepy miasta zbudowanego na górze, może Toledo, do którego mógłby zawitać, by nieść tam dobrą nowinę.

Za biedaczną z Asyżu wznosi się ośnieżony szczyt, odpowiedniejszy do samotniczej kontemplacji i duchowych ekstaz. Czyżby miała to być Ida, góra wznosząca się nad Kretą? Taka, jaką ją przechowała przez tyle lat chłonna pamięć Domenikosa Theotocopulosa?

Dyrektor Herrera uchylił wieka trzeciej, ostatniej, największej z przywiezionych skrzyń. I począł się przed naszymi oczami rozgrywać dramat Świętej Nocy, nocy narodzin Chrystusa.

„Pokłon pasterzy”, bo o ten obraz chodzi, tonie w mroku. Dzieło, powstałe prawdopodobnie w roku śmierci malarza, pokazuje jak długą drogę przeszła jego sztuka. Bizantyjska statyczność zastąpiona jest tutaj dramatycznym, jakby kołowym ruchem aniołów w przestworzach i pasterzy na ziemi. Od malarzy ikon bierze el Greco już tylko owo charakterystyczne dla niego i dla nich wydłużenie postaci.

Ten obraz to zapowiedź impresjonizmu. Światło bijące od Dzieciątka w różnym stopniu odbija się od postaci otaczających kołem Chrystusa. Z twarzy Marii, najmocniej oświetlonej, czyni już

prawie tylko schemat, przeświała ją. Józef, z głową lekko pochyloną stoi trochę z boku i dlatego jego twarz zbiera tylko dalekie odblaski. Jeden z pasterzy, ten stojący najdalej po prawej, podniósł swe oblicze tak, że Jasność położona w żłóbku odbija się na jego twarzy w taki sposób, że prawie możemy dotknąć ładunku emocji, które szarpią człowiekiem, stającym przed czymś niewytłumaczalnym.

I w tym obrazie znajdujemy tajemną sygnaturę el Greca. W przedziwny sposób składa palce swych dłoni pasterz klęczący skrajnie po lewej stronie. El Greco wyróżnia go chyba dlatego, że jego postawa, oprócz może postawy Marii, ma w sobie najwięcej afirmacji. On nie zastanawia się, dlaczego cud się zdarzył, jest gotów zaakceptować go bez żadnych pytań.

- Piękne, prawda? - przerwał kontemplację wicedyrektor Herrera.

- Oszalamiające - potwierdziła pani dyrektor, która wyglądała tak, jakby wygrała szóstkę w toto-lotka.

- To prawdziwa uczta dla oczu i duszy - dodałem.

- Więc nie pozostało nam nic więcej jak tylko spakować „Ekstazę św. Franciszka” i podpisać dokumenty - skwitował nasze zachwyty wicedyrektor Muzeum Prado. - Chcielibyśmy zdążyć na samolot, który odlatuje z Okęcia za cztery godziny.

- Myślałam, że państwo zostaną na obiedzie... - powiedziała zaskoczona dyrektor Jankowska. - Zamówiłam już stolik w najlepszej restauracji...

- Szkoda, że nie spróbujemy tutejszych przysmaków, ale może uda się nam to następnym razem...

- powiedział Herrera, spoglądając na zegarek. - Takie mam wytyczne od szefa, nic na to nie poradzę... - powiedział sympatycznym, ale zdecydowanym tonem.

Pani dyrektor wzruszyła tylko ramionami i poprowadziła Herrera do swojego gabinetu, żeby załatwić formalności, podczas gdy Blanka Fernadez, wraz z pracownikami muzeum, zajęła się pakowaniem siedleckiego el Greca.

Dopiero teraz, wyrwany spod czaru malarstwa Kreteńczyka, zrozumiałem, co mi nie pasowało w całej sytuacji. Z delegacją nie przyjechał, wysłany na Okęcie, kustosz Roman Bogusz!

Anna Jankowska wróciła właśnie z wicedyrektorem Herrera. Każde z plikiem papierów w ręku. Poprosiłem ją na bok i zapytałem o kustosza:

- Sama się zastanawiam, gdzie on się podział. Wicedyrektor Herrera mówi, że nikt po nich nie wyszedł na lotnisko. Wyobraża pan sobie! Niech no tylko zobaczę tu kustosza Bogusza. Już ja mu dam!

Pracownicy muzeum już wynosili el Greca z Sali. Powlokłem się za nimi i po chwili odprowadzaliśmy wzrokiem ciężarówkę, która ruszyła w drogę powrotną do Warszawy. Czulem jakiś nieokreślony niepokój.

„Twoja podejrzliwość jest śmieszna, Pawle” - mówiłem do siebie w myślach. „Wszędzie doszukujesz się spisku i podstępu, zamiast cieszyć się z tego, że udało się załatwić sprawę. Teraz musisz zająć się kierownikiem Malinowskim i jego matactwami.”

- Pójdzie pan ze mną rzucić jeszcze raz okiem na te arcydzieła? - pani dyrektor wyrwała mnie z zamyślenia.

- A tak, chętnie - uśmiechnąłem się do niej i podążyliśmy do sali z obrazami przywiezionymi z Muzeum Prado.

Oglądaliśmy obrazy chyba przez godzinę, aż w końcu Anna Jankowska, powiedziała:

- No, dosyć tego dobrego - poruszyła głową, odgarniając włosy, które spadały jej na oczy. -

Muszę iść ustalić z moimi ludźmi sprawy ekspozycji i dyżurów. Będziemy pilnować budynku w dzień i w nocy, mając na pokładzie takie skarby. Ale pan, Pawle - uśmiechnęła się do mnie - może tu zostać ile chce i podziwiać te cuda!

- Tak, zostanę jeszcze chwilę... - odpowiedziałem.

- Gdzie ten Bogusz?! - rzuciła jeszcze do siebie w drzwiach i wyszła.

Zostałem sam. Nie mogłem się skupić na obrazach. Goniła mnie jakaś niezaspokojona potrzeba działania. Przeszedłem kilka kroków do stołu, na którym złożono szybę zabezpieczającą jeszcze przed godziną „Ekstazę św. Franciszka”. Półświadomie wodziłem palcem po gładkiej tafli i rozmyślałem: „Przecież ten anonim wysłał człowiek rozgoryczony. On naprawdę nie chciał ukraść obrazu. A może trzeba było jednak zawiadomić Policję? Nie, sam wiesz, że to by nic nie dało” - odpowiedziałem sam sobie w myślach. „A ten nieznajomy ze snu z twarzą schowaną pod kapturem” - pomyślałem i zaraz się napomniałem: „Nie, Pawle, jesteś przewrażliwiony, wpadasz w obłęd...” I wtedy poczułem coś pod palcami.

Wyrwałem się z rozmyślań i popatrzyłem w dół na swój palec, pod którym poczułem zgrubienie. Podniosłem palec do oczu i zobaczyłem kilka sklejonych ze sobą włosów.

„Wicedyrektor Herrera dotykał szyby wąsami” - przemknęło mi przez myśl. Przyjrzałem się uważnie włosom, ale nie zauważyłem niczego specjalnego. Przyłożyłem kępkę do nosa i poczułem charakterystyczny zapach żywicy.

W tym momencie usłyszałem gdzieś w pobliżu syrenę radiowozu. Podbiegłem do okna i zobaczyłem, że pod muzeum podjeżdża samochód na sygnale. Schowałem kępkę wąsów do kieszeni, zbiegłem po schodach na dół i wypadłem przed budynek.

Zobaczyłem, że z radiowozu wysiadają kustosz Roman Bogusz, jakiś policjant w mundurze, za nim blady gruby jegomość z tonsurą na szczycie głowy i gniewem na twarzy, ubrany jedynie w buty, skarpetki, bokserki i podkoszulek bez rękawów oraz trzydziestoparoletnia ruda kobieta okryta płaszczem, spod którego wystawały bose stopy.

- Tragedia, pani dyrektor! - krzyczał już od wozu kustosz Bogusz. Na te słowa Anna Jankowska pobladła jak ściana. - Okradli nas! Napadli w lesie, związali i zostawili na pastwę losu.

- Witam - zażywny jegomość w bokserkach zbliżył się do pani dyrektor z wyciągniętą ręką. Jego głos był zimny jak lody Antarktydy. - Jestem Herrera, wicedyrektor Muzeum Prado.

- Jak to... - jękała się dyrektor Jankowska. - Czy to znaczy? Boże! I ja im dałam naszego el Greca!

- A oni dali pani w zamian trzy falsyfikaty - powiedziała najczystsza hiszpańszczyzną ruda kobieta.

- To moja asystentka, Blanka Fernandez - przedstawił nam okrytą płaszczem kobietę coraz bardziej wściekły wicedyrektor Herrera.

- Widzę, pani dyrektor, że to co mówią o Polsce, niedaleko odbiega od rzeczywistości. Co prawda nie biegają po ulicach białe niedźwiedzie, ale kierownikowi lokalnej placówki muzealnej można wcisnąć słabe podróbki el Greca, a ten się nawet nie pozna! Żałuję, że nie kazałem zrobić kopii któremuś z moich uczniów z Madryckiej Akademii Sztuk Pięknych. Co prawda ukradliby wam wasz obraz, ale przynajmniej nasze byłyby bezpieczne.

- Jak pan może! - stanąłem w obronie pani dyrektor. - Nawet jeśli to są kopie, wykonał je geniusz. Bez specjalistycznych ekspertyz nie da się ich odróżnić od oryginałów.

- A pan kim jest? - Herrera zwrócił się w moją stronę. - Jakimś lokalnym domorośłym

malarzem? Po co się pan wtrąca do międzynarodowej afery!?

Nie miałem okazji odpowiedzieć na ten cios, bo dyrektor Jankowska, usłyszawszy o „międzynarodowej aferze”, zemdląła. Razem z policjantem zanieśliśmy ją do gabinetu. Udała się tam również hiszpańska delegacja i Roman Bogusz.

Po kilku minutach cucenia pani dyrektor odzyskała przytomność. Natychmiast też wysłała swoich pracowników po ubrania dla hiszpańskich muzealników. Po półgodzinie całe towarzystwo, już odziane, z wicedyrektorem Herrera i Anną Jankowską na czele udało się do sali, gdzie stały obrazy.

Kiedy dyrektor Herrera je zobaczył, gniew na jego twarzy ustąpił zdziwieniu. W milczeniu podszedł do płócien. Przyglądał im się z bliska. Dotykał, odchodził i spoglądał z daleka. Po oględzinach podrapał się w głowę, podszedł do struchlałej pani dyrektor i sympatyczniejszym już tonem, powiedział:

- Nie jestem specem od el Greca i nie potrafię powiedzieć, czy to kopie. Faktycznie jeśli obrazy zostały podrobione, to zrobił to ktoś znający wszystkie arkany swej profesji, na odwrocie są nawet nasze pieczątki. Widzę też nasze oryginalne skrzynie... - zamyślił się na chwilę, a potem wyciągnął rękę do Anny Jankowskiej i powiedział:

- Przepraszam za to co mówiłem przed chwilą. Byłem wzburzony i nie liczyłem się ze słowami. Myślę, że nawet rzeczoznawca nie byłby w stanie zawyrokować na pierwszy rzut oka o tym, że obrazy nie są autentyczne - zastanowił się. - A bandyci pokazali pewnie nasze oryginalne dokumenty i przybili oryginalną pieczętkę z Muzeum Prado? Czy mógłbym zobaczyć papiery?

Pani dyrektor przyniosła dokumenty i wręczyła je Herrerze. Chwilkę je przeglądał, a potem powiedział:

- Jeszcze raz przepraszam. Oczywiście te dokumenty są oryginalne i pieczętka jest nasza. Sam bym się pewnie dał nabrać...

- Hm, hm - zachrzakał ktoś za naszymi plecami. To policjant, dotychczas milczący, dał znać o swojej obecności.

- Młodszy inspektor Marcin Tomaszewski - stuknął obcasami i powiedział po angielsku: - Komendant policji w Siedlcach. Może pozwolą państwo, że przejdziemy do gabinetu pani dyrektor i opowiedzą mi państwo jeszcze raz co się wydarzyło. To może nam bardzo pomóc, a śledztwo jest chyba w tej chwili najważniejsze...

- Pan wybaczy, inspektorze - wicedyrektor Herrera błyskawicznie przeszedł z hiszpańskiego na angielski. - Najważniejsze teraz to stwierdzić, czy te obrazy pod ścianą są oryginałami czy kopiami.

Co prawda prawdziwy wicedyrektor Herrera był mniej charyzmatyczny i barwny niż jego fałszywy odpowiednik, jednak miał w sobie specyficzny typ urzędniczego dostojęstwa, który powodował, że wszyscy wokół, chcąc nie chcąc, ulegali jego woli. Inspektor Tomaszewski zamilkł więc, a Herrera zapytał:

- Czy nie ma w Polsce jakichś specjalistów od el Greca? Coś czytałem o sprawie odnalezienia „Ekstazy św. Franciszka”. Zdaje się, że to było odkrycie dwóch konserwatorek dzieł sztuki...

- No jasne! - klepnąłem się w czoło. - Doktor Izabella Galicka i magister Hanna Sygietyńska. Przecież mój szef, Pan Samochodzik, współpracował z nimi jako rzeczoznawca w sprawie siedleckiego obrazu! Przeprowadziły wtedy bardzo dokładne badania nad el Grekiem, żeby ustalić jego autentyczność. Zadzwońię do pana Tomasza. Może zdoła je namówić, żeby nam pomogły?

Tak jak przypuszczałem, konserwatorzy sztuki zgodziły się wykonać ekspertyzę. Pani dyrektor zgodziła się pokryć koszty taksówki z Warszawy do Siedlec. Ekspertki miały być na miejscu za trzy

godziny.

Tymczasem, po szybkim obiedzie w restauracji, zgromadziliśmy się w gabinecie pani dyrektor, by uczynić zadość życzeniu inspektora Tomaszewskiego i opowiedzieć o wydarzeniach całego dnia. Opowieści Blanki Fernadez, wicedyrektora Herrery i Romana Bogusza były niemal identyczne. Oto jaka wylaniała się z nich historia.

Samolot z Madrytu przyleciał punktualnie na lotnisko i po przetransportowaniu obrazów el Greca do policyjnej furgonetki na cywilnych numerach całe towarzystwo razem z trzema policjantami ruszyło w drogę do Siedlec.

Podróż przebiegała bezproblemowo. Policjanci dla większego bezpieczeństwa wybrali trasę przejazdu, która prowadziła trochę okrężnie i dopiero za Niwiskami i Opolem łączyła się główną drogą do Siedlec.

W lesie pomiędzy tymi dwoma miejscowościami podróżujący zobaczyli, że drogę zagradza zwalone drzewo. Dwaj policjanci wysiedli z wozu, żeby przyczepić do pnia linkę i z pomocą samochodu usunąć przeszkodę z drogi. Obwiązywali właśnie drzewo, kiedy ktoś z lasu do nich strzelił i funkcjonariusze po chwili upadli na ziemię. Reszta podróżników bała się wyjść z wozu.

Po chwili spomiędzy drzew wychynęli zamaskowani napastnicy z bronią w rękach. Wtedy z furgonetki wyskoczył Roman Bogusz i oddał kilka strzałów z pistoletu gazowego w kierunku bandytów, którzy odpowiedzieli jednym strzałem, po którym kustosz osunął się na ziemię. Potem znieczulili dyrektora Herrere, Blankę i trzeciego policjanta. Na szczęście w swoich pistoletach mieli tylko strzykawki z tiopentalem, środkiem usypiającym używanym do narkozy.

Kiedy muzealnicy i policjanci odzyskali już przytomność, znajdowali się w głębi lasu, związani. Policjanci i Hiszpanie byli rozebrani prawie do naga, napastnicy oszczędzili tylko Romana Bogusza, pewnie dlatego, że wszyscy w Siedlcach go znali i nie było sensu go udawać.

Przynajmniej czterdzieści minut minęło, zanim jeden z policjantów zdołał uwolnić się z więzów i pomógł w tym reszcie. Wtedy okazało się, że napadniętym ukradziono także telefony komórkowe. Ponieważ jedynym miejscowym w grupie był Roman Bogusz, postanowiono, że to on ruszy po pomoc. Bogusz przebił się przez las i sprowadził policję, która przywiozła porwanych nieszczęśników prosto do muzeum.

Potem opowiadaliśmy ja i dyrektor Jankowska.

Inspektor pytał o rysy twarzy i wzrost „cudzoziemców”, ale ze zdziwieniem zauważyliśmy, że nie potrafimy o nich powiedzieć nic więcej poza tym, że fałszywy Herrera miał wąsy, brodę i okulary, a udawana Blanka niezwykle ciemną karnację.

- Stary numer - skomentował inspektor Tomaszewski, kiedy opisaliśmy wygląd fałszywych Hiszpanów. - Dobrze się ucharakteryzowali i zaznaczyli w swoim wyglądzie szczególnie charakterystyczne elementy, żeby tym odwrócić uwagę i żeby nie można zapamiętać ich rysopisów. Oni mówili po hiszpańsku? - zapytał.

- Ten, który podawał się za wicedyrektora, posługiwał się hiszpańskim doskonale - rzekła pani dyrektor. - Pan, panie Pawle, rozmawiał z tą... pseudo-Blanką Fernandez...

- Rozmowa to trochę za dużo powiedziane... - tłumaczyłem. - Na wszystkie pytania odpowiadała monosylabami.

- Czyli prawdopodobnie nie mówi po hiszpańsku. Nie wyczuł pan jakiegoś akcentu w tych kilku, jak pan to nazwał, monosylabach...

- Niestety...

Inspektor Tomaszewski zacisnął usta i cmoknął.

- Mamy więc pecha. Nie wiemy nawet, jakiej narodowości byli złoczyńcy. Ale cóż... - zamknął notes, położył ręce na udach i ciężko podniósł się z fotela - to na razie musi nam wystarczyć. Gdyby państwo sobie coś przypomnieli, to proszę mnie zawiadomić - podał nam wizytówki z adresem komendy.

Podrapał się w głowę.

- To ja już chyba pójde - uśmiechnął się lekko. - Do zobaczenia państwu!

Doktor Izabella Galicka i magister Hanna Sygietyńska dotarły do Siedlec pół godziny później. Ich oczy aż błyszczały z podekscytowania.

- Dzień dobry wszystkim! - przywitały się od progu.

- Dawno nie widziałyśmy się z el Grekiem na Podlasiu! - powiedziała Izabella Galicka. Miały ze sobą torby, wypełnione jak się domyślałem, specjalistycznym sprzętem.

- A więc gdzie jest pacjent, a właściwie pacjenci? - zapytała wesoło Hanna Sygietyńska.

Wstaliśmy z krzeseł, by pójść zobaczyć obrazy.

- Pamiętasz, Iza - powiedziała nagle magister Sygietyńska - jak wtedy dziesięć lat czekałyśmy, zanim potwierdziło się, że to naprawdę el Greco?

Dyrektor Herrera zadrżał.

- Miałyśmy w szafie fotografię obrazu... - ciągnęła doktor Galicka.

- I co rano - magister Sygietyńska zaczerwieniła się trochę i ściszyła głos - całowałyśmy świętego w rękę, prosząc, żeby był oryginałem.

- Rękę miał czerwoną od szminki - zachichotała jej towarzyszka. - Ale pan, dyrektorze - poklepała bladego jak ściana Herrere po plecach - niech się nie przejmuj. Tym razem zajmie to mniej czasu.

Dyrektor Jankowska poprowadziła nas do sali z obrazami.

- O! I znowu święty Franciszek... - powiedziała magister Sygietyńska.

- Piękne obrazy - dorzuciła doktor Galicka - nawet jeśli to tylko kopie... - spojrzała na wicedyrektora Herrere, który zrobił zatroskaną minę. - Niech się pan nie przejmuj - poklepała go po ramieniu - jeszcze dwie godziny i prawie na pewno będzie wiadomo...

- No tak, część analiz chemicznych będziemy musiały wykonać w Warszawie, ale to nie potrwa długo - powiedziała magister Sygietyńska. - Jutro, najdalej pojutrze, będziemy znać wyniki... A teraz, przepraszam - powiedziała i dołączyła do doktor Galickiej, która już z lupą przyglądała się pierwszemu obrazowi.

Oglądanie trwało godzinę. Potem konserwatorki pobrały mikroskopijnej wielkości próbki farb i płótna. Zapakowały wszystko do swoich toreb. Przeszliśmy znów do gabinetu i usiedliśmy w fotelach. Z niecierpliwością czekaliśmy na to, co powiedzą. Wicedyrektor Herrera obgryzał nawet paznokcie. Przez chwilę badaczki naradzały się szeptem, a potem magister Sygietyńska, zaglądając co jakiś czas do notesu, objaśniała:

- Według naszej wstępnej ekspertyzy wszystkie obrazy są autorstwa el Greca - powiedziała, a wicedyrektor Herrera wypuścił głośno powietrze i nieco rozluźniony rozparł się wygodniej w fotelu.

- Na el Greca wskazuje mistrzostwo wykonania i wyjątkowy artyzm dzieł - Herrera znów się napiął i wyprostował w fotelu, magister Sygietyńska uspokoiła go gestem, a potem dodała - ale także czysto techniczne względy. Farba jest kładziona śmiało, w charakterystyczny dla el Greca sposób, w tak zwaną „jodelkę”. Farby i płótna też wydają się stare, a sądzimy, że badania potwierdzą nasz

osąd. Dziś możemy na dziewięćdziesiąt procent stwierdzić, że to oryginały.

Na te słowa wicedyrektor Herrera aż podskoczył. Uradowany rzucił się na biedaczki i wycalaował je serdecznie.

- Uratowały mi panie skórę! - wykrzyknął. - Teraz dyrektor mnie nie zwolni!

- To nie nasza zasługa, proszę podziękować złodziejom, którzy nie zamienili obrazów - magister Sygietyńska spojrzała na zegarek. - Będziemy się chyba zbierać, Iza? - zapytała towarzyszkę. Ta skinęła głową.

Odprowadziliśmy je do drzwi. Żegnane serdecznie (najgłośniej i najweselej krzyczał wicedyrektor Herrera) wsiadły do zamówionej wcześniej taksówki i ruszyły do Warszawy.

Błękitno-szare niebo, po którym płynęły chmury w kolorze łososia uświadomiły mi, że od rana minęło bardzo wiele czasu i był już wieczór. Pożegnałem się z dyrektorem Jankowską i Hiszpanami, a potem wsiadłem do wehikułu.

Nie miałem jednak zamiaru wracać jeszcze nad zalew. Pojechałem do komendy policji, musiałem bowiem omówić kilka spraw z inspektorem Tomaszewskim.

- Cieszę się, że pan przyjechał - powitał mnie, wstając zza biurka. - Proszę siadać. Kawy? - skinąłem głową bo byłem wykończony. Inspektor zapalił papierosa.

- Czyli współpraca? - wyciągnąłem rękę nad biurkiem.

- Współpraca - wymienił ze mną uścisk dłoni.

- Przejdźmy do tego, co mnie do pana sprowadza. Nie mówiłem tego podczas przesłuchania w gabinecie dyrektora Jankowskiej, ale zauważyłem że i pan nie ujawnia wszystkiego co wie... - inspektor uśmiechnął się, jakbym go przyłapał na kłamstwie i pokiwał głową. - Więc... Zastanawiałem się nad tym przez chwilę i myślę, że dziewczyna, która udawała Blanę Fernandez mówiła po hiszpańsku z polskim akcentem... A to by znaczyło...

- Że w sprawę zamieszani są Polacy...

- Co z kolei prowadzić nas musi do wniosku, że złodzieje mieli w Muzeum Diecezjalnym lub w jego okolicy wtyczkę...

- I to w dodatku kogoś dobrze poinformowanego...

Opowiedziałem mu o autorze anonimu i jego informatorze, o którego nie zapytałem mężczyzny, który chciał mi sprzedać maszynę do pisania. O kierowniku Malinowskim i jego dziwnym zachowaniu. O ekspertyzie, którą przed godziną wydały doktor Galicka i magister Sygietyńska. Policjant kiwał głową i notował.

- To o czym pan mówi tylko wzmacnia naszą hipotezę, że kradzieży dokonał ktoś stąd. Świadczy o tym także to, że nie ukradł obrazów z Muzeum Prado. Zrobił tak, bo...

- Bo zależało mu tylko na „Ekstazie św. Franciszka” - dokończyłem.

- Otóż to... Jak pan uważa, co powinniśmy zrobić? - zapytał inspektor.

Przedstawiłem mu swój plan, który miał pomóc zatrzymać wszystkich podejrzanych w okolicy. Tomaszewski, chociaż z oporami, zgodził się załatwić sprawę i pożegnaliśmy się.

Dochodziła dwudziesta trzecia, kiedy dotarłem do swego namiotu. Był już ciemno, dlatego gołębia, który siedział nad wejściem do przedsionka, zauważyłem dopiero po jakimś czasie. Biały ptak przekrzywiał główkę i gruchał cicho. Do jednej nóżki miał przyczepiony kawałek papieru.

- Czyżby „Szczurołap”? - powiedziałem do siebie cicho i wyciągnąłem rękę w kierunku ptaka. Postąpił dwa kroki i już był na moim nadgarstku. Odczepiłem kartkę papieru, pozwoliłem gołębiowi wrócić na namiot, a sam udałem się do wehikułu. Zapaliłem lampkę nad kierownicą i w mdłym

świetle odczytałem treść listu.

Panie Pawle!

Wiem już o kradzieży obrazu el Greca. Zacząłem przeszukiwać okolice, gdzie doszło do tego przykrego wydarzenia. Efekty są wielce obiecujące. Niestety, moje poszukiwania przerwała noc. Może wpadłby pan jutro rano i poszukalibyśmy razem? Załączam mapkę.

„Szczurołap”

Dalej następował rysunek tłumaczący jak dojechać do jego samotni.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy to nie jakaś nowa pułapka, ale w końcu postanowiłem zaryzykować. Wyciągnąłem ze schowka w desce rozdzielczej długopis i odpisałem „Szczurołapowi”, że będę rano. Przyczepiłem liścik do nogi gołębia. Ptak odleciał w stronę samotni „Szczurołapa”, a ja wsunąłem się ledwie żywy do śpiwora i zasnąłem kamiennym snem bez męczących widziadeł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

SENSACYJNY ARTYKUŁ * DO KOGO DZWONIŁ KIEROWNIK MALINOWSKI? * DOM WŁASNYMI RĘKAMI ZBUDOWANY * O OBYWATELSKIM NIEPOŚLUSZEŃSTWIE * UCZTA POD JABŁONIĄ * CO WIDZIAŁ „SZCZUROŁAP”? * PAPIEROS W LESIE * PUSTA STRZYKAWKA ZUCHWAŁA KRADZIEŻEŁ GRECA!

Podlaski skarb w rękach złoczyńców

„Ekstaza św. Franciszka” el Greca warta 5 mln euro została wczoraj skradziona z Muzeum Diecezjalnego w Siedlcach.

- Kradzieży dokonała wyjątkowo przebiegła szajka złoczyńców - powiedział komendant policji w Siedlcach, młodszy inspektor Marcin Tomaszewski.

Bandydzi wykorzystali przyjazd delegacji z Muzeum Prado w Madrycie, która przybyła do Polski, by wymienić się z Muzeum Diecezjalnym obrazami El Greca. Za możliwość pokazania siedleckiej „Ekstazy...” w stolicy Hiszpanii, Prado miało wypożyczyć Muzeum Diecezjalnemu trzy obrazy: „Rycerza z ręką na piersi”, „Św. Andrzeja i św. Franciszka” oraz „Pokłon pasterzy”.

- Napadli na furgonetkę, która wiozła obrazy z lotniska w Warszawie - tłumaczy inspektor Tomaszewski - uspili policjantów i muzealników z Prado. Przebrali się za nich i w Muzeum Diecezjalnym dokonali wymiany obrazów. Następnie odjechali z „Ekstazą św. Franciszka” w nieznanym kierunku.

Jak się dowiedzieliśmy, obrazy z Prado nie zostały skradzione.

- Złoczyńcy przekazali Muzeum w Siedlcach najprawdopodobniej oryginały prac el Greca - powiedział inspektor Tomaszewski.

- Dwie specjalistki od twórczości tego malarza dokonały wstępnej analizy dzieł i orzekły o ich autentyczności. Wyniki badań chemicznych, które ostatecznie rozwieją wątpliwości, będą znane dziś lub jutro.

Wniosek jest prosty - przestępcom zależało tylko na obrazie z Siedlec.

Policja apeluje do wszystkich, którzy wiedzą cokolwiek o losach bezcennego arcydzieła, o kontakt. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że dzisiaj Minister Kultury i Sztuki wyznaczy nagrodę 100 tys. złotych za pomoc w odzyskaniu obrazu.

Z zadowoleniem czytałem artykuł, który ukazał się tego ranka w lokalnej gazecie. Z zadowoleniem? - zapytacie. - Przecież złodzieje w ten sposób dowiedzą się, że policja jest już na ich tropie! Ukryją obraz i nigdy się go nie znajdzie!

A jednak czytałem go z zadowoleniem, bo podanie informacji o kradzieży do mediów było moim pomysłem. Chciałem w ten sposób zaniepokoić złoczyńców, bo wiedziałem doskonale, że wtedy najłatwiej mogą popełnić błąd. Podejrzywałem, że kradzieży dokonały osoby z Siedlec lub ich okolicy. Zbyt dobrze zaplanowany i wykonany był plan kradzieży obrazu el Greca, za dużo wiedzieli złodzieje, żeby mogły tego dokonać osoby z innej części kraju albo cudzoziemcy.

Wskazywał na to także dziwny fakt kradzieży tylko tego jednego obrazu. Czy szajka międzynarodowych złoczyńców połakomiłaby się na jedno arcydzieło, gdy mogła mieć cztery? Nie, zdecydowanie było w tym przestępstwie coś osobistego i lokalnego, coś czego nie byłem w stanie jeszcze uchwycić, ale miałem świadomość, że prędzej czy później wpadnę na trop. Tymczasem

jednak nie wolno było dopuścić do tego, by złoczyńcy zbiegli poza Podlasie. Ten artykuł był dla nich ostrzeżeniem, że są obserwowani nie tylko przez policję, ale podlaską społeczność i jeden fałszywy ruch może ich zdradzić. „Będą więc musieli siedzieć cicho. I czekać, aż sprawa zostanie zapomniana. A to daje mi czas, żeby ich dopaść” - pomyślałem.

- Widział pan to? - głos Agnieszki otrzeźwił mnie. Dziewczyna szła brzegiem i wymachiwała gazetą. Za nią kroczył osowiały „Dylan”.

Pomachałem do niej swoim egzemplarzem gazety i uśmiechnąłem się.

- Z czego pan się cieszy, panie Pawle?! - dziewczyna był oburzona. - Ukradli el Greca! No i jeszcze dziennikarze zwąchali sprawę, a w dodatku ten głupi policjant opowiedział im wszystko o kradzieży!

- Sam mu to doradziłem - powiedziałem.

- Co?! - krzyknęła dziewczyna. - Widzę, że pana umiejętności przedstawiane w książkach są mocno podkolorowane!

Wytłumaczyłem im, dlaczego nakłoniłem inspektora Tomaszewskiego, żeby opowiedział o wszystkim mediom.

- Nie pomyślałam o tym - dziewczyna wyglądała na udobruchaną. - Ale jak chce pan ich dopaść?

Opowiedziałem o „Szczurołapie” i jego wczorajszym liście.

- Możemy jechać z panem? Kierownik Malinowski powiedział, że dzisiaj zbiera się na deszcz - nad nami rzeczywiście płynęły czarne chmury, a w powietrzu czuć było wilgoć. - I mamy czas wolny. Możemy iść razem z nim do Siedlec albo zostać w namiotach...

- No, nie wiem, musicie go spytać... A tak w ogóle, dlaczego „Dylan” jest taki smutny i nic nie mówi?

Chłopak machnął tylko ręką, ale ust nie otworzył.

- Uważa, że swoją piosenką wykrakał kradzież - wytłumaczyła Agnieszka. - I nakazał sobie dzień milczenia...

- Ta kradzież była zaplanowana, zanim tu przyjechaliście - starałem się go pocieszyć.

- Mówiłam mu to samo, ale nie chce słuchać...

- No dobra, lećcie już do kierownika Malinowskiego...

Młodzież wróciła po dziesięciu minutach.

- Malinowski pana pozdrawia - powiedziała Agnieszka i dołączyła do „Dylana”, który rozparł się już na tylnym siedzeniu.

Po godzinie jazdy byliśmy na miejscu.

Wjechałem na okrągłą polanę ściśle otoczoną drzewami. Słońce, świecąc mocno sprawiało, że najbardziej rzucały się w oczy dwa kolory. Zieleń roślinności i żółć piasku, którym wysypano ścieżkę.

U końca długiej ścieżki dzielącej przesiekę na pół stał domek na planie prostokąta o długości czterech i pół metra i trzech metrów szerokości. Budowlę o wysokości dwóch i pół metra wieńczył dwuspadowy daszek. Budynek wyglądał bardziej jak szopa niż dom. Zaparkowałem na skraju polany, bo dalej ścieżka była zbyt wąska dla samochodu. Ledwie wyłączyłem silnik, a usłyszałem nerwowy rytm leśnego dziecięcia i ciche kwilenie jakiegoś ptaka w pobliżu.

Poszliśmy w stronę domu „Szczurołapa” spacerkiem pomiędzy poletkami, na których rosła podwiązana już do kijeków fasola, proste kolby kukurydzy, ziemniaki, zielony groszek, a także rzepa. Stałem na trawniku pokrywającym całe podwórko.

Ściany domu zrobiono z jasnych desek. Otwierane do góry okna umieszczono na bocznych ścianach. Szyby wstawiono w podzielone na małe kwadratowe pola ramy.

Za domem, po lewej stronie, stał, częściowo ukryty za budynkiem, niewysoki, zadaszony schowek wypełniony drewnem. Szara, wydeptana w trawie ścieżka wiodła od schowka aż do progu domu, na którym, w otwartych drzwiach, zbitych z pionowych desek, siedział „Szczurołap”, ubrany w stare prążkowane spodnie, poplamioną rozchełstaną koszulę i kapelusz z wygryzionym, oklapłym rondem. Nogi miał bose. Z uwagę obracał w rękach wpleciony do połowy koszyk. Jedyнным znakiem, że mnie zauważył było klepięcie otwartą ręką w krzesło, stojące przed domem.

- Witam, panie „Szczurołapie”! - rzekłem wesoło i głośno, zakłócając spokój tego miejsca.

Gołębie, dotychczas siedzące rzędem na kalenicy, zerwały się do lotu i zaczęły krążyć nad „włóściami” „Szczurołapa”. Zza rogu domu wyszedł człapiąc Burek, pies z przepaską na oku. Szczeknął trzy razy, bardzo powoli i bardzo cicho.

„Szczurołap” tymczasem porzucił koszyk. Wszedł do domu i wrócił po chwili z dwoma krzesłami dla Agnieszki i „Dylana” oraz blaszaną bańką i metalowymi kubkami. Przedstawiłem mu moich młodych współpracowników i zapewniłem, że może przy nich mówić swobodnie o swoim znalezisku.

- Cieszę się, że przybyli państwo tak licznie - rzekł „Szczurołap” wręczając nam kubki. - Proszę siadać. Dzień jest zbyt piękny, żeby spędzać go w domu.

Nalał nam do kubków mleka:

- Prosto od owcy! - powiedział i pociągnął łyk ze swego naczynia.

„Dylan” od razu spróbował mleka i oblizwał się ze smakiem. Zachęciło to Agnieszkę i mnie do pójścia w jego ślady. O dziwo! Mleko owcy było podobne w smaku do tego od krowy, tyle że trochę słodsze.

- Sam pan to wszystko zbudował? - zapytał śmiało „Dylan”, łamiąc swe śluby milczenia i rozglądając się ciekawie wokoło. Wyraźnie służyła mu swobodna atmosfera domku „Szczurołapa”.

Pytany podrapał się po brodzie, zastanawiając się nad czymś.

- Tak - pokiwał głową wpatrując się w dno swego kubka. - Właściwie tak. Chociaż pomysł, czego żałuję, nie był mój. Ten domek jest dokładną repliką siedziby mojego mistrza Henry'ego Thoreau nad stawem Walden w okolicach miejscowości Concord w stanie Massachusetts w Ameryce.

- Ten Thoreau... - Agnieszka ostrożnie dobierała słowa. - Czy on... Też mieszka w lesie jak pan?

- Niestety, kilka tygodni temu, 6 maja obchodziłem 145. rocznicę jego śmierci. Thoreau był wielkim myślicielem, jednym z największych piewców piękna natury w dziejach ludzkości! Przez dwa lata mieszkał w samodzielnie wybudowanej chatce nad brzegiem stawu Walden. Stawiał na równość, niezależność i samodzielność. To on wymyślił „obywatelskie nieposłuszeństwo”. Wiecie co to jest?

- Ja na przykład przykułem się do klamki gabinetu dyrektora naszego liceum, kiedy nauczycielka zabrała mi na lekcji moje przeciwsłoneczne okulary i nie chciała ich oddać. Uznałem, że zostało złamane moje obywatelskie prawo do własności.

Agnieszka przewróciła oczami i obracając się ostentacyjnie do stojącego obok niej Burka, jęknęła: „Ten znowu swoje!”, ale „Szczurołap” i ja śmialiśmy się głośno i długo, aż zza węgła domu wyszły dwie owce z bardzo długimi kozuchami runa i spojrzały na nas ciekawie. Trochę obrażony „Dylan” rzucił Agnieszce:

- Nie bądź taka mądra. Sama chciałaś jechać do Rospudy i mieszkać na drzewie!

- To co innego - tłumaczyła dziewczyna nie patrząc na niego. - Tam chodzi o ważną sprawę. A ty się zbłądziłaś, walcząc o swoje głupie okulary.

- Wcale nie są głupie... - odparował „Dylan”. - Jestem kontestatorem i te okulary to znak mojego sprzeciwu wobec skostniałego systemu edukacji...

- Szkoda, że o jego skostnieniu przypominasz sobie najczęściej, kiedy grozi ci pałka na półroczu.

Kiedy młodzież się kłóciła, my uspokoiliśmy się trochę. Owce wróciły do skubania trawy, a „Szczurołap” powiedział:

- Widzę, panie Pawle, że przywiózł pan do mnie sympatycznych młodych buntowników. No, ale oba podane przez was przykłady są trafne. Thoreau głosił, że czasem, w imię wyższych wartości, o które walczymy, i na których nam zależy, można złamać prawo. On sam nie płacił podatków, bo uważał, że nie musi tego robić, skoro amerykański rząd toleruje niewolnictwo, tępi Indian i najeżdża Meksyk... Ale dość tych dyskusji... Nie burczy wam w brzuchu? - popatrzył na nas i musiał dostrzec w naszych oczach dziki głód, bo powiedział:

- Tak myślałem... Panie Pawle, pomoże mi pan przynieść z domu stół? Myślę, że najlepiej jak zjemy w mojej „altanie”.

Bez słowa wszedłem za „Szczurołapem” do jedynej izby w domu.

Przestrzeń pomiędzy czterema białymi ścianami urządzona była bardzo skromnie. Naprzeciw wejścia stał kominek z czerwonych cegieł, nad którym „Szczurołap” powiesił sporej wielkości portret Thoreau. Patrzył z niego człowiek o spojrzeniu przenikliwym, pełnym mądrości i inteligencji, a jednocześnie sympatycznym. Usta, nie zacięte i spokojne, ale wyraziste, świadczyły o tym, że ich właściciel ma swoje zdanie na każdy temat. Proste, średniej długości włosy zaczesane z przedziałkiem daleko po lewej stronie głowy, po prawej opadały swobodnie. Nieco kędzierzawa broda tworzyła łuk wokół policzków i szczęki. Obrazu dziewiętnastowiecznego intelektualisty dopełniały garnitur, biała koszula i mucha zawiązana pod brodą.

Pod wizerunkiem swego mistrza „Szczurołap” umieścił napis, który, jak wiedziałem, był sławnym fragmentem „Waldenu”: „Zamieszkałem w lesie, albowiem chciałem żyć świadomie, stawać w życiu wyłącznie przed najbardziej ważkimi kwestiami, przekonać się, czy potrafię przyswoić sobie to, czego może mnie życie nauczyć, abym w godzinie śmierci nie odkrył, że nie żyłem.”

Na półce nad kominkiem stało kilka książek. Dojrzałem pośród nich „Odyseję” Homera, „Eneidę” Owidiusza i „Pieśni” Horacego. Po prawej stronie stało proste łóżko. Była na nim tylko poduszka i koc. Po lewej znajdowało się biurko. Wszystkie sprzęty w pomieszczeniu wyglądały na ręczną i staranną robotę.

- Czy mógłby pan chwycić z drugiej strony? - odezwał się „Szczurołap”, który już stał obok biurka.

Pospiesznie chwyciłem za blat i razem z leśnym pustelnikiem podnieśliśmy biurko. Nagle jednak z szuflady doszły nas jakieś stuki i popiskiwanie.

- Znów zapomniałem... - uśmiechnął się „Szczurołap” i postawił biurko na ziemi. Poszedłem jego śladem. Gospodarz otworzył szufladę. Wskoczyła z niej biała myszka i wdrapawszy się na stół, stanęła słupka i wpatrzyła się w „Szczurołapa”. On spojrzął na nią rozbawiony i powiedział:

- Chodź, Waldo! - zwrócił się do gryzonia. Myszka zwinnymi ruchami wspięła się po jego koszuli i włosach. Wczepiła się łapkami w kapelusz, w którego wgnieceniu miała wygodne

legowisko.

Wyszliśmy z domu i skierowaliśmy się za budynek, w stronę lasu. „Dylan” i Agnieszka, którzy tymczasem się pogodzili, ruszyli za nami niosąc krzesła.

- Jeśli bylibyście tak mili, zabierzcie ze sobą jeszcze to - poprosił ich „Szczurołap” wskazując na drewnianą skrzynkę po owocach, wypełnioną pakunkami z mąką kukurydzianą, solą, cukrem, słoikiem z melasą, na którym widniała etykieta „Czarny cud”, oraz innymi wiktuałami.

- Ach! Jeszcze jedno! W studni przed domem jest masło - rzekł, a „Dylan” zostawił swoje krzesło i pobiegł we wskazanym przez „Szczurołapa” kierunku.

Tymczasem gospodarz poprowadził nas pod rozłożystą dziką jabłoń, której korona wznosiła się półtora metra ponad ziemią. Ustawiliśmy stół i krzesła pod drzewem, a „Szczurołap” poszedł po wodę. Kiedy wrócił, przepłukaliśmy swoje kubki, a on postawił przed nami cynowe talerze i sięgnąwszy do skrzynki, położył na każdym z nich świeży oscypek.

- Częstujcie się - zachęcał do jedzenia. - Ja tymczasem zajmę się chlebem.

Jedliśmy słony, owędzony ser i przyglądaliśmy się poczynaniom „Szczurołapa”.

Ten rozpalił dwa ogniska w miejscach, które, jak na to wskazywały duże czarne kółka popiołu i otaczające je kamienie, służyły mu w tym celu na co dzień. Na jednym z nich położył trzy duże płaskie kamienie, nad drugim rozstawił zmontowany z trzech gałęzi stojak, na którym podwiesił garnek z wodą.

Do sporej miski, która stała już wcześniej pod drzewem, wrzucił po kilka garści mąki kukurydzianej i żytniej, wlał trochę wody i posolił. Wyrobił ciasto i uformował z niego małe placki, które porozmieszczał na rozgrzanych ogniem kamieniach. Placki rosły i rumieniały, a „Szczurołap” rozstawiał na stole smakołyki. Znalazły się tam więc: masło, dżem z leśnych jagód, suszona wieprzowina, suszone jabłka, wielki, długi na trzydzieści i gruby na piętnaście centymetrów oscypek oraz świeże jeżyny.

Po chwili placki były gotowe, a herbata zalana. Plując co chwila fusami, rozpoczęliśmy ucztę. Jedzenie było świeże i pachnące. Agnieszka i „Dylan” chyba po raz pierwszy mieli okazję spróbować takiego posiłku, bo uszy aż im się trzęsły, kiedy pałaszowali placki z dżemem albo z serem.

„Szczurołap” chyba nie był głodny, bo skubał tylko placek, zagryzając go czasami jeżynami. Czekał, aż skończymy posiłek. Po półgodzinie ciężkie, ale zadowolone oddechy świadczyły o tym, że uczta jest zakończona, więc przemówił:

- Wiedzą państwo, czemu tak lubię jadać obiady w mojej „altanie”? - uśmiechnął się tajemniczo, a nie doczekawszy się odpowiedzi, sięgnął ręką do góry i urwał z gałęzi dzikie jabłko. Wgryzł się w nie i rzekł: - Tutaj wszystko jest tak urządzone, że nawet nie trzeba wstawać, gdy ma się pełny brzuch, by dostać deser.

Uśmiechnęliśmy się i spojrzeliśmy w górę. Jabłka wyglądały jak czerwone planety krążące po zielonym niebie z liści. Sięgnęliśmy po nie i przez chwilę nie słyhać było niczego poza chrupaniem. Jabłka były trochę kwaskowate i cierpkie, ale całkiem smaczne.

Milczenie przerwała Agnieszka.

- Czemu pan mieszka w lesie?

„Szczurołap” spojrział na nią a potem poważnym, chociaż nieco rozmarzonym głosem, powiedział:

- To bardzo dobre pytanie. I jest na nie bardzo wiele odpowiedzi - zamyślił się na chwilę. - Ale

najbardziej chyba podoba mi się ta, której udzielił Thoreau: spiskuję z dzikim wybujałym pięknym Natury...

- Ale to przecież strata czasu... - wyrwało się Agnieszce.

- Czas, moja panno - „Szczurołap” podniósł brudny i poharatany palec wskazujący - to jedynie strumień, w którym łowię ryby.

Znów zapadła cisza upalnego popołudnia. Spojrzałem na „Szczurołapa”. Oczy miał zamknięte, ręce splótł na piersi, oddychał spokojnie. Jego twarz napinała się lekko czasami, gdy wiatr przyniósł głos jakiegoś ptaka.

- Słyszycie? - powiedział cicho, a w lesie ptak zaśpiewał czystym głosem coś jakby „sip-sipsiiiip”. „Szczurołap” otworzył oczy. Ściągnął uśmiechnięte usta, wodził oczami to w lewo, to w prawo. - Turdus philomelos, to znaczy drozd śpiewak - stwierdził.

Drozd zamilkł. Gdzieś daleko za to odezwał się dźwięk, jakby ktoś bardzo szybko przejechał kijem po drewnianych prętach parkanu.

- To łatwe - powiedziała Agnieszka - dzieciół zielony.

- Czyli Picus viridis. Brawo, Agnieszko! - pochwalił ją „Szczurołap”, ale zaraz znów się napiął.

- Słyszycie to? - nadstawił ucha. - Trudna zagadka...

Tym razem odezwało się wysokie skrzeczenie. Ptak musiał być blisko nas, bo słychać go było wyraźnie.

- Brzmi jak wrona - spróbował „Dylan”, ale „Szczurołap” pokręcił nieznacznie głową.

- To może kawka - wyrwała się Agnieszka. „Szczurołap” zaprzeczył.

- Albo kruk - włączyłem się do zabawy, ale i tym razem odpowiedź była błędna.

- Ani wrona, ani kawka, ani kruk - rzekł nasz gospodarz. - Tak skrzeczy Garrulus glandarius, czyli sójka - powiedział i zaraz dodał. - No, ale dość tej zabawy. Nakarmiliśmy mózgi i ciała, czas nasyć ciekawość - powiedział, a ja przypomniałem sobie, po co właściwie tu przyjechaliśmy.

- Zaczekajcie chwilę! - powiedział „Szczurołap” i pognał do swej chatki. Wrócił po kilku chwilach, w czasie których zdążyłem opowiedzieć młodzieży o liście, który wysłał mi mieszkaniec leśnej chatki.

- Byłem wczoraj w mieście - zaczął opowieść „Szczurołap”. - Sprzedaję sery kilku ludziom w Siedlcach. Mam stałych odbiorców, zresztą nieważne... Jednym z moich klientów jest policjant. Strasznie gadatliwy. Uważa mnie za nieszkodliwego wariata, więc w moim towarzystwie mówi bez opamiętania. Nie mógł się powstrzymać i opowiedział mi, co się stało w lesie i potem w muzeum...

Mówiąc szczerze, od dawna spodziewałem się, że w końcu ktoś ukradnie tego el Greca! Miasto traktuje go jak maskotkę, a nie jak arcydzieło sztuki, które ma pobudzać duchowy rozwój miasta! Jak się dowiedziałem, że na furgonetkę napadnięto prawie pod moim nosem, zaraz tam poszedłem. Po drodze widziałem jakiegoś człowieka biegnącego przez las. Próbowałem go zawołać, ale zaraz uciekł - spojrzał na mnie i, widząc moją pełną nadziei minę, szybko dodał: - Niestety, nie potrafiłbym go teraz opisać. Na miejscu ciągle węszyli policjanci - mówił dalej - więc zczekałem, aż sobie pójda i postanowiłem przeszukać miejsce zbrodni sobie tylko znanym, rewelacyjnym narzędziem...

- Co to za narzędzie? - zapytał zciekawiony „Dylan”.

- Właśnie chce, żebyś go pogłaskał... - powiedział, a chłopak zdziwiony spojrzał na Burka, który machał do niego ogonem.

- Burek? - zapytał zdziwiony. - Przecież policja na pewno miała swoje psy.

- Tak, ale Burek jest niezwykły. Ma rewelacyjny węch. Pracował kiedyś na posterunku straży

celnej. Zna się na narkotykach, a papierosy, to jego specjalność, wyczuwa z kilometra...

- To czemu już tam nie pracuje? - zapytała Agnieszka.

- Jest za stary. Mam znajomego w straży celnej. Jakiś rok temu zwierzył mi się ze zmartwienia. Powiedział, że jest u nich w pracy pies. Za stary, żeby biegać za kontrabandą. Komendant kupił nowego zwierzaka i Burek poszedł w odstawkę. Znajomy nie mógł wziąć go do domu, bo miał już trzy psy, dwa koty, a niewielkie mieszkanie. Pozostawały tylko dwa wyjścia: uśpić psa, czego nie chciał zrobić, albo oddać zwierzaka do schroniska. Już miał zrobić to drugie, kiedy pomyślał o mnie. Wiedział, że mieszkam w lesie i zapytał, czy nie zająłbym się Burkiem, na co z ochotą przystałem.

- Burek wykrył coś, co przeoczyły psy policyjne? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Najpierw szukaliśmy wzdłuż drogi. Burek to łapał, to gubił trop. W końcu, w miejscu, gdzie stała okradziona furgonetka znalazł to. „Szczurołap” położył na stole niedopałek. Resztkę papierosa o nazwie „Wisła” miała przygryziony filtr.

- „Wisła” to bardzo popularne bibułki do własnoręcznego robienia papierosów - zauważył „Dylan”.

- A ty skąd o tym wiesz? - zapytałem ostro.

- No, wie pan - „Dylan” zrobił się czerwony. - Zdarza mi się... Z kolegami... Za szkołą...

- Nieważne - uciałem i rzekłem: - Wracając do sprawy. Tego papierosa mógł wyrzucić któryś z policjantów albo ktoś, kto przejeżdżał drogą...

- Wątpię... - ripostował „Szczurołap”. - Kiedy przyszliśmy z Burkiem na miejsce, kawałek terenu, gdzie znaleźliśmy tego papierosa był ogrodzony policyjną taśmą. Trudno się spodziewać, żeby któryś z policjantów celowo zaśmiecił miejsce przestępstwa...

W duchu przyznałem mu rację. Postanowiłem też, że przy okazji wypytam Tomaszewskiego o to, jakie papierosy palą jego podwładni, którzy brali udział w akcji. Nie odezwałem się jednak ani słowem i pozwoliłem naszemu gospodarzowi mówić dalej.

- Przy papierosie „Wisła” Burek złapał trop - „Szczurołap” przeżywał na nowo opowiadane wydarzenie. Zrobił się trochę czerwony na twarzy, otworzył szerzej oczy, energicznie gestykułował. - Poprowadził mnie w głąb lasu, aż do małej polanki kilkadziesiąt metrów od szosy. Na polance znalazł drugi niedopałek marki „Wisła” - położył na stole papierosa przygryzionego w taki sam sposób jak ten pierwszy.

- Interesujące... - podsumowałem bez większego entuzjazmu.

- To jeszcze nie koniec! - obwieścił tryumfalnie człowiek lasu. - Też chciałem wracać, ale Burek to doświadczony śledczy...

Pies usłyszawszy swoje imię wypowiedziane głośno przez pana podbiegł do niego i zaczął się łasić. „Szczurołap” podrapał go za uchem i rzekł:

- Jesteś lepszy od tych policyjnych sierściuchów, co Burek? - zaśmiał się głośno, a pies zaszczeakał. - Na czym to ja skończyłem? Aha, Burek podjął trop po raz drugi i jakieś trzydzieści metrów od polanki, już poza policyjnymi taśmami znalazł strzykawkę.

- Czy mógłby mi pan pokazać tę strzykawkę?

„Szczurołap” wręczył mi z namaszczeniem niewielki przezroczysty pocisk zrobiony z plastyku. Od strzykawki odróżniało go to, że zamiast zwykłego tłoka miał komorę wypełnioną dwutlenkiem węgla, który poruszał umieszczonym wewnątrz tłokiem wstrzykując truciznę, gdy pocisk dosięgał celu. Na końcu naboju była czerwona brzechwa.

- Nic pan nie robił z tym pociskiem? - spojrzałem poważnie na „Szczurołapa”.

- Jest w takim samym stanie jak wtedy, kiedy go znalazłem w lesie - powiedział spokojnie, a ja uznałem, że mogę mu wierzyć.

- Spójrzcie... - zwróciłem się do siedzących przy stole. - Ta strzałka została prawie na pewno wystrzelona i dotarła do celu. Tłok został wciśnięty. Chociaż nabój chyba trochę się zepsuł, bo tłok cofnął się centymetr... Ale dwie rzeczy mnie dziwią... Spróbujecie zgadnąć? - zwróciłem się do moich pomocników.

Przez kilka minut oglądali uważnie strzałkę.

- Jeśli strzała dosięgła celu... - myślał na głos „Dylan” - to dlaczego na igle nie ma śladów krwi.

Czyżby ktoś je stał?

- Agnieszka? - zwróciłem się do dziewczyny.

- Na końcu tłoka - powiedziała - ani w komorze nie ma śladów żadnej substancji... Co oznacza, że albo trucizna była bezbarwna, co jest możliwe, albo...

- W tej strzykawce nie było żadnej trucizny! - dokończył „Dylan”.

- Albo była w niej woda - dodałem. - Doskonała robota! - pochwaliłem ich, a widząc trochę zdezorientowaną minę „Szczurołapa” utwierdziłem się w przekonaniu, że miałem rację ufając mu. - Ciekawa sprawa, ale nie wyciągajmy zbyt szybko wniosków. Pokażę to wszystko inspektorowi Tomaszewskiemu. Może uda się zrobić analizy i wtedy będziemy mieć pewność co do dowodów. Panie „Szczurołapie” - zwróciłem się do leśnego pustelnika. - pan też spisał się na medal! Dziękuję. Będziemy się zbierać.

„Szczurołap” od dłuższej chwili siedział zamyślony. Usłyszawszy, że chcemy już jechać, powiedział:

- Oni mogą wrócić.

- O czym pan mówi? - spojrzałem na niego nie wiedząc o co chodzi.

- Z tego co rozumiałem, wynika, że akcja została przeprowadzona, łagodnie mówiąc, po amatorsku. A to znaczy, że ludzie, którzy ukradli el Greca mogą się bać, że zostawili jeszcze jakieś dowody na miejscu przestępstwa. „Zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni”... - powiedział zadumany głosem. - Jest chyba takie powiedzenie, prawda?

- Ma pan rację... Ale nie mogę pojechać teraz na miejsce przestępstwa... Muszę załatwić kilka niecierpiących zwłoki spraw.

- W takim razie ja obejmę wartę, a pan do mnie dołączy, jak już będzie wolny - rzekł „Szczurołap”.

Zanim odjechaliśmy, narysował mi jeszcze jak trafić do miejsca, w którym skradziono obrazy. Potem pożegnaliśmy się i wróciliśmy do samochodu.

- Wpadniemy jeszcze do kogoś - powiedziałem, skręcając na drogę prowadzącą do wsi, gdzie mieszkał człowiek, który chciał mi sprzedać maszynę do pisania. Miałem zamiar wreszcie go wypytać o jego informatora.

Ale furtka prowadząca do domku otoczonego ogródkiem była zamknięta. Przez chwilę nawoływaliśmy, ale nikt się nie zjawiał na ganku.

- Nie ma sensu tak krzyczeć - odezwał się obok nas skrzekliwy głos starszej kobiety, przechodzącej ulicą. - U nich nikogo nie ma... Dzisiaj rano była tutaj karetka. Moja siostrzenica, co im mleko co dzień nosi, mówi, że starszy pan dostał wylewu, jak zobaczył dzisiejszą gazetę. Od razu powieźli go do szpitala w Siedlcach...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ŚWIADEK W ŚPIĄCZCE * DOBRA WIADOMOŚĆ Z WARSZAWY * NA STAROWIEJSKIEJ * NA TO PYTANIE
MOGĘ OD RAZU ODPOWIEDZIEĆ * ZEZNANIA, OBDUKCJE I TAJEMNICA PUSTEJ STRZYKAWKI *
ZASADZKA * UCIECZKA ZŁOCZYŃCÓW * ŻUBR, POGOŃ, ORZEŁ I GRECKIE LITERY *
ZNÓW PAPIEROS „WISŁA”

Jan Surdykowski leżał na OIOM-ie.

- Źle z nim - tłumaczył lekarz. - Dostał udaru mózgu. Na szczęście trafił do nas na tyle szybko, że udało się w porę podać odpowiednie leki i jest szansa, że z tego wyjdzie. Na razie jest w śpiączce...

- Kiedy się obudzi? - zapytałem.

- Trudno powiedzieć, może za godzinę, może za tydzień, a może dopiero za rok...

- Będzie mógł mówić?

- Nie wiem. Miejmy nadzieję...

Zostawiłem lekarzowi swój numer telefonu na wypadek, gdyby chory się obudził i poszliśmy do Muzeum Diecezjalnego.

- Panie Pawle, nie uwierzy pan - dyrektor Jankowska był rozpromieniona - doktor Galicka i magister Sygietyńska przysłały telegram!

- I co się okazało?

- Obrazy, które przekazali nam złodzieje, to oryginały!

- Wspaniale! - ucieszyłem się. - Czy wicedyrektor Herrera już wie?

- Rozmawiałam z nim przed kwadransem. Niech pan sobie wyobrazi, drogi Pawle, że rozmawiał ze zwierzchnikami i zgodzili się poczekać kilka dni. Jeśli „Ekstaza św. Franciszka” się znajdzie, to dojdzie do wymiany obrazów. Pan znajdzie naszego el Greca, prawda? - w jej spojrzeniu była prośba, której trudno odmówić.

- Hmm, tak, spróbuję... - wybąkałem.

Dyrektor Jankowska rzuciła mi się na szyję i objęła ramionami. Poczułem jej perfumy o dusznym zapachu kwiatów. Płomień rumieńca rozpałił mi twarz i uszy.

- Na pana zawsze można liczyć... - powiedziała również czerwieniąc się i odsuwając nieco ode mnie. - Aha, byłabym zapomniała. Jutro o ósmej wieczorem urządzam wieczorek wróżbiarski. Będzie mnóstwo znakomitości z naszego miasteczka. Spróbujemy zabawić się w przepowiadanie przyszłości i w ten sposób choć trochę panu pomóc w rozwiązaniu zagadki. Przyjdzie pan?

- Oczywiście - zapewniłem ją i opuściłem muzeum.

Słońce stało już bardzo nisko nad horyzontem. Dotarliśmy wreszcie do obozu nad zalewem.

- Panie Pawle - zapytała mnie obojętnym tonem Agnieszka - czy nie moglibyśmy wybrać się z panem i „Szczurołapem” na to nocne polowanie?

Spojrzałem na nich. Twarze mieli rozpalone z ciekawości, oczy im błyszczały.

- Mam dla was inne zadanie - powiedziałem.

Agnieszka skrzywiła się i fuknęła gniewnie, z ust „Dylana” wydostał się jęk zawodu.

- To może być naprawdę niebezpieczna wyprawa. Nie mogę was narażać. Chcę za to, żebyście mieli na oku Malinowskiego.

- On nie ma z tą sprawą nic wspólnego... - powiedziała Agnieszka.

- Kto wie, kto wie - powiedziałem tajemniczo. - Mam przeczucie, że dzisiaj się coś zdarzy... Jeśli kierownik Malinowski coś knuje, to teraz, kiedy wszyscy zajmują się kradzieżą el Greca, ma idealny moment, żeby zrealizować swój plan.

- No dobrze, jak pan chce... - powiedziała zawiedziona Agnieszka - ale jutro wszystko nam pan opowie - wycelowwała we mnie palec.

- Macie to jak w banku - odpowiedziałem.

- To dobranoc, panie Pawle... - powiedziała Agnieszka. - Albo raczej - uśmiechnęła się - powodzenia!

„Dylan”, znów wierny jednodniowym ślubom milczenia, pokazał tylko pięść z podniesionym kciukiem.

- Dobrej nocy! - krzyknąłem, bo już szli brzegiem w kierunku świateł swojego obozu.

Dziewczyna patrzyła w bok na wody zalewu, chłopak wpatrywał się w czubki swoich butów. Szybko zjadłem kolację, przebrałem się w ciemne spodnie i kurtkę, wrzuciłem do wehikułu latarkę i ruszyłem na ulicę Starowiejską do komendy policji.

Inspektor był na szczęście na miejscu. Opowiedziałem mu wszystko, czego dowiedziałem się w domku „Szcurołapa”, pokazałem dwa niedopałki i strzałkę. Inspektor Tomaszewski z rosnącym zainteresowaniem słuchał mojej relacji i uważnie obserwował znaleziska, mrucząc pod nosem. W końcu zapalił papierosa. Odruchowo spojrzałem na jego markę, co wywołało uśmiech inspektora:

- Nie palę „Wisła”, nie lubię skręcanych papierosów - powiedział. - Nie przygryzam też filtrów. Proszę zerknąć do popielniczki...

Rzeczywiście. Żaden z licznych niedopałków nie miał przygryzionego filtra.

- Czy któryś z ludzi, których pan wysłał na miejsce kradzieży, jest palaczem?

- Na to pytanie od razu mogę panu odpowiedzieć! - ucieszył się inspektor. - Może pan słyszał, że mamy teraz w lasach trzeci stopień zagrożenia pożarowego? Dlatego na tę akcję wysłałem wyłącznie osoby niepalące.

- Czyli pańscy ludzie odpadają... To że papierosa rzucił ktoś z samochodu też nie brzmi prawdopodobnie, ponieważ taki sam niedopałek „Szcurołap” znalazł w lesie... To byłby chyba zbyt duży zbieg okoliczności...

- Co oznacza, że papierosa palił ktoś ze złodziejskiej szajki...

- Jest jeszcze strzykawka... Najprawdopodobniej pusta.

- Co oznacza, że w kradzież mógł być zamieszany ktoś z furgonetki...

Zamyślił się.

- Dziękuję, że przyszedł pan z tym do mnie. Myślę, że mogę dopuścić pana do śledztwa. Proszę przejrzeć te raporty - wręczył mi cienki plik papierów. - Znajdzie pan w nich stenogramy z przesłuchań wszystkich ludzi z furgonetki i wyniki obdukcji lekarskich. Może trafi pan na coś, co przeoczyłem. Ja tymczasem pójdę do naszych techników. Trzeba dokładnie zbadać tę strzykawkę.

Wyszedł, a ja zagłębiłem się w lekturze.

KMP K 483/07/04

Raport z przesłuchania świadka zdarzenia

Imię: **Roman**

Nazwisko: **Bogusz**

Wiek: 29 lat

Już mogę? Jestem etatowym pracownikiem Muzeum Diecezjalnego w Siedlcach. Dzisiaj rano, to jest 24 czerwca, pojechałem do Warszawy, odebrać z lotniska delegację z Muzeum Prado. Odebranie obrazu i podróż do Siedlec przebiegała bez problemów.

Ach tak... Oczywiście. Siedziałem obok kierowcy. Po prawej stronie miałem dyrektora Herrere. Mam mówić dalej? Dobrze.

Dopiero w lesie oddalonym od Siedlec o około 5 kilometrów zobaczyłem ścięte drzewo, które zagradzało dalszą jazdę. Dwóch policjantów wysiadło z samochodu, żeby usunąć przeszkodę. Jeden został na straży z tyłu samochodu. Po około pięciu minutach usłyszeliśmy strzały, coś jakby kląsknięcia. Po około minucie obaj policjanci upadli. Przestraszyliśmy się, że zostali zabici i nie chcieliśmy wysiadać z samochodu. Po chwili z lasu po lewej stronie wyszło osiem... nie, przepraszam, dziewięć zamaskowanych postaci.

Mieli na głowach kominiarki, byli ubrani w czarne dresy. W rękach mieli pistolety. Ponieważ dla bezpieczeństwa zabrałem ze sobą pistolet gazowy, otworzyłem drzwi od strony kierowcy, wyskoczyłem z samochodu, nie zamykając drzwi i oddałem kilka strzałów w kierunku zamaskowanych osobników. Niestety, żaden nie doszedł celu. Za to ja zostałem trafiony. W brzuch.

To czym dostałem, to była strzałka z jakąś białą substancją w środku. Szybko ją wyciągnąłem, ale było za późno. Strzykawka cicho syknęła i po około minucie poczułem, że serce mi zwalnia, a natychmiast potem nogi się pode mną ugięły. Ostatnie co usłyszałem to był krzyk kobiety.

Kiedy się obudziłem, byłem w lesie. Lekko bolała mnie głowa. Rozwiązała mnie Blanka Fernandez, która, jak sądzę, przebudziła się wcześniej. Wstałem i poczułem zawroty głowy. Prawie wszyscy, którzy jechali furgonetką byli już przytomni i wszyscy poza mną, byli bez ubrań. Tylko jedna osoba pozostawała nieprzytomna, był to policjant, który jeśli dobrze pamiętam, nazywa się Kowalski.

Ponieważ byłem ubrany i dobrze znałem teren, zostałem przez grupę wyznaczony do sprowadzenia pomocy, co też uczyniłem. W czasie drogi nie spotkałem nikogo. Dopiero kiedy wyszedłem na szosę, złapałem stopa i w ten sposób dotarłem na posterunek policji. To wszystko.

Raport z obdukcji pacjenta: Bogusz Roman

Ogólny stan pacjenta dobry. Lekki ból głowy. Stłuczenie prawego łokcia i kolana, prawdopodobnie przy upadku. Nakłucie, prawdopodobnie od igły, na brzuchu.

KMP K 483/07/05

Raport z przesłuchania świadka zdarzenia

Imię: **Juan**

Nazwisko: **Herrera y Pacheco**

Wiek: 56 lat

Nie spodziewałem się tego! Ta kradzież to skandal! I to ma być Unia Europejska! Dobrze już, dobrze... Przechodzę do meritum. No więc w drodze do Siedlec nic się specjalnego nie wydarzyło. Siedziałem przy oknie, obok kustosa z Siedlec.

Dopiero po dwóch godzinach jazdy stanęliśmy, bo na drodze leżało jakieś wielkie drzewo! Policjanci poszli to sprawdzić. Nie, nie zwracałem uwagi, co się z nimi działo, bo sprawdzałem dokumenty dotyczące wymiany obrazu. Czy sprawdziłem godzinę?

Moment, niech sobie przypomnę... Tak, było za piętnaście dziesiąta. Sprawdziłem, bo bałem się spóźnienia...

Zacząłem się interesować tym, co się wokół działo, kiedy ten młody kustosz wysiadł z samochodu. Patrzę więc przez przednią szybę, a tam nasi ochroniarze leżą na ziemi! Usłyszałem kilka strzałów... Ile? Trudno powiedzieć. Na pewno więcej niż

sześć...

Jak usłyszałem te strzały, obróciłem się w stronę, z której dobiegały, ale zobaczyłem tylko kustosza osuwającego się na ziemię z zaciśniętą pięścią, a za nim, idących w naszą stronę ludzi ubranych na czarno. Było ich chyba z dziesięciu... Twarze mieli zamaskowane.

Jeden z nich, dość wysoki, złapał za drzwi samochodu i wycelował do mnie z pistoletu. Myślałem, że już po mnie i nerwowo zacząłem szarpać za klamkę. Usłyszałem za sobą jakby cmoknięcie i poczułem ból w plecach. Po chwili straciłem przytomność.

Obudziłem się w lesie, prawie nagi, w samych slipkach! Te draby, panie oficerze, okradły mnie nie tylko z obrazów, ale w dodatku z ubrania! Ręce miałem związane taśmą. Czulem się niedobrze, poza tym bolały mnie plecy i głowa. Jak tylko jeden z policjantów mnie rozwiązał, oddaliłem się i opróżniłem żołądek.

Potem razem z innymi czekałem, aż Roman Bogusz wróci z pomocą. Panie oficerze! Musicie znaleźć te obrazy! Dyrektor mnie...

Raport z obdukcji pacjenta: Herrera Juan Pacjent w stanie ogólnie dobrym. Niegroźna, już ustępująca bradykardia, wywołana najprawdopodobniej działaniem tiopentalu. Liczne, powierzchowne zadrapania na plecach. Nakłucie, prawdopodobnie od igły, około dziesięciu centymetrów poniżej karku.

KMP K 483/07/03

Raport z przesłuchania świadka zdarzenia

Imię: **Blanka**

Nazwisko: **Fernandez y Puyol**

Wiek: 34 lata

Od rana było mi niedobrze. Źle zniosłam lot. W czasie jazdy do Siedlec spałam na tylnym siedzeniu. Obok mnie nie było nikogo.

Przebudziłam się, kiedy usłyszałam strzały. Podniosłam się bardzo powoli z tylnego siedzenia, a wtedy do furgonetki wpadł jakiś facet w kominiarce. Najpierw strzelił do wicedyrektora. To znaczy do Juana Herrery. Potem wycelował we mnie. Wtedy krzyknęłam, a on strzelił. Nie, to nie był nabój. Raczej coś jakby strzykawka...

Gdzie? Trafił mnie w ramię.

Zanim straciłam przytomność, zobaczyłam przez okno, że dwóch z nich podnosi z ziemi pana kustosza i niesie w stronę lasu po prawej stronie. Bałam się, że mu coś zrobią. Aha. I jeszcze pamiętam strzał. Trochę mnie ogłuszył, więc pewnie to strzelał ten policjant, który był w części z obrazami. Potem nic już nie pamiętam, aż do czasu kiedy się ocknęłam. Usłyszałam wtedy jakieś słowa po polsku, których nie rozumiałam. Tak, z całą pewnością pierwsza odzyskałam przytomność. Obróciłam się, bo leżałam na brzuchu, i zobaczyłam, że zostawili mi tylko bieliznę. Poczulałam się bardzo głupio...

Usłyszałam wokół siebie jakieś poruszenie. Coś szeleściło w krzakach, szurały czyjeś kroki. Przez chwilę mignęła w gęstwinie ubrana na czarno postać, która, tak mi się wydaje, uciekła w las. Potem wszystko ucichło. Zaczęłam wzywać pomocy. Chwilę szarpałam się z więzami, aż oswobodził mnie jeden z policjantów, który nas eskortował. Ile czasu minęło od mojego przebudzenia? Ocenilabym to na kwadrans. Może trochę krócej.

Raport z obdukcji pacjenta: Fernandez Blanka

Stan ogólny dobry. Lekkie wyziębienie organizmu. Nakłucie na przedniej części lewego ramienia, prawdopodobnie od igły.

KMP K 483/07/01

Raport z przesłuchania świadka zdarzenia

Imię: **Marcin**

Nazwisko: **Kaczmarek** (starszy aspirant, dowódca oddziału eskorty)

Wiek: 42 lata

O godzinie 8. rano, zgodnie z wytycznymi od naszego dowódcy nadkomisarza Rockiego Waldemara, pojechaliśmy pod terminal Międzynarodowego Portu Lotniczego Okęcie, by odebrać delegację hiszpańską wraz z obrazami.

O godzinie 8.23 odjechaliśmy w kierunku celu podróży, tzn. Siedlec. Pojazdem kierowałem ja. Dwóch funkcjonariuszy, tzn. sierżant sztabowy Kowalski Robert i młodszy aspirant Mierzwa Stanisław, znajdowało się w tylnej części wozu, za ścianką pancerną odgradzającą obie części. Wymienieni funkcjonariusze pilnowali cennego ładunku.

O godzinie 9.45 zauważyłem kłodę drewnianą tarasującą drogę i uniemożliwiającą dalszą jazdę. Rozkazałem sierżantowi Kowalskiemu opuszczenie tylnej części wozu i podjęcie wraz ze mną czynności sprawdzających i próby odsunięcia przeszkody. W ich wyniku doszliśmy do wniosku, że drzewo zostało niedawno ścięte i celowo ułożone na drodze. Niestety, wnioski te zostały podjęte przez nas zbyt późno, gdyż w momencie, gdy próbowałem usunąć drzewo z drogi, poczułem ułknięcie w szyję, które, po około czterdziestu sekundach, spowodowało u mnie utratę przytomności.

O której godzinie się obudziłem, nie potrafię powiedzieć, ponieważ przestępcy zbiegli razem z moim mundurem i zegarkiem. Po przebudzeniu zostałem oswobodzony przez Bogusza Romana. Pomogłem Mierzwie Stanisławowi rozwiązać i posadzić pod drzewem sierżanta Kowalskiego, który pozostawał nieprzytomny aż do czasu przybycia karetki pogotowia, która odtransportowała go do szpitala.

Raport z obdukcji pacjenta: Kaczmarek Marcin

Lekkie wstrząśnienie mózgu, spowodowane uderzeniem o drzewo, o czym świadczy rana i siniak na głowie oraz resztki kory i liści we włosach. Na szyi nakłucie, prawdopodobnie od igły.

KMP K 483/07/02

Raport z przesłuchania świadka zdarzenia

Imię: Stanisław

Nazwisko: Mierzwa (młodszy aspirant)

Wiek: 25 lat

Siedziałem z tyłu razem z Robertem Kowalskim przez całą podróż. Uważaliśmy na te obrazy. Potem nagle stanęliśmy, a pan aspirant Kaczmarek poprosił Roberta, żeby z nim poszedł zobaczyć, bo coś leży na drodze. No i Robert poszedł.

Nie, nie zamknąłem drzwi, bo myślałem, że to nic takiego. Ale potem usłyszałem, że coś się tam na zewnątrz dzieje. Wyjąłem swojego glocka, odbezpieczyłem go i wycelowałem w drzwi. Usłyszałem krzyk dziewczyny, a potem ktoś poruszył tylnymi drzwiami i wypaliłem. Trochę się zadymiło w środku i pokazała się ręka uzbrojona w pistolet i strzeliła do mnie. Dostałem taką śmieszoną strzałką w udo i po chwili już leżałem. Jak przez mgłę pamiętam, że dwie postacie w kominiarkach zajrzały do wozu. Potem straciłem przytomność.

Obudził mnie krzyk tej Hiszpanki. Darła się wniebogłosy, coś jakby „ajuda, ajuda”. Szybko wyzwoliłem się ze sznura. Byłem w tym dobry w szkole policyjnej. No i pomogłem tej pani, a potem reszcie. A tak. Razem z aspirantem Kaczmarkiem posadziliśmy pod drzewem Roberta Kowalskiego. On był nieprzytomny.

Raport z obdukcji pacjenta: Mierzwa Stanisław

Stan ogólny dobry. Stłuczenie ciemieniowej części czaszki. Nakłucie na prawym udzie, prawdopodobnie od igły.

KMP K 483/07/06

Raport z przesłuchania świadka zdarzenia

Imię: Robert

Nazwisko: Kowalski (sierżant sztabowy)

Wiek: 26 lat

No więc ja tam nie wiem, co się dokładnie wydarzyło. Jak jechaliśmy z Warszawy, to ja siedziałem z tyłu. A potem wyszliśmy z panem aspirantem Kaczmarkiem na dwór.

Oglądaliśmy ten konar, co spadł na drogę. Jaki był? Sam pan widział. Wielki jak sk..., przepraszam. To się nie powtórzy. No więc oglądamy ten konar, oglądamy, a tu nagle jak mi coś nie świśnie obok ucha i nie ukluje w rękę. To było takie uczucie, jakby mnie osa użądliła. A potem to już naprawdę nic nie pamiętam, bo obudziłem się dopiero w karetce.

Raport z obdukcji pacjenta: Kowalski Robert Stan pacjenta zadowolający, chociaż widać wyraźne objawy przedawkowania tiopentalu, tzn. bradykardię, skurcz krtani i znaczną senność. Pacjent ma nakłucie na lewym ramieniu, prawdopodobnie od igły.

Badanie jamy ustnej wykazało zmiany zapalno-zakrzepowe na podniebieniu, które mogły zostać spowodowane nieprzyjęciem przez organizm części podanego w tym miejscu tiopentalu.

Odłożyłem papiery na biurko. Przetarłem oczy. Skrzypnęły drzwi i do pokoju wszedł inspektor Tomaszewski dzierżąc w dłoniach kilka plastikowych woreczków ze strzykawkami i kartką papieru zapisaną gęstym, pokreślonym pismem.

- Przepraszam, że dotychczas panu nic nie zaproponowałem. Kawę czy herbatę? - powiedział kładąc przyniesione rzeczy na biurku.

Poprosiłem o kawę, którą inspektor zaraz zaparzył w ekspresie. Podał mi kubek i rozsiadłszy się ze swoim w wygodnym fotelu naprzeciwko mnie, zapytał:

- Przeczytał pan już?

Potwierdziłem.

- I co pan o tym sądzi?

- Na pierwszy rzut oka wszystko się zgadza, ale kiedy pomyślę o tej porzuconej w krzakach strzykawce...

- A właśnie, strzykawki! - powiedział zadowolony inspektor i rozłożył przed sobą plastikowe woreczki jakby były kartami, z których zaraz zacznie wróżyć. - Zanim przejdziemy do arcyciekawych ustaleń moich kolegów z laboratorium, które dotyczą tej przyniesionej przez pana, podam jeszcze kilka szczegółów, które dotyczą strzałek znalezionych przez nas na miejscu przestępstwa.

- Zamieniam się w słuch.

- Znaleźliśmy sześć strzykawek zawierających śladowe ilości tiopentalu. Były porzucane po całym miejscu zdarzenia. Jedna leżała przy zwalonym drzewie, trzy wały się po szosie, dwie znaleźliśmy w lesie. Przystępców zawiodła technika, bo jedna ze strzykawek się zepsuła i nie zaaplikowała ofierze całej dawki środka znieczulającego, tylko jego połowę. Przypuszczamy, że ta strzykawka dosięgła Blankę Fernandez. Z jej, co prawda tylko częściowo potwierdzonego przez aspiranta Mierzwę, zeznania wynika, że obudziła się pierwsza.

- A co ze strzykawką, którą znalazł „Szcurołap”?

- I tu się zaczyna robić ciekawie - inspektor się ożywił. - W tym naboju nie było tiopentalu, tylko woda - poruszyłem się niespokojnie. - W dodatku badania wykazały, że ta strzykawka została wystrzelona z pistoletu!

- Żartuje pan?! - podniosłem się z krzesła.

- Nie. Badania wykazały to z całą pewnością. Ale to jeszcze nie koniec. Wstyd się przyznać, wczoraj nie zrobiliśmy badań balistycznych reszty strzykawek.

- Nie sprawdziliście, z jakiej broni wystrzelono strzałki, które znaleźliście na miejscu przestępstwa? - w moim głosie musiało być słycać wyrzut, bo inspektor zrobił się czerwony.

- Uznaliśmy za oczywiste - tłumaczył się - że wyleciały z pistoletów, które mieli przestępcy. Mamy nauczkę... W kryminalistyce nic nie jest oczywiste. Ale przed chwilą zrobiliśmy wstępną

analizę i okazuje się, że z kolei jedna ze strzałek, w których był tiopental nigdy nie przeszła przez lufę pistoletu.

- To co, strzelali jak Indianie, z rurki?

- Nie, w ogóle nią nie strzelano.

Ta informacja całkowicie splątała moje rozumowanie. Postanowiłem myśleć głośno, żeby uporządkować myśli.

- To co pan przed chwilą powiedział oznacza, że jedna ze strzałek, która ugodziła ludzi jadących furgonetką nie zawierała trucizny...

- Co z kolei doprowadza nas do wniosku, że jedna z tych osób nie została uśpiona.

- A skoro nie powiedziała o tym w zeznaniach... - uderzyłem kilkakrotnie palcem wskazującym w leżące na biurku notatki.

- To musiała być w zмовie z przestępcami! - powiedział inspektor, podniósł się z fotela i z kubkiem kawy w ręku zataczał kręgi po niewielkiej przestrzeni pokoju.

- Może była nawet hersztem bandy - powiedziałem cicho. - To pewnie on...

- Albo ona... - wtrącił się Tomaszewski.

- W każdym razie ta osoba paliła papierosy „Wisła”. To że Burek dotarł do strzykawki, idąc śladem papierosów, tylko to potwierdza.

- Kto to jest? - zastanawiał się na głos Tomaszewski, poluzowując jednocześnie krawat. Postawił kubek na biurku, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu fotela. Obrócił się do mapy Siedlec rozwieszanej na ścianie za jego fotelem, jakby liczył na to, że pojawi się na niej mała flaga i pokaże, gdzie schował się złoczyńca. - Kim jest tajemniczy palacz papierosów „Wisła”? - zapytał.

- Są badania kodu genetycznego! - wykrzyknąłem z nadzieją. - Gdyby sprawdzić, czyje DNA jest na igle strzykawki znalezionej w lesie...

- Ale na igle nie ma DNA... - inspektor odwrócił się i skierował na mnie zrezygnowane spojrzenie zmęczonych oczu. - Tam nic nie ma, oprócz resztek ściółki leśnej...

- Jak to...? - poczułem, że w gardle rośnie mi wielka gula.

- Igła została odkazona alkoholem. Dokładnie rzecz biorąc, czystym spirytusem. Jeśli było tam coś, to już tego nie ma. Złodzieje byli sprytni i chociaż popełnili kilka błędów, to jednak tę część zadania wykonali perfekcyjnie. Tak samo odkazili resztę strzykawek. Po żadnym DNA nie ma na nich śladu - usiadł i przetarł czoło z potu.

- Ale jak zdołali to zrobić? Przecież nie mieli czasu.

- Mieli, panie Pawle, mieli. Tiopental działa przez pół godziny. W tym czasie mogli i zapalić papierosa, i odkazić strzykawki, i usunąć kłodę z drogi, i przebrać się za delegację z Muzeum Prado.

- No, dobrze, ale ktoś mógł przejeżdżać tamtędy, coś widzieć! - zaprotestowałem.

- Nie docenia pan naszych przeciwników. Oczywiście wczoraj przekazaliśmy mediom apel, żeby każdy, kto coś widział, zgłosił się do nas.

Znów wstąpiła we mnie nadzieja.

- Na pewno zgłosiło się wiele osób...

- Mieliśmy sto telefonów od ludzi, którzy pomiędzy 9.30 a 10.30 przejeżdżali tamtą szosą i wie pan, co widzieli? Po obu stronach drogi stały patrole policji i zawracały każdego, kto chciał przejechać, informując, że dwa kilometry dalej był wypadek cysterny z płynnym azotem. Jak pan myśli, czy ludzie zawrócili? - ostatnie słowa nasączone były ironią.

- Jednego nie rozumiem... - zastanawiałem się głośno. - Co się stało z tiopentalem ze strzykawki,

która nikogo nie ugodziła, a którą bandyci podrzucili, żeby wszystko się zgadzało...

Inspektor nie odpowiedział. Zamiast tego wziął z biurka dokumenty, które przed chwilą czytałem i zaczął je nerwowo przeglądać, jakby czegoś tam szukał.

- No tak... - powiedział nie patrząc na mnie i zaciskając usta. - To wyjaśnia sprawę... - cmoknął. - Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi... Nie skojarzyłem... Proszę posłuchać - policjant chrząknął. - To z obdukcji tego policjanta, który spał dłużej niż reszta: „Badanie jamy ustnej wykazało zmiany zapalno-zakrzepowe na podniebieniu, które mogły zostać spowodowane nieprzyjęciem przez organizm części podanego w tym miejscu tiopentalu.” Pewnie wkłuli mu igłę w podniebienie, żeby trudno było zauważyć ranę. Podwójna dawka spowodowała, że spał tak długo...

Zadzwonił telefon.

- Tak... Rozumiem... - mówił do słuchawki inspektor. - Jesteście pewni? - milczał przez chwilę słuchając. - Dzięki...

Odłożył słuchawkę.

- Dzwonili właśnie z Warszawy. Żaden z policjantów, którzy eskortowali płótna el Greca nie pali. Specjalnie ich tak dobierali, żeby któremuś z nich nie przyszło po drodze do głowy zapalić papierosa. To oczywiście bardzo mało prawdopodobne, ale mogłoby wtedy dojść do przypadkowego zaproszenia ognia. A góra nie chciała w żaden sposób ryzykować.

- Więc jeśli nasza hipoteza ze strzykawkami jest słuszna - rzekłem - człowiekiem bandytów w grupie musiał być ktoś z trójki: Juan Herrera, Blanka Fernandez, Roman Bogusz. Będzie trzeba im się dokładniej przyjrzeć. Jeśli któreś z nich pali papierosy „Wisła”...

- Niech pan będzie bardzo ostrożny... - powiedział inspektor. - Jeśli spłoszymy ptaszka, może się zaszyć i nigdy go nie znajdziemy.

Trochę odprężony spojrzałem na zegarek.

- Jak późno! - jęknąłem. - Przepraszam, inspektorze muszę się zbierać. Mam jeszcze dzisiaj spotkanie! Będziemy w kontakcie!

Popędziłem wehikułem w kierunku miejsca, gdzie „Szczurołap” znalazł niedopałek i gdzie teraz stał na warcie.

Szybko tam dojechałem. Słońce w całości schowało się za horyzontem. Niebo, które widziałem ponad drogą pomiędzy dwoma liniami leśnych drzew, granatowiło. Długie cienie drzew, prawie już niewidoczne, kładły się na ziemi. Wjechałem na leśną drogę, pomiędzy ciemną zielenią, podobną do tej, jaką kładł el Greco w swoich pejzażach.

Wysiadłem z samochodu. Latarkę trzymałem w ręku, ale jej nie zapalałem. Otoczyły mnie zapachy i dźwięki wyostrzane jeszcze przez coraz bardziej gęstniejącą ciemność. Żywica, igliwie i wilgotne powietrze. Szurania, szmery i szelesty.

Nagle gdzieś pomiędzy drzewami błysnęło na chwilę i zaraz zgasło światło latarki, wycinając z jednolitej ściany czerni przede mną kontury sylwetki „Szczurołapa”. Czym prędzej odpowiedziałem na jego sygnał, zapalając na moment latarkę, i ruszyłem w jego kierunku.

- Nikogo nie było przez cały dzień - powiedział „Szczurołap”, kiedy się z nim przywitałem. - Ledwie kilka samochodów przejechało, ale nikt się nie zatrzymał. Może nie przyjdą...

- Muszą przyjść. Przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni...

- Oby miał pan rację - powiedział „Szczurołap”, usiadł na ziemi i oparł się plecami o drzewo.

Poszedłem za jego przykładem. Ściółka i drobne gałązki zachręściły pod moim ciężarem. Siedzieliśmy w ciemnościach, pięćdziesiąt metrów od szosy, patrząc na wstążkę drogi, którą tylko od

czasu do czasu przebiegały świetliste smugi reflektorów samochodowych. Za każdym takim przejazdem zrywali się z miejsca i uważnie lustrowali drogę. I za każdym razem, widząc czerwone tylne światła, opadali na nasze miejsca pod drzewami.

Było grubo po północy i chyba się zdrzemnąłem zmęczony wyczekiwaniem, kiedy poczułem, że „Szczurołap” szturcha mnie w ramię.

- To chyba oni - szepnął cicho.

Spojrzałem w stronę drogi.

Na poboczu szosy, naprzeciwko nas, stała niewielka furgonetka. Kierowca nie zgasił długich świateł. Wszedł z pojazdu i zapalił papierosa. Oparł się ciężko o maskę wozu, w strumieniach światła, co powodowało, że nie sposób było rozpoznać jego twarzy. Widzieliśmy tylko wysoką chudą sylwetkę.

Kierowca rozejrzał się powoli wokoło, a potem zniknął za samochodem. Po chwili pojawił się przy tylnych drzwiach furgonetki. Otworzył je, a ze środka wysypało się kilku ludzi. Zapalili latarki i rozpierzchli się po lesie. Zachowywali się bardzo cicho. Tylko snopy światła, które cięły noc, odsłaniając co jakiś czas kawałek pnia, korzeń, kępkę trawy, świadczyły o ich obecności.

- Stąd nic nie widać, podejźmy bliżej... - szepnąłem do „Szczurołapa”.

- Mogą nas nakryć. A jest ich więcej...

- Trudno, musimy zaryzykować... - powiedziałem i najciszej jak umiałem zacząłem przekradać się w kierunku wozu. „Szczurołap” westchnął cicho z rezygnacją i podążył za mną. Po kilku minutach staliśmy za szerokim pniem dębu, pięć metrów od kierowcy ciągle skrywanego przez blask reflektorów furgonetki. Postąpiłem jeszcze krok, ale wdepnąłem w uschnięty krzak. Gałązki ustąpiły z trzaskiem pod moim butem.

Kierowca z niepokojem zatrzymał papierosa w połowie drogi do ust i napiął się czujnie. Wyrzucił niedopałek. Powoli zaczął obracać głowę w naszą stronę.

„Jeszcze chwila, a zobaczę twoją twarz. No dalej, popatrz tutaj!” - zachęcałem go w myślach. Broda wyłoniła się z blasku, mogłem już zobaczyć włosy rzadkiego zarostu, kiedy z kierunku, gdzie zostawiłem wehikuł, doszedł głośny krzyk.

- Tu jest jakiś staroświecki wóz! W dodatku otwarty!

Rzuciliśmy się ze „Szczurołapem” w kierunku kierowcy, ale on już był w furgonetce i włączył silnik. Potknąłem się o jakiś konar leżący na poboczu i upadłem jak długi na asfalt.

„Szczurołap” wpadł na mnie. Światła furgonetki oślepiły nas.

„No, to już chyba koniec, Pawle! Z tej kabały się nie wywiniesz...” - pomyślałem z rozpaczą. Ale samochód tylko podjechał metr do przodu, potem stanął, by w końcu zakręcić w stronę, z której dobiegł krzyk. Otwarte tylne drzwi kłapały, gdy wóz nabierał prędkości.

- Za mną - krzyknąłem, podnosząc się z asfaltu.

Pobiegłem szosą w stronę wehikułu. Furgonetka, którą przyjechali nasi przeciwnicy stała kilka metrów od leśnej drogi, w głębi której zaparkowałem wehikuł. Dwie postacie gramoliły się już na „pakę”, ale na leśnej ścieżce widać było poruszające się szybko snopy światła latarek. Ruszyłem w tamtą stronę. „Szczurołap” biegł za mną.

Przeciwnicy skierowali latarki na mnie. Zasłoniłem oczy ręką ale oni już biegli w moją stronę. Jeden z nich, przebiegając obok, potracił mnie. Upadłem na leśną drogę. Zanim wstałem, jeszcze dwie pary butów przemknęły obok mojej głowy.

Wtem usłyszałem dziki krzyk „Szczurołapa”. Zerwałem się na równe nogi. Przede mną przy

wehikule nie było już nikogo. Za to po drugiej stronie, na samym środku leśnego traktu, widać było jakąś skłębioną kulę.

To „Szczurołap” walczył z napastnikiem, którego latarka upadła w przydrożną trawę, oświecając długie źdźbła. Skoczyłem na pomoc memu towarzyszowi, ale zanim zdołałem dopaść walczących, napastnik zrzucił „Szczurołapa” ze swego grzbietu. Odepchnął go na bok i pobiegł do szosy, na której czekała już furgonetka. Rzuciłem się w pościg, ale kiedy wypadłem na asfalt, mogłem tylko odprowadzić wzrokiem odjeżdżający samochód.

Wróciłem biegiem do „Szczurołapa”, któremu nic się nie stało, oprócz tego, że zgubił gdzieś kapelusz z piórem, miał potargane włosy i ubrudzoną twarz. Stał już na własnych nogach i wpatrywał się w światło latarki, zgubionej przez przeciwnika.

- Szybko, szybko! Moim wehikulem zdołamy ich dogonić! - krzyknąłem.

Ale on nie ruszał się z miejsca.

- Pana bryczką daleko nie zajedziemy... To nie ma sensu...

- Ta bryczka ma pod maską silnik wyścigowego subaru - nie miałem czasu bawić się w subtelności. - Może jechać z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę!

- Chyba że tak... - powiedział i pobiegł za mną do wozu.

Wsiedliśmy, włożyłem kluczyk do stacyjki i zapiąłem pasy.

- Niech pan lepiej też się zapnie - poradziłem towarzyszowi, który mnie posłuchał.

Przekręciłem kluczyk i silnik zagrał basowo w leśnej ciszy. Włączyłem długie światła, wrzuciłem jedynkę i docisnąłem pedał gazu.

Ale nie ujechaliśmy daleko. Wehikul poruszał się bardzo powoli.

- Co się dzieje? - zdziwiłem się. - Przecież silnik pracuje normalnie!

- Może to jednak nie jest silnik subaru? - w głosie „Szczurołapa” słychać było delikatną kpinę. - Chyba odepnę pasy... - powiedział.

Zatrzymałem samochód i z latarką w ręku wyskoczyłem na zewnątrz. Szybko zrozumiałem, dlaczego mój wóz jedzie tak powoli. Opony były pocięte nożem tak, że nawet pompki wmontowane w koła nie zdołały utrzymać ciśnienia powietrza. Jechaliśmy tylko na felgach, które na szczęście wytrzymały i nie wygięły się pod ciężarem wozu.

- Wsiadka... - powiedziałem trochę może zbyt opryskliwie do „Szczurołapa”, wściekły, że w tak prymitywny, ale jakże skuteczny sposób udaremniiono nasz pościg.

- To nie pojedziemy dwieście na godzinę? - udawał zawiedzionego „Szczurołap”.

- Niestety, wszystkie opony zostały zniszczone. Będę musiał wezwać pomoc - powiedziałem trochę spokojniejszym tonem, sięgając po komórkę. W gazetce, która spoczywała na tylnym siedzeniu od wczorajszego ranka znalazłem numer telefonu pomocy drogowej. Powiedziałem, gdzie jestem, a oni obiecali być za godzinę.

- Niech pan spojrz na to od jaśniejszej strony - „Szczurołap” wydobyl z kapoty jabłko i ugryzł je głośno. - Będziemy mogli spokojnie zbadać miejsce przestępstwa... Ach, przepraszam - spojrzal zdziwiony na jabłko, uśmiechnął się i wyciągnął je w moją stronę. - Może chce pan ugryźć?

Machnąłem tylko ręką wsiadłem do wehikulu i włączyłem radio. Cichy szum sprawił, że trochę się odprężyłem i musiałem przyznać rację „Szczurołapowi”. Kierowca furgonetki palił papierosa. A co jeśli i on będzie przygryziony? Energicznie opuściłem pojazd i nie oglądając się za siebie ruszyłem w stronę szosy, oświetlając sobie drogę latarką. „Szczurołap” szybko do mnie dołączył:

- Trudno pana rozgryźć - powiedział wyrzucając ogryzek w las. - Najpierw popada pan w

marazm, a teraz gna jak dziki.

- Tu się pan bił z tym napastnikiem? - wskazałem snopem światła miejsce, gdzie jak mi się wydawało leżała wcześniej latarka.

- Chyba tak... - stwierdził „Szczurołap” i przejechał światłem po krzakach. - Tak, to na pewno tu, w pewnym momencie potoczyliśmy się pod akację... - jeszcze raz oświetlił drzewa w pobliżu. - Nie widzę tu żadnej innej akacji, oprócz tej, pod którą pan stoi.

Dopiero jego słowa uświadomiły mi, że mocny, trochę może za mocny, przyciągający i odpychający zarazem zapach, którego nie da się pomylić z żadnym innym, wydzielają kwiaty tego właśnie drzewa.

- No to szukamy! - powiedziałem i na kolanach, z latarką wzniesioną trochę ponad głowę by oświetlać sobie ziemię, począłem przeczesywać leśny trakt. Kamyki wbijały się boleśnie w kolana, ciernie i gałązki porozrzucane po drodze ocierały dłonie. Ramię drętwiało od ciągłego trzymania latarki. Po kilku minutach miałem dość. Podniosłem się ciężko i przysiadłem na stopach.

- Będziemy musieli z tym chyba poczekać do rana - powiedziałem zgnębionym głosem do „Szczurołapa”, który niestrudzenie myszkował w poszyciu obok drogi.

- Już pan wysiada - gderał pod nosem. - Badania w terenie i wyszukiwanie śladów to chyba nieodzowna część roboty detektywa. Detektyw musi nie tylko myśleć, musi też działać...

- Zdecydowanie wolę szkołę, która wykazuje wyższość pracy szarych komórek nad działaniem. Szczególnie kiedy zostaną uwięzieni w lesie, kilka godzin po północy...

- Mam! - przerwał moje zrzędzenie radosny okrzyk „Szczurołapa”. - Mam coś, panie Pawle!

Z ulgą zerwałem się z kolan i podbiegłem do niego. Mój towarzysz klęczał na poboczu i oświetlał latarką swoją dłoń, na której leżał jakiś przedmiot, podobny do monety.

- Niech pan spojrzy - terkotał podniecony. - To jakaś moneta albo raczej guzik... Musiałem oderwać go od kurtki tego faceta, z którym się biłem. .. - zbliżył przedmiot do oczu. - Jakiś dziwny ten guzik, zresztą niech pan sam zerknie.

Wzięłem metalowy krążek w dłonie. „Szczurołap” poświecił mi. Dwie dziurki w środku świadczyły, że był to guzik, ale bardzo dziwny. Lekko wypukły i misternie wykonany. Na awersie przedstawiono tarczę herbową, podzieloną na trzy pola.

Jedno większe, u góry, zajmujące całą szerokość tarczy, przedstawiało zubra na złotym tle, w dwóch mniejszych pod nim, kolejno od lewej strony wytłoczono na czerwonym tle Pogoń i białego orła. Rewers był jeszcze bardziej tajemniczy. Znajdowały się tam zaledwie dwa znaki, które od razu rozpoznałem. Wyglądały tak:

- Nie wie pan czasem, co to za herb? - zapytałem „Szczurołapa” stukając palcem w awers z zubrem, Pogonią i orłem. Podałem mu guzik.

- Jasne, że wiem - rzucił na niego tylko okiem. - To herb Drohiczyzna. Wie pan, tego miasta pięćdziesiąt kilometrów na południe stąd.

- Mogłem się domyślić, że to musi być gdzieś w okolicy - byłem z siebie niezadowolony. - Nie dość, że w herbie jest zubr, to jeszcze ta Pogoń symbolizująca Litwę i polski orzeł...

„Szczurołap” oglądał teraz rewers.

- Te litery wyglądają na greckie... - powiedział. - Ale co oznaczają? Tego doprawdy nie wiem...

- Za to ja wiem - rzekłem. - To delta i theta. Zapisane greckim alfabetem inicjały Domenicosa Theotocopulosa, czyli el Greca.

- Hmm... Ciekawa hipoteza... - w głosie „Szczurołapa” wyczułem powątpiewanie. - Ale te litery

mogą oznaczać cokolwiek...

- To czemu są napisane po grecku? - nie dawałem za wygraną.

- Wie pan co, panie Pawle... Będzie jeszcze czas się nad tym zastanowić. Chodźmy teraz na drogę, zobaczyć, czy tam nie znajdziemy jakichś śladów.

Przyznałem mu rację i poszliśmy na miejsce, gdzie jeszcze przed kilkoma minutami stała furgonetka. Po kwadransie poszukiwań zobaczyłem niedopałek, leżący na środku drogi.

Podniosłem go i obejrzałem uważnie.

Filtr, od którego odstawała resztką wypalonego papierosa, był przygryziony tak samo jak te, które wczoraj znalazł „Szczurołap”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

KTOŚ MNIE CHCE POWSTRZYMAĆ, CZYLI CUKIER W SILNIKU * WARSZTAT BRACI ZBOROWSKICH * HRABIOWIE W PILOTKACH * POCHWAŁA WEHIKUŁU * ZNAJOMI WUJA GROMIŁŁY * KIM BYŁ LOUIS ZBOROWSKI? * CHITTY BANG BANG V * ZAPROSZENIE * WIZYTY MALINOWSKIEGO

Ludzie z pomocy drogowej śmiali się trochę z wehikułu, ale szybko wymienili opony na nowe i odjechali. Teraz wiozłem „Szczurołapa” do jego samotni.

- Zapomnieliśmy sprawdzić jeszcze jeden trop - mój towarzysz ziewnął szeroko nie zasłaniając ust.

- O czym pan mówi? - rzekłem zrezygnowanym tonem. Byłem przybity ciągłymi niepowodzeniami.

- Pamięta pan, jak opowiadałem o tym, że zobaczyłem jakiegoś człowieka biegnącego przez las, kiedy szedłem na miejsce kradzieży?

- To był pewnie Roman Bogusz... - powiedziałem od razu, ale zaraz przypomniałem sobie o zeznaniu Blanki Fernandez, która widziała zamaskowaną postać uciekającą do lasu i rzekłem: - Dobrze. Wpadnę do pana jutro albo pojutrze i sprawdzimy to...

- Weźmiemy Burka... - rzekł „Szczurołap” i zapadł w drzemkę.

Wysadziłem go na jego polanie i wróciłem nad zalew.

Było bardzo późno i natychmiast położyłem się spać. W nocy obudziły mnie jakieś szelesty wokół namiotu. Byłem jednak zbyt zmęczony, żeby to sprawdzać i zaraz znów zasnąłem.

Budzik obudził mnie o siódmej. Nie do końca przytomny powlokłem się nad zalew. Umyłem twarz, przegryzłem czerstwą kromkę chleba z serkiem topionym, wypiliśmy mocną kawę i wsiałem do wehikułu, żeby natychmiast ruszyć do Drohiczyna w poszukiwaniu śladów złodziei el Greca. Nic z tego jednak nie wyszło, bo ledwie przekręciłem kluczyk, czekała mnie niemiła niespodzianka.

Przekręcałem nerwowo kluczyk w stacyjce, ale silnik tylko cherlał przez chwilę, a potem gasł. Pukałem we wskaźnik poziomu paliwa, ale wskazówka uparcie pozostawała daleko od rezerwy. Skoro bak był pełny, czemu wóz nie chciał zapalić? Wściekły uderzyłem w kierownicę. Specjalnie wstałem wcześniej, żeby jak najszybciej pojechać do Drohiczyna, a tymczasem mój niezawodny zazwyczaj wehikuł odmówił posłuszeństwa. Zrezygnowany wysiadłem z wozu i podniosłem maskę. Od razu to poczułem. Zapach gorącego karmelu.

Zlokalizowałem źródło, z którego ulatniał się aromat. Najintensywniejszy był w okolicach silnika. Powziąłem pewne podejrzenie, ale żeby się upewnić musiałem sprawdzić wlot benzyny. Ktoś przy nim grzebał i wyłamał zamek! Na karoserii było widać zadrapania. Otworzyłem klapkę i odkręciłem uszkodzoną zakrętkę wlotu baku.

Na gwincie znalazłem kryształki. Wziąłem kilka na palec i polizałem. Były słodkie. Ze zgrozą wyciągnąłem wniosek: „Cukier!”. Ktoś dosypał mi cukru do baku. Stąd ten zapach. Cukier, razem z benzyną trafiał do silnika, a tam rozgrzewając się zmieniał w karmel, który czynił samochód bezużytecznym.

A więc to był sabotaż! Ktoś specjalnie dosypał mi cukru do baku, żeby mnie unieruchomić. Kto to zrobił i po co, nie miałem pojęcia. Zrozpaczony zamknąłem samochód i powlokłem się do kiosku na pobliskie osiedle. Kupiłem gazetę z ogłoszeniami motoryzacyjnymi i wracając do obozu przeglądałem ją w poszukiwaniu odpowiedniego warsztatu.

Moją uwagę zwróciło ogłoszenie, klimatem zbliżone do amerykańskiej reklamy z lat czterdziestych. Grafika przypominała komiksową i była bardzo kolorowa. Na obrazku przedstawiono kilka szeregów rozmaitych starych samochodów o pięknych kształtach, jadących w stronę czegoś, co od biedy mogło przypominać panoramę Siedlec. Nad wozami pysznił się wielki czerwony napis ułożony w kilka linijek: „CHCESZ NAPRAWIĆ STARY ALBO NIETYPOWY SAMOCHÓD? WSTĄP DO WARSZTATU BRACI ZBOROWSKICH! SZYBKO, TANIO I SOLIDNIE!”.

„Nietypowy samochód? To coś dla mnie” - pomyślałem.

Stanąłem i szybko wstukałem w komórkę numer podany w ogłoszeniu.

- Warsztat braci Zborowskich, czym mogę służyć panu i pańskiemu wozowi? - człowiek, który odebrał telefon mówił bardzo szybko.

- Dzień dobry, ktoś mi nasypał cukru do baku...

- Ludzie nie mają dzisiaj żadnych hamulców, są gotowi wyrzucić bliźniemu każde święństwo... - powiedział takim tonem, jakby to jemu zniszczono samochód. - Gdzie pan szanowny wraz z wozem się znajduje?

Powiedziałem, gdzie rozbiłem obóz.

- W porządku, szefie. Mój brat będzie u pana za pół godziny.

Wielka czerwona ciężarówka z trudem poruszała się brzegiem zalewu, miażdżąc gałązki i ślizgając się na kamykach i piachu. Na potężne koła nasadzono kabinę z mocno wydłużoną maską zakończoną prawie metrową chłodnicą. Po bokach pudła skrywającego groźnie warczący silnik umieszczono potężne błotniki. Ze srebrnej rury przyklejonej z boku kabiny kierowcy wydobywały się czarne spaliny.

Wóz zbliżył się i mogłem dostrzec szczegóły: pięć pomarańczowych świateł na dachu kabiny, srebrne linie biegnące wzdłuż kadłuba, umieszczony nad nimi napis „Mack” oraz figurkę małego srebrnego, wyprężonego buldoga, przyczepionego ponad chłodnicą w miejscu gdzie na rolls royce'ach umieszcza się sławną statuetkę „Ducha Ekstazy”.

Ciężarówka minęła mój namiot. Za kabiną miała sporą platformę przystosowaną do przewozu samochodów. W końcu, wypuściwszy ostatnią chmurę spalin ze srebrnego komina, jęknęła ciężko i zatrzymała się.

Z samochodu, po srebrnych schodkach wysiadł wysoki człowiek o posturze gladiatora. Choć panował upał, miał on na sobie oficerki, bryczesy, czarny sweter i podbitą kozuszką skórzaną i bardzo elegancką kurtkę lotniczą. Z szyi zwisał niedbale związany biały szalik. Na głowę nasadził czapkę pilotkę. Ponad czołem miał okrągłe lotnicze gogle.

Olbrzym wysiadł i podał mi grubą spracowaną dłoń pobrudzoną smarem. Przyglądał mi się przez chwilę sennymi oczami, potem przeniósł wzrok na mój samochód i machnął głową w niemym pytaniu, czy to o ten pojazd chodzi.

- Tak, to mój wóz. Ktoś nasypał mi cukru do silnika.

Mężczyzna ubrany jak pilot pokiwał głową z miną która wskazywała, że rozumie mój ból i współczuje mi. Następna mina, razem z zaciśniętą pięścią wyjaśniała, co zrobiłby człowiekowi,

który unieruchomił mój samochód.

Mechanik podszedł do wehikułu. Najpierw zajrzał pod maskę i zlustrowawszy silnik, obrócił się do mnie z wzniesionymi w górę kciukami i uznaniem na twarzy. Potem pochylił się, obejrzał podwozie, wstał i w różnych miejscach kilka razy uderzył w karoserię. Z kabiny swojego wozu wyciągnął grubą linę i przywiązał ją do haka z tyłu wehikułu. Przy okazji wychylił się, wyrażając zdziwienie. „Musiał zauważyć śrubę...” - pomyślałem.

Wsiadł do ciężarówki i przez kilka minut tak nią manewrował, że ta po chwili stała skierowana platformą w stronę tyłu mego wozu. Wysiadł ze swego pojazdu, chwycił linę i z jej końcem w rękę wspiął się na platformę ciężarówki. Przy tylnej ścianie kabiny znajdowała się wyciągarka, do której olbrzym przymocował linę. Po chwili wehikuł wjeżdżał już na platformę. Przymocowaliśmy go linami do ciężarówki.

Olbrzym wsiadł do swego „Macka”, ale nie ruszał. Otworzył tylko drzwi od strony pasażera. „Czyżby mnie zapraszał do środka?” - pomyślałem i nieśmiało podszedłem do ryczącej już ciężarówki. Siedzący za kierownicą mechanik zauważył mnie i machnął zachęcająco ręką. Wspiałem się do kabiny, zatrzasnąłem drzwi i ruszyliśmy.

W czasie drogi na obrzeża miasta zrozumiałem, że kierowca nie jest, jak przypuszczałem, niemową. Ledwie ruszyliśmy, włączył radio. Nadawano wiadomości, a on ciągle milczał. Wystarczyło jednak, że z głośnika popłynęła melodia znanego przeboju, a kierowca ożywił się i śpiewał razem z wykonawcą. Słuch i głos miał niezły, więc jego wokalne popisy wcale mi nie przeszkadzały. Po czterdziestu minutach byliśmy na miejscu.

Warsztat braci Zborowskich robił imponujące wrażenie. Umiejscowiono go przy wiejskiej drodze, wśród pól rzepaku i zboża, daleko od ludzkich osad. Na obszerne, zarzucone, połyskującymi gdzieś lakierem, wrakami zabytkowych samochodów i części, betonowe podwórko otoczone drewnianym płotem, wjeżdżało się przez szeroką bramę z umieszczonym na niej szyldem: „ZBOROWSKI BROTHERS WORKSHOP”.

Pięćdziesiąt metrów od bramy stały dwa budynki. Jeden z nich był kwadratową pudełkową halą bez okien. Drugi służył braciom Zborowskim do mieszkania. Spadzisty daszek, mały ganek i dym idący równo w górę z komina.

Sunęliśmy szeroką drogą wiodącą między zezłomowanymi autami w kierunku zadaszenia biegnącego wzdłuż hali. Czekał już tam na nas niski, wąty człowiek, ubrany dokładnie tak samo jak kierowca, z którym tu przybyłem. W przeciwieństwie do jego dobrze odżywionego brata twarz miał wychudzoną i długą z masywnym podbródkiem i wyraźnie zaznaczonymi policzkami, których wypchnięte na zewnątrz twarzy linie prawie dotykały wąskich, jakby wciśniętych w twarz, ciągle uśmiechniętych ust, nad którymi czernił się starannie przycięty wąs.

Niższy z braci Zborowskich wyrzucił za siebie niedopałek papierosa i podszedł do ciężarówki, żeby otworzyć mi drzwi. Z przerażeniem obserwowałem niedopałek, który wylądował w kałuży benzyny. Ta błyskawicznie zajęła się ogniem, a że sięgała prawie do ścian budynku, jedna z nich płonęła po krótkiej chwili. Ale niski mężczyzna wcale tego nie zauważył. Ledwie stanąłem na twardym gruncie, potrząsnął energicznie moją ręką na powitanie i powiedział:

- Witam pana serdecznie i dziękuję za wybór naszego zakładu. Niech pan nie robi takiej przerażonej miny, na Boga! Do stu zacinających się sprzęgieł! Niech się pan nie załamuje! Pański samochód jest w dobrych rękach. Kiedy z nim skończymy, będzie chodził jak złoto. Przysięgam to panu, jakem Zborowski!

- Ogień! - zdołałem się wreszcie przebić przez potok elokwencji mechanika i rozpaczliwym gestem wskazałem na płomień tańczące za jego plecami.

Obrócił się wreszcie.

Jego rosły brat z gaśnicą samochodową w ręku już kończył walkę z żywiołem.

- Ach, pewnie znów wyrzuciłem nieopatrnie niedopałek papierosa. Walczę z tym, ale niestety ciągle zapominam. Pan pozwoli, że nas przedstawię. Jestem hrabia Louis Zborowski, a to - chwilę szukał wzrokiem rosłego mechanika, który nerwowo krążył między „Mackiem” a ścianą - mój brat, hrabia William.

Musiał dostrzec zdziwienie na mojej twarzy, bo dodał z uśmiechem:

- Dziwi pana, że z hrabiowskimi tytułami grzebiemy w samochodach, zamiast wygrzewać się na francuskiej Riwierze. No cóż, to u nas, można by rzec, rodzinne...

- Ależ skąd, panie hrabio, wcale tak nie pomyślałem... - zamilkłem na chwilę, a potem przedstawiłem się: - Paweł Daniec.

- Cieszę się, że nie ma pan uprzedzeń... I prośba na przyszłość: niech nas pan nie tytułuje hrabiowskimi tytułami. A teraz... Zapraszam do środka - rzekł Louis Zborowski i poprowadził mnie w głąb hali, która okazała się być podzielona na kilkanaście mniejszych pokoi, tworzących pierścień wokół umieszczonego centralnie przestronnego warsztatu, mierzącego dwadzieścia na dwadzieścia metrów. W środku pomieszczenia znajdowały się dwa kanały naprawcze, nad którymi zwisały łańcuchy dźwigów, poruszających się po szynach przyspawanych do sufitu. Pod ścianami stały samochody z różnych epok i w różnym stanie wykończenia.

W rogu, otoczone stertami silników i rur wydechowych stało coś, co tylko z grubsza przypominało sławnego Forda T, samochód, o którym Henry Ford mówił: „Możesz otrzymać samochód w każdym kolorze, pod warunkiem, że będzie to kolor czarny”. Tylko Volkswagen „Garbus” przebił Forda T pod względem liczby wyprodukowanych egzemplarzy. Był tam też zielony Aston Martin Ulster z lat trzydziestych. Bez kół, wsparty na czterech wieżyczkach z cegieł, wpatrujący się we mnie swoimi wielkimi reflektorami. Był podobny do rakiety wyścigowy bolid Ferrari 246 F1 z końca lat sześćdziesiątych.

- Ładna kolekcja, prawda? - zapytał Zborowski. - Interesujemy się z bratem historią motoryzacji. Ale proszę spojrzeć! Jest już pana samochód - rzekł, a wrota, które zajmowały jedną ze ścian hali otwarły się i wjechała w nie tyłem czerwona ciężarówka z wehikulem na pace.

Po chwili nasz ministerialny pojazd stał nad kanałem remontowym. Wyższy z braci Zborowskich zniknął w kanale, a niższy z zainteresowaniem oglądał silnik.

- Niech mnie alternator kopnie! Ależ potwora ma ten, za przeproszeniem, złom pod maską! Chodź tutaj szybko, Willy! Nie widziałem takiego dziwadła od czasu, kiedy byliśmy z ojcem u starego Gromiły!

- Co pan powiedział? - rzekłem oszołomiony.

Obrócił się do mnie, zmieszany.

- Przepraszam, że nazwałem pański samochód złomem. Byłem może zbyt bezpośredni. Silnik jest wspaniały, ale przyzna pan, że karoserii przydałaby się naprawa...

- Nie o to mi chodzi - machnąłem ręką zniecierpliwiony. - Czy mógłby pan powtórzyć to nazwisko, które przed chwilą pan wymienił?

- Mówiłem o pewnym niesłusznie zapomnianym, genialnym konstruktorze-dziwaku. Nazywał się Stefan Gromiło. Nasz ojciec, podobnie jak my, miłośnik motoryzacji, korespondował z nim i

konsultował się w rozmaitych kwestiach technicznych. Był on dla ojca autorytetem i chociaż mieszkaliśmy wtedy jeszcze w Stanach, ojciec uparł się, żeby odwiedzić swego mentora z Polski.

Zamilknął na chwilę.

- Miałem wtedy osiem, a brat siedem lat - mówił dalej. - Gromiło był już bardzo stary. Umarł rok później. Pokazał nam wówczas swój nowy wynalazek. Wehikuł był bardzo szpetny. Coś jak... - zastanowił się - ...skrzyżowanie czółna z taczka. Ale miał pod maską silnik ferrari... - w oczach Zborowskiego na chwilę pojawiło się rozmarzenie. - Chwileczkę - otrzeźwiał nagle. - Skąd pan wie o starym Gromille? Jest pan chyba zbyt młody, żeby go pamiętać? Zmarło mu się ponad czterdzieści lat temu...

- Stefan Gromiło był wujem mojego szefa, Tomasza N.N., który odziedziczył po nim wehikuł.

- Naprawdę? Ależ ten świat jest mały! Na przeciekający bak! Musi mnie pan poznać ze swoim szefem...

- Chyba nie będzie z tym problemu...

- Bardzo się cieszę! - uśmiechnął się i zapalił papierosa. - Willy - powiedział do brata, który tymczasem wygrzebał się z kanału naprawczego i słuchał naszej rozmowy - dasz sobie sam radę z czyszczeniem silnika i wymianą zamka przy wlocie paliwa?

Mechanik o posturze gladiatora potwierdził skinieniem głowy.

- W takim razie, panie Pawle - Louis Zborowski ciągle się uśmiechając zrobił zapraszający gest. - Mamy trochę czasu. Może zrobimy sobie małą wycieczkę po naszym królestwie?

Hrabia poprowadził mnie w stronę drzwi wiodących do jednego z mniejszych warsztatów.

- Pańskie imię i nazwisko wydają mi się dziwnie znajome... - rzekłem tknięty nagłym przeczuciem. - Wiem, że już je kiedyś słyszałem. Nie mogę tylko sobie przypomnieć kiedy...

Hrabia nic nie odpowiedział. Doszliśmy do drzwi.

- Zapraszam do środka - otworzył teatralnym gestem. - Tu pan na pewno sobie przypomni, gdzie moje nazwisko obilo się panu o uszy.

Pomieszczenie było połączeniem warsztatu i izby pamięci. Większą część pokoju zajmował samochód, który był jeszcze dziwniejszy od naszego ministerialnego wehikułu. Na oko miał pięć metrów długości. Odkryta kabina kierowcy znajdowała się mniej więcej dwie trzecie długości od dzioba wozu. Samochód przypominał bardzo długi kufer z półkolistym wiekiem. Maskę wozu była wzmocniona oplatającymi ją wokół skórzanymi paskami. Wzdłuż cielska auta biegła gruba, długa rura wydechowa, która kończyła się stożkowatym daszkiem. To co znajdowało się za kabiną kierowcy przypominało odwłok wielkiej osy. Przyjrzałem się uważniej masce rozdzielczej. Za kierownicą wielkości koła od roweru „Wigry” umieszczono wskaźniki podobne do spodków.

Samochód wspierał się na wielkich kołach ze srebrnymi szprychami, przykręconych do stalowego podwozia. Wokół wozu leżało sporo części i narzędzi.

Ściana naprzeciwko drzwi była obwieszona mnóstwem oprawionych w ramki zdjęć i wycinków prasowych. Największa z fotografii przedstawiała uśmiechniętego człowieka w pilotce i goglach, bardzo podobnego do stojącego obok mnie hrabiego Zborowskiego.

- Czy to ktoś z pańskiej rodziny? - zapytałem nieśmiało, wskazując na uśmiechniętego jegomościa.

- Miło, że i pan zauważył podobieństwo, które jest dla mnie zaszczytem. Przedstawiam panu mojego znamienitego imiennika i przodka, hrabiego Louisa Zborowskiego.

- Teraz już wiem! - krzyknąłem uradowany, bo przypominałem sobie wreszcie. - Był kierowcą

wyścigowym i konstruktorem samochodów. Zaraz, zaraz - grzebałem w pamięci. - Nazywał swoje pojazdy jakoś śmiesznie. To miało coś wspólnego z wybuchem...

Hrabia Zborowski skrzywił się, jakby zjadł coś wyjątkowo niesmacznego.

- Automobile wuja mego dziadka nosiły sławną na cały świat nazwę Chitty Bang Bang - słowa te wymówił z dumą.

- Przepraszam - sumitowałem się zakłopotany.

- Nie szkodzi. Jesteśmy kwita, ja nazwałem pański wóz „złomem”, pan powiedział, że nazwa samochodu mego przodka jest „śmieszna”. Jeśli to się powtórzy, będę zmuszony wyzwać pana na pojedynek - ostatnie słowa wypowiedział śmiertelnie poważnym tonem, z zaciśniętymi ustami.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

- Żartowałem! - parszając śmiechem, kilkakrotnie uderzył w samochód otwartą dłonią zadowolony z dowcipu. - Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać, kiedy zobaczyłem pańską minę - otarł łzy z kącików oczu i rzekł:

- Wróćmy do mego przodka. Był hrabią, więc mógł sobie pozwolić na realizację swoich nawet najdzikszych pasji. A jego obsesją, podobnie jak i jego ojca, hrabiego Williama Eliota Morrisa Zborowskiego była motoryzacja. Jego fortuna pomagała budować późniejszą potęgę sławnej firmy Aston Martin. Poza tym Louis Zborowski namiętnie brał udział w wyścigach. Startował w zawodach na Brooklands, w Indianapolis 500, a także w Grand Prix Włoch na torze Monza. Niestety, był pierwszą ofiarą tego toru. W 1924 roku uderzył w drzewo i zginął, nie dożywszy trzydziestki. To jednak nie kariera kierowcy, zakończona w tak spektakularny i tragiczny sposób przyniosła mu światowy rozgłos. Stał się sławny za sprawą czterech samochodów, które skonstruował, a które nazywał właśnie Chitty Bang Bang. Samochód Zborowskiego musiał bardzo przypaść do gustu Ianowi Flemingowi, temu samemu, który stworzył postać Jamesa Bonda, bo napisał książkę, w której pojawia się wóz o nazwie „Chitty Chitty Bang Bang”. Książka została sfilmowana, powstał też musical, który można obejrzeć w Anglii i Stanach.

- To ten wóz? - zapytałem zaciekawiony.

- Niestety nie! Wszystkie egzemplarze są rozproszone po muzeach i prywatnych kolekcjach. Oferowaliśmy za nie wielkie sumy, ale nikt nie chciał sprzedać. Udało nam się zdobyć tylko oryginalną kierownicę, zegary i jedno z kół. To wszystko, niech pan sobie wyobrazi, leżało na strychu angielskiej posiadłości Zborowskich w Bridge, w hrabstwie Kent, koło Canterbury, gdzie Louis konstruował swoje samochody. Mieliśmy naprawdę dużo szczęścia.

- Jak szybko jeździ ten samochód? - zapytałem.

- Widzę wahanie w pańskich oczach... - Zborowski uśmiechnął się sprytnie. - Panie Pawle! To prawdziwa torpeda. W 1927 roku J.G. Parry-Thomas na przebudowanej trochę i przerobionej konstrukcji Zborowskiego, którą pieczołowicie nazwał „Babs” ustanowił rekord prędkości na lądzie. Jechał 273 kilometry na godzinę! Zastanawia się pan, gdzie tkwi tajemnica „Chitty”? - sprawnym ruchem poluzował paski utrzymujące karoserię wozu i otworzył maskę. - W dużej mierze tutaj.

Moim oczom ukazał się wielki silnik uzbrojony w dwanaście cylindrów. Opadła mi szczeka.

- Silnik lotniczy Liberty. Dwadzieścia siedem litrów pojemności! Czteryśna koni mechanicznych mocy! - rzekł Zborowski z miną sztukmistrza. - Chce się pan przejechać?

- A mógłbym?

- Oczywiście, do stu tysięcy warczących silników, oczywiście, że mógłby pan! Za warsztatem mamy tor testowy.

Pilotka trochę mnie uciskała, szalik gryzł w szyję. Słowa Louisa Zborowskiego z trudem przebijały się przez potworny huk lotniczego silnika:

- Na początku niech pan nie szaleje... - mówił hrabia. - Musi się pan przyzwyczaić do tego wozu. Prowadzi się go trochę inaczej niż dzisiejsze samochody. No, ale zaraz sam pan zobaczy... W drogę, panie Pawle! - klepnął mnie w plecy i odbiegł w kierunku warsztatów.

Przełknąłem ślinę i mocniej zacisnąłem ręce na wielkim kole kierownicy. Delikatnie zwołniłem pedał sprzęgła i ruszyłem.

Silnik pracował coraz głośniejsze, a kierownicą trzęsło, chociaż jechałem po prostej. Przed pierwszym zakrętem zwołniłem do dwudziestu na godzinę, a i tak z trudem się w nim zmieściłem. Wóz był bardzo czuły na wszelkie ruchy kierownicy. Bez przerwy trzeba było korygować tor jazdy i chociaż starałem się bardzo, pierwsze okrążenie przejechałem zygzakiem.

Tak samo było na trzecim, piątym i dziewiątym kółku. To jednak wcale nie zdziwiło Louisa Zborowskiego, który przypatrywał się moim wysiłkom oparty o ścianę hali. Ćmił jednego papierosa za drugim i uśmiechał się tajemniczo. Czasami tylko machał energicznie ręką zachęcając mnie do dalszej jazdy.

Przełom nastąpił około piętnastego okrążenia. Coraz lepiej czułem wóz i znałem tor. W pierwszy zakręt wszedłem wolno, ale potem umiejętnie manewrując kierownicą i pedałem gazu, płynnie wyszedłem z zakrętu przy dużej prędkości. Od tego momentu z każdym pokonanym okrążeniem coraz pewniej brałem zakręty i rozpędzałem się na prostych.

Jazda przestała przypominać pojedynek z nadsterownym samochodem, a zaczęła być przyjemnością. Przyzwyczałem się do huku silnika, czasami oglądałem za siebie, żeby zobaczyć jak biały szalik furkocze na wietrze. Czułem się jak chłopiec, który nauczył się jeździć na rowerze i wyruszył w swoją pierwszą wyprawę za miasto.

Po około godzinie jazdy Louis Zborowski zamachał flagą w czarne i białe kratki, która na profesjonalnych wyścigach oznacza, że pierwszy zawodnik przekroczył linię mety i zmagania są zakończone. Przejechałem jeszcze jedno okrążenie, wprawnie zaparkowałem przy ścianie hali i wyłączyłem silnik. Gramoliłem się z obszernej kabiny dla kierowców, a Louis Zborowski biegł w moją stronę.

Dotknąłem twardego gruntu, a on chwycił mnie za ramiona i wykrzyknął:

- Brawo, panie Pawle! Na wszystkie półautomatyczne skrzynie biegów świata! Doskonale pan sobie poradził. Niewielu widziałem ludzi, którzy tak szybko przyzwyczailiby się do takiego wozu. Mam dla pana propozycję...

- Słucham uważnie, panie Zborowski - powiedziałem ściągając gogle i pilotkę.

- Wie pan, planujemy z bratem wystartować w Mille Miglia Storica. Słyszał pan o tym wyścigu?

- Rajd Tysiąca Mil. Brescia-Rzym-Brescia. Nierozgrywany od 1957 roku.

- Po kraksie, w której zginęło 12 osób. Straszna sprawa... - zasępił się na chwilę. - Ale Rajd Tysiąca Mil wznowiono w 1977 roku, właśnie jako Mille Miglia Storica. Przygotowaliśmy dwa samochody, ale wystartujemy tylko w jednym. Jeśliby pan chce, może pojechać drugim. Pański szef byłby na pewno świetnym pilotem...

- No, nie wiem. Będę musiał z nim porozmawiać... Ale, dziękuję za zaproszenie.

W tym momencie drzwi do hali otwarły się i stanął w nich William Zborowski.

- Samochód jest gotowy - powiedział i zniknął w środku.

Po wylewnych pożegnaniach Louisa Zborowskiego i serdecznym uścisku dłoni z jego bratem,

wymianie adresów i wzajemnych zapewnieniach, że musimy się wkrótce spotkać, wyruszyłem „chodzącym jak złoto” wehikułem z powrotem do Siedlec.

Było dość późno, ale postanowiłem odwiedzić jeszcze dyrektor Jankowską żeby omówić z nią trop wiodący do Drohiczyna. Mówiła już co prawda o konflikcie pomiędzy kurią tego miasta i siedleckim biskupstwem, ale może jej znajomość lokalnych realiów i uwarunkowań popchnęłaby śledztwo do przodu.

Podjechałem pod muzeum i wszedłem do środka. Na portierni zapytałem, czy dyrektor jest w swoim gabinecie:

- Ma pan pecha - puszysta dozorczyńca podniosła się z fotela i wbiła we mnie przesadnie umalowane oczy. - Wyszła dzisiaj wcześniej i nie powiedziała dokąd. Ale może obejrzy pan nasze wystawy... Sporo ludzi nas ostatnio odwiedza, wie pan - mrugnęła do mnie - el Greco ich przyciąga. Nie mogą się doczekać na te obrazy z Hiszpanii, to przychodzą oglądać ikony. Jeden taki pan to był już na tej wystawie ze cztery razy.

- Jak wyglądał ten pan? - moja żyłka detektywistyczna dała o sobie znać.

- No, taki trochę przy kości, łysy, w grubych okularach. Wiem, że się poci, bo pieniądze, które mi daje za bilety, zawsze muszę wycierać, takie są mokre... Dzisiaj też tu był... „Malinowski!” - przemknęło mi przez głowę i biegiem ruszyłem do wehikułu.

- Gdzie pan idzie? Nie obejrzy pan wystawy? - krzyk bileterki ścigał mnie do czasu, aż nie zatrzasnąłem drzwi naszego wozu.

Jechałem nad zalew, kiedy odezwał się telefon.

- Witam, panie Pawle... - odezwał się w słuchawce nieznajomy głos. - Chciałbym się z panem spotkać w pewnej delikatnej sprawie.

- Może się pan najpierw przedstawi? Nie zwykłem spotykać się z nieznajomymi.

- Pozna mnie pan, kiedy się pan ze mną spotka.

- Skąd ma pan mój numer? - zapytałem ostro.

- Powiedzmy, że od wspólnego znajomego.

- Skąd pan dzwoni?

- Z Drohiczyna, dokładnie rzecz biorąc z kurii.

Zatkało mnie. Przypomniałem sobie o dziwnym guziku z greckimi literami i herbem Drohiczyna, który spoczywał teraz w kieszeni moich spodni. „Czyżby...?” - zapytałem się w myślach.

- Panie Samochodzik, przyjedzie pan? - zapytał bezczelnie tajemniczy rozmówca.

- Dobrze - zgodziłem się w końcu.

- Czekam na wzgórzu katedralnym - rzucił i rozłączył się.

Zamiast więc wyruszyć nad zalew, skierowałem wehikuł do dawnej stolicy Podlasia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W DAWNEJ STOLICY PODLASIA * CZŁOWIEK W KAPTURZE * CIEMNA ULICZKA * LICYTACJA *
ZGADZAM SIĘ * U DYREKTOR JANKOWSKIEJ * BRACIA BLIŹNIACY * ZAPROSZENIE NA SPOTKANIE W
SIEDLECKIEJ KURII * PODEJRZANE PAPIEROSY „WISŁA” * CZY JESTEM GBUREM? *
TAJEMNICE KRYSZTAŁOWEJ POPIELNICY * CZY OSZALAŁEM? *
ZADANIE DLA AGNIESZKI I „DYLANA”

Gdybym zapytał, gdzie na terenie Polski koronowano królów, zapewne jednym tchem wymienilibyście Gniezno, Kraków i Warszawę. I byłaby to prawda. Ale jest u nas jeszcze jedno miasto, które widziało, jak nowy władca ozdabia swą głowę koroną. Tym miastem jest Drohiczyn, dawna stolica Podlasia.

Liczące dzisiaj około 2500 mieszkańców prowincjonalne miasteczko nad Bugiem ma za sobą prawie tysiąc lat historii, w czasie których było centrum handlowym i administracyjnym. Od XII do XIII wieku rządzili nim Rusini. Litwini władali nim od końca XIII wieku do Unii Lubelskiej, kiedy wszedł w skład Korony.

Najważniejszymi wydarzeniami w dziejach Drohiczyna była koronacja księcia halicko-włodzimierskiego, Daniela Halickiego, na króla Rusi w 1253 roku, nadanie rozwijającej się wsi praw miejskich przez Aleksandra Jagiellończyka, wówczas jeszcze wielkiego księcia litewskiego, w 1498 roku, ustanowienie w Drohiczynie stolicy Podlasia w 1513 roku, potop szwedzki, który załamał rozwój miasta, i rozbiory, w wyniku których miejscowość podzielono na dwie części, przypieczętowując ostateczny upadek i marginalizację, która nastąpiła w drugiej połowie XIX wieku.

Stromą uliczką podjechałem do katedry. Zaparkowałem przed kwadratową dzwonnica i wszedłem na teren wokół świątyni. Poszedłem wzdłuż białych ścian wielokrotnie przebudowywanego kościoła, którego pierwszą wersję wzniosł król Władysław Jagiełło, i znalazłem się przed kurią biskupią dawnym klasztorem jezuickim, wybudowanym na planie podkowy.

Już miałem wejść do kościoła, ale moją uwagę zwrócił człowiek, który stał w drzwiach do kurii.

Był bardzo wysoki. Nosił brązowy mnisi habit przewiązany sznurem, a kaptur zakrywał całkowicie twarz. Pomachał do mnie, a kiedy go zignorowałem, powiedział niskim głosem, wymawiając słowa z przesadną starannością:

- Wiedziałem, że pan przyjedzie, Panie Samochodzik - po plecach przeszedł mi nieprzyjemny dreszcz. - Zapraszam do środka - wskazał ręką uchylone drzwi.

Wspiąłem się szybko po schodkach i, po krótkim spacerze korytarzami kurii, wszedłem przez drewniane drzwi do skromnie urządzonej celi.

Ściany miała pobielone wapnem. Nie było na nich żadnych obrazów. Wisiał tam tylko skromny drewniany krzyżyk. Jedyne okno, duże i szeroko otwarte, wychodziło na opromieniony słońcem ogród. Wszystkie sprzęty, które znajdowały się w pokoju, stały stłoczone w rogu po lewej stronie okna: łóżko, stół ze świeczką w lichtarzu, otwartą książką i plikiem listów, dwa drewniane krzesła,

prosta szafa, a obok niej umywalka z lustrem.

- Proszę spocząć - powiedział mnich ściągając z głowy kaptur. Miał długą twarz. Krótko przycięte, lekko kręjące się czarne włosy. Na twarzy elegancko przycięte wąsy i hiszpańska bródka. Wąskie usta o władczym i nieco ironicznym wyrazie.

- Przykro mi, ale mogę panu zaproponować tylko wodę - powiedział sięgając do szafki.

Wyciągnął z niej karafkę i dwie szklanki.

- Dziękuję, ale nie będę pił... - powiedziałem, chociaż było gorąco.

- Niechże się pan nie boi, nie otruję pana... - zaśmiał się chichotem sprytnego dworaka - nie dlatego chciałem się z panem spotkać...

- A dlaczego?

- Bo mam dla pana zadanie.

- Zadanie?

- Zanim wyłuszczę panu o co chodzi, proszę przeczytać ten anonim - powiedział i sięgnął po pierwszy z leżących na kupce listów. Podał mi go.

Treść epistoły sprawiła, że zadrzałem.

Wasza Ekscelencjo!

Jestem w posiadaniu obrazu „Ekstaza św. Franciszka” pędzla el Greca. Za kilka dni odbędzie się prywatna licytacja tegoż dzieła. Cena wywoławcza obrazu wynosi pięćdziesiąt tysięcy euro.

Jeżeli Wasza Ekscelencja zechce wziąć w niej udział, proszę przekazać informację człowiekowi, który wkrótce zjawi się u Waszej Ekscelencji. On też będzie pośrednikiem między nami i przekaże później szczegółowe dane o miejscu i czasie aukcji. Poznać tego człowieka łatwo. W klapę marynarki będzie miał wpięty herb Drohiczyna. Oczywiście nie musi Ksiądz Biskup zjawiać się osobiście. Wystarczy, że wyznaczy posłańca, który weźmie udział w licytacji.

Z wyrazami najszczerzego poważania

Życzliwy

PS Odradzam Waszej Ekscelencji wciągać policję w tę sprawę, ponieważ wtedy arcydzieło może spotkać przykry wypadek.

Cechy charakterystyczne czcionek wskazywały, że list napisano na maszynie Jana Surdykowskiego!

- Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego? - udałem brak zainteresowania. - Ten list jest adresowany do biskupa, a nie do mnie.

- Niech pan nie udaje głupiego, Samochodzik! - spokojny dotąd mnich uderzył pięścią w stół.

Lichtarz zachwiał się i upadł. Człowiek w habicie wystudiowanym ruchem podniósł go i ustawił w prawidłowej pozycji. Opanował się.

- Domyśla się pan chyba, że ksiądz biskup nie może sam wziąć udziału w tej licytacji...

- I wyznaczył do tej roli... No właśnie, nawet nie wiem, jak się do pana zwracać. Kim pan jest?

- O tak już lepiej. Zaczyna pan nareszcie używać swych sławnych szarych komórek... Jestem ojciec Marcin - podał mi rękę, a potem oparł się wygodnie, przyłożył rękę do ust i zamyślił na chwilę. - Jakby to panu wytłumaczyć. Powiedzmy, że jestem prawą ręką księdza biskupa...

- Teraz rozumiem... Na czym miałyby polegać moja rola w tej sprawie?

- Jak już wspomniałem, ksiądz biskup nie może wziąć udziału w tej licytacji... - złożył ręce w trójkąt. - Chętnie wyreczylibym go w tym obowiązku, ale jest pewien problem...

- Jaki?

- Nie znam się na sztuce... Boję się, że nie odróżniłbym kopii obrazu el Greca od oryginału... A

w grę wchodzi spora suma. Dowiedziałem się przypadkiem, że bawi pan ostatnio w naszych stronach, a znając pańską renomę, uzdolnienia i uczciwość, wydał mi się pan idealnym kandydatem do spełnienia tej misji.

- Ale to przecież paserstwo! - oburzyłem się.

- Myśli pan, że o tym nie wiem? - ojciec Marcin wyjął z habitu papierosa, zapalił go i zaciągnął się. Wbiłem oczy w jego usta. Nie przygryzł filtra. - Ale rozważmy sprawę logicznie. Czy cena, którą proponuje „Życzliwy”, jest wygórowana?

- Jest śmieszna! - zachnąłem się. - Obraz jest wart sto razy tyle...

- Tak myślałem. A więc może warto odzyskać bezcenne arcydzieło za śmieszną kwotę.

- Wie ojciec, co warto by zrobić?

- Zamieniam się w słuch - wbił we mnie wzrok.

- Warto by zgłosić sprawę policji i pozwolić jej działać. Obraz wróciłby do prawowitych właścicieli bez zbędnych kosztów, a przestępca zostałby ukarany...

- No właśnie - zakonnik wstał i podszedł do okna, żeby strącić popiół z papierosa. Przysiadł na parapecie, wystawił bladą twarz do słońca i mówił dalej: - Prawowici właściciele... - zaciągnął się znowu. - Czy pan wie, panie Pawle, że diecezja siedlecka nie ma żadnych praw do tego obrazu? - ostatnie słowa wypowiedział patrząc mi prosto w oczy.

- Coś słyszałem...

- Ta licytacja to jedyna szansa, żeby odzyskać to, co jest własnością naszej diecezji...

Zamyśliłem się. Nie miałem chęci brać udziału w tej licytacji. Z drugiej jednak strony to mogła być jedyna szansa, by dotrzeć do ludzi, którzy ukradli arcydzieło. Ojciec Marcin dyskretnie spoglądał za okno, pozwalając mi w spokoju się zdecydować. Po pięciu minutach wahania, podszedłem do niego.

- Zgoda - powiedziałem. - Będę ojca wysłannikiem...

- Wspaniale - mnich zeskoczył z parapetu i uścisnął mi dłoń obiema rękami. - Bardzo się cieszę!

Oczywiście ta rozmowa pozostanie tylko między nami...

- Dobrze.

Wymieniliśmy się telefonami, żeby ojciec Marcin mógł do mnie zadzwonić, kiedy „Życzliwy” znów się odezwie.

Już miałem wyjść, ale przypomniałem sobie o guziku, znalezionym przez „Szczurołapa” w lesie. Wyciągnąłem go z kieszeni i pokazałem zakonnikowi. Przyjrzał mu się uważnie.

- Oczywiście rozpoznaję herb Drohiczyzna... - obrócił krążek. - Na rewersie są delta i theta... - podał mi przedmiot i spojrzał prosto w oczy. - Nigdy wcześniej nie widziałem takiego guzika...

Jego wzrok był szczery. Pożegnałem się i wyszedłem.

Idąc wzdłuż oświetlonej słońcem ściany katedry, spojrzałem na zegarek. Była szesnasta. Za cztery godziny miałem się zjawić na wieczorku wróżb dyrektor Jankowskiej. Musiałem się więc śpieszyć, żeby załatwić to co zamierzałem, tym bardziej że podczas rozmowy z ojcem Marcinem pojawiło się kolejne, nieplanowane zadanie.

Pojechałem po raz kolejny do wiejskiego domku otoczonego ogródkiem, gdzie mieszkał Jan Surdykowski.

W domu była jego żona. Twarz miała zmęczoną z niewyspania. Duże czerwone półkola pod oczami świadczyły, że ostatnio dużo płakała.

- Dzień dobry - przywitałem się. - Dwa dni temu rozmawiałem z pani mężem na temat sprzedaży

maszyny do pisania, miałem się dzisiaj zgłosić po jej odbiór - musiałem skłamać, żeby nie wyjawic jej sprawy z anonimem.

- Nie wiem, co mąż panu obiecywał... - powiedziała zachrypniętym cichym głosem - ale w tej chwili jest w szpitalu... Zapadł w śpiączkę...

- Naprawdę!? - udałem zdziwienie.

- Tak. Wie pan, to się stało tak nagle... Siedzieliśmy rano w poniedziałek przy śniadaniu. Wziął gazetę do ręki. Wytrzeszczył oczy i zemdlał. Od tego czasu nie odzyskał przytomności.

- Przykro mi...

- Może to dobrze, że pan przyszedł... Pieniądze są nam teraz bardzo potrzebne... Proszę wejść.

Poprowadziła mnie przez kuchnię do ogrodu, gdzie wcześniej Jan Surdykowski pokazywał mi maszynę „KAPPEL”. Ale stół z sadzonkami, gdzie wcześniej stało urządzenie, był pusty.

- Nie rozumiem - kobieta była szczerze zdziwiona. - Jeszcze dwa dni temu ją tu widziałam... Proszę poczekać, panie...

- Pawle...

- Panie Pawle... - uśmiechnęła się przepraszająco. - Sprawdzę w domu, może Janek ją gdzieś wsadził...

Zostałem sam. Wykorzystałem to i pomyszkowałem wokół stołu. Znalazłem przygiętą trawę, która znaczyła ślad w kierunku płotu ogrodu. Poszedłem za tym tropem. Doprowadził mnie do siatki. Metalowe ogrodzenie w miejscu, gdzie kończył się ślad, było wygięte, jakby ktoś się po nim wspinał. Ziemia pod siatką była zryta.

Po drugiej stronie, jakieś dwadzieścia centymetrów od płotu białal w trawie niedopalek. Precisnąłem rękę przez oczko ogrodzenia i podniosłem resztkę papierosa. Obejrzałem ją uważnie. Filtr był przygryziony.

Ledwie wróciłem do stołu, a rozległy się kroki pani domu.

- Bardzo mi przykro - powiedziała - ale maszyny nie ma nigdzie w domu. Nie wiem, co się z nią stało... Będzie pan musiał poczekać, aż mąż wyzdrowieje...

- Nie śpieszy mi się... - rzekłem. - Przepraszam, że zająłem pani tyle czasu. Aha, mam jeszcze jedno pytanie. Czy mąż pani palił papierosy?

- Nie. Tylko fajkę - odpowiedziała zdziwiona. - A czemu pan pyta?

- Myślałem, że może zgodzi się przyjąć część zapłaty za maszynę w postaci papierosów. Niedawno rzuciłem palenie i zostało mi trochę zapasów - skłamałem gładko.

- Nie sądzę - odpowiedziała chłodno i odprowadziła mnie do bramki.

Do wieczorku u dyrektor Jankowskiej została jeszcze niecała godzina, czym prędzej pojechałem więc nad zalew, zmieniłem dzinsy i bluzę na garnitur i białą koszulę, ogoliłem się i punktualnie o dwudziestej zapukałem do drzwi mieszkania Anny Jankowskiej.

Otworzyła mi właścicielka ubrana w prostą sukienkę z granatowej tafty, przewiązaną w pasie szeroką szarfą, zawiązaną z tyłu w kokardę. Włosy starannie spięła nad czołem w coś przypominającego z grubsza kok, tyle że włosy pięknej pani dyrektor już wysunęły się spod spinek i odstawały od fryzury w różne strony. Z każdym ruchem Anna Jankowska rozpylała na wszystkie strony chmury jakiegoś duszącego, ale bardzo przyjemnego zapachu.

- Och, to pan, kochany panie Pawle, zapraszam, zapraszam... - przywitała mnie i poprowadziła przez przedpokój z wysokim lustrem w rzeźbionej ramie do salonu.

Był to duży pokój, oklejony starannie takim rodzajem tapety, że przypominał gabinet w pałacu.

Efekt wzmacniały jeszcze ozdobne kinkiety na ścianach, oświetlające dyskretnie pomieszczenie. Naprzeciw wejścia stał zabytkowy kominek, z rzeźbami amorków ponad paleniskiem. W pokoju było dość tłoczno. Ze dwadzieścia osób, ubranych w wieczorowe stroje, rozmawiało w małych grupkach, popijając czerwone wino z kryształowych kieliszków. Brakowało tylko kelnerów z tacami.

Część gości dyrektor Jankowskiej poznałem już wcześniej. Właściwie byli tu prawie wszyscy, którzy w jakiś sposób otarli się lub uczestniczyli w sprawie el Greca. Zobaczyłem więc wicedyrektora Herrere w smokingu z muszką zawiązaną pod nakrochmaloną stójką kołnierzyka koszuli, który rozmawiał o czymś z jakąś bardzo wysoką kobietą o wysuszonej starością twarzy i siwych włosach zawiązanych z tyłu głowy w kok. Dolatywały do mnie strzępki słów w języku Cervantesa, domyśliłem się więc, że rosła osoba jest zapewne nauczycielką hiszpańskiego albo tłumaczką z tego języka. Blanka Fernandez, ubrana równie efektownie jak zwierzchnik, asystowała wicedyrektorowi w tej rozmowie.

Pod jednym z trzech dużych okien, wychodzących na mało ruchliwą ulicę w centrum Siedlec, stał Roman Bogusz. Na co dzień nosił się dość elegancko. Podkreślił więc tylko swój czarny sztruksowy uniform czerwonym krawatem. Pił wino, palił papierosa i rozmyślał nad czymś, wpatrując się w kieliszek.

Przy kominku zobaczyłem kierownika Malinowskiego w eleganckim garniturze i z fantazyjnie zawiązaną pod szyją aksamitką która miała zapewne przypominać każdemu o tym, że jest on artystą.

- Chciałabym, żeby pan kogoś poznał - dyrektor Jankowska poprowadziła mnie w kierunku stołu, przy którym stał mężczyzna obrócony do nas tyłem. Był ubrany w elegancką wełnianą marynarkę. Z tyłu pochylonej głowy widać było niewielką tonsurkę.

- Proszę księdza... - Anna Jankowska dotknęła ramienia właściciela tonsurki, który trochę tym chyba przestraszony upuścił jakieś naczynie.

Usłyszeliśmy brzęk szkła i trzask sztućców, a mężczyzna obrócił się ku nam z twarzą czerwoną jak burak. Gdyby na jego pucułowatej twarzy był zarost, wyglądałby dokładnie tak samo jak ojciec Marcin, szara eminencja drohiczyńskiej diecezji. Ubrany był w błękitną koszulę, a pod szyją miał koloratkę.

- Miła pani Anno - uśmiechnął się przepraszająco do gospodyni - chyba zdemolowałem pani bufet...

Dyrektor Jankowska spojrzała mu przez ramię i machnęła ręką.

- Och, to drobiazg... Chciałam księdzu przedstawić pana Pawła Dańca.

Duchowny uśmiechnął się i podał mi rękę.

- Wiele słyszałem o pańskich niezwykłych zdolnościach i dokonaniach - powiedział. - Jestem Maciej Darski, wikariusz siedleckiej katedry.

- Bardzo mi miło. Czy mógłbym księdzu zadać niedyskretne pytanie?

- Słucham.

- Czy ksiądz nie ma czasem brata bliźniaka?

Ksiądz Darski uśmiechnął się smutno.

- A więc poznał już pan Marcina?

- Tak. Rozmawiałem z nim dzisiaj.

- Pozwoli pan, że teraz ja zadam niedyskretne pytanie? Można wiedzieć, o czym panowie mówili?

- Przykro mi, ale zobowiązałem się dochować tajemnicy...

- Rozumiem... Pytałem, bo od jakiegoś czasu nie odzywamy się do siebie z bratem. Takie nasze rodzinne nieporozumienia. Nie będę państwa zanudzał. Mam do pana prośbę - spojrzaj na mnie uważnie. - Czy moglibyśmy spotkać się jutro rano, powiedzmy o dziesiątej, w moim gabinecie w kurii... Chciałbym z panem porozmawiać o pewnej nadzwyczaj delikatnej sprawie.

- Jestem do księdza dyspozycji! - ucieszyłem się, bo wydarzenia zdawały się przybierać obrót, jakiego się spodziewałem.

Dyrektor Jankowska porwała wikarego gdzieś na bok, żeby omówić z nim jakieś muzealne sprawy i zostałem sam. Wydobyłem z pobojuwiska pozostawionego przez wikarego cały kieliszek, nalałem sobie soku pomarańczowego (chętnie spróbowałbym wina, którego przyjemny zapach rozchodził się w powietrzu, ale musiałem jeszcze dzisiaj prowadzić) i podszedłem do zamyślonego Romana Bogusza, który co prawda już nie palił, ale ciągle stał pod oknem.

- Co tak bardzo zaprzęta pański umysł, kustoszu? - zagałem rozmowę.

Bogusz wyrwany z zamyślenia, przez ułamek sekundy patrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem, ale po chwili odezwał się:

- Aaa... To pan... Dzień dobry. Martwię się ciągle el Grekiem. Czuję się winny tej kradzi eży. Wie pan, byłem wtedy w samochodzie, mogłem zadziałać.

- Nie powinien pan o tym myśleć w ten sposób - rzekłem, a potem przybrałem beztroski wyraz twarzy i rzekłem tajemniczo: - Poza tym detektywistyczna intuicja mówi mi, że obraz wkrótce się odnajdzie.

Moje słowa zrobiły duże wrażenie na kustoszu. W jego oczach pojawiła się podejrzliwość. Z trudem powściągał emocje. Wydawało mi się, że gdybyśmy nie znajdowali się teraz na eleganckim przyjęciu, kustosz Bogusz chwyciłby mnie za kłapy marynarki i potrząsnął. Zamiast tego postąpił tylko krok do przodu i wydusił z siebie:

- Pan coś wie?!

- Mam tylko przecucie... Żadnych dowodów.

- Aha... - rozluźniony opadł ciężko na parapet i machnął ręką. - W takim razie niech mi pan nie robi fałszywych nadziei...

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po papierosa, ale w połowie drogi spojrzął na mnie.

- Przepraszam... - cofnął rękę. - Pan pewnie nie pali. Nie będę kopał panu w twarz...

- Proszę się nie krępować - powiedziałem uprzejmie.

- W takim razie zapalę - rzekł i wyjął z kieszeni papierośnicę. Zobaczyłem równy rząd papierosów z napisem „Wisła”. Z wewnętrznym napięciem obserwowałem poczynania kustosza.

Wyjął papierosa, stuknął nim kilka razy o wierzch srebrnej papierośnicy i włożył do ust. Jego wargi zdrząły niespokojnie, ale filtra nie przygryzł.

- Pozwoli pan, że posłużę mu ogniem - odezwał się obok nas głos wicedyrektora Herrery, a jego ręka wystrzeliła w kierunku Romana Bogusza.

Kustosz zbliżył się i przypalił papierosa od płomienia z wielkiej złotej zapalniczki z wygrawerowanym starannie herbem Toledo, przedstawiającym dwugłowego orła i dwie postacie w koronach po jego bokach.

Wicedyrektor Herrera sięgnął do kieszonki swego smokingu i wydobył z niej złotą papierośnicę, również ozdobioną herbem Toledo. Otworzył ją i już miał sięgnąć po papierosa, kiedy odezwał się Bogusz:

- Widzę, panie dyrektorze, że używa pan tych samych bibulek co i ja - słowa te zostały

wypowiedziane tonem charakterystycznym dla hobbystów i naukowców w chwilach, kiedy rozprawiają o ulubionym przedmiocie swego zainteresowania. - Dostał pan „Wisły” w Hiszpanii?

- Och nie, kupiłem je na lotnisku w Warszawie... Ale tytoń mam turecki, trochę ciemniejszy od tego z amerykańskich mieszanek. Niech pan porówna... - Roman Bogusz wyjął papierosa i przystawił go do tego trzymanego przez Herrere. Rzeczywiście używka w papierosie wicedyrektora był trochę ciemniejsza.

- Zaraz, zaraz... - dyrektor Herrera ciągle trzymał papierosa w ręce i nie zbliżał go do ust. - Gdzieś pana ostatnio widziałem, panie kustoszu... Chyba w Drohiczynie...

Nadstawiłem pilnie ucha, ale nie dane mi było wysłuchać do końca tej arcyciekawej konwersacji, bo ktoś szturchnął mnie lekko w ramię i usłyszałem głos dyrektor Jankowskiej:

- Mogę pana na chwilę prosić... - powiedziała, a potem poprowadziła mnie w drugi koniec pokoju, pod ostatnie z trzech wielkich okien.

Na szczęście stanąłem tak, że widziałem, co robili odwrócony do mnie plecami Herrera ze stojącym twarzą do mnie Boguszem. Zostałem przedstawiony tyczkowej damie, z którą wcześniej rozmawiał Herrera, a która okazała się być tłumaczką przysięgłą z hiszpańskiego. Żywo obchodziło ją zniknięcie el Greca. Słyszała też trochę o mnie. Chciała się dowiedzieć, czy jestem już na tropie złoczyńców. Normalnie rozmawiałbym z nią grzecznie, ale teraz, co z przykrością muszę odnotować, zachowywałem się jak gbur. Zbywałem głębokie pytania monosylabami i burknięciami, całą swoją uwagę skupiając na obserwacji kustosza i wicedyrektora.

Nie słyszałem, co Herrera, mówił Boguszowi, ale musiało to być chyba coś nieprzyjemnego, bo młody kustosz skrzywił się i pociągnął Herrere w kąt po drugiej stronie pokoju. Widziałem ich teraz obu z profilu. Pomiędzy nimi znajdował się stolik z wielką kryształową popielnicą. Herrera zaproponował Boguszowi papierosa, ale ten odmówił i zapalił swojego. Wicedyrektor także zapalił, ale ze swojej złotej papierošnicy. Niestety, nie byłem w stanie dojrzeć, czy któryś z nich przygryzł filtr.

Bogusz pochylił się lekko w jego stronę i gestykulując z papierosem w ręce coś mu tłumaczył. Herrera słuchał uważnie, głęboko się zaciągając. Najpierw brwi zmarszczyły się jakby w gniewie, ale po chwili na twarz wypłynął ušmiech spryciarza. Zadał pytanie. Bogusz odpowiedział, rozganiając, z przymkniętymi oczami, chmurę dymu, która się wokół niego zgromadziła. W końcu zgasili papierosy w popielnicy i wyszli.

- Panie Pawle, czy pan mnie w ogóle słucha? - tyczkowata niewiasta miała gniewną twarz.

- Oczywiście, pani Elżbieto, mówiła pani o el Grecu...

- O el Grecu mówiłam dziesięć minut temu!

Udobruchanie tyczkowej damy zajęło mi dziesięć minut, następne dwadziešcia rozmawiałem z nią prawie normalnie o el Grecu, problemach z tłumaczeniami i urokach hiszpańskiej sztuki. Odzyskałem twarz, ale utraciłem szansę odkrycia, co planowali razem wicedyrektor Herrera i kustosz Bogusz.

Kiedy w końcu uwolniłem się od towarzysztwa tyczkowej damy, która stwierdziła, że musi jeszcze porozmawiać z koleżanką obecną na przyjęciu, poszedłem do stolika, przy którym rozmawiali kilkanašcie minut temu wicedyrektor z kustoszem. Zajrzałem do kryształowej popielnicy. Były w niej tylko dwa niedopałki. Oba na bibułce miały napis „Wisła” i nie różniły się od siebie prawie niczym, poza drobnym szczególem.

Jeden z niedopałków miał przygryziony filtr.

Poczułem kropelkę potu spływającą mi po plecach.

„Muszę sprawdzić, jaki tytoń jest w niedopałku z przygryzionym filtrem” - pomyślałem i z obrzydzeniem, ale i poczuciem misji, sięgnąłem do popielniczki.

- Co pan wyrabia, Pawle!?! - dyrektor Jankowska krzyknęła cicho za moimi plecami.

Odwrociłem się. Czuję, że uszy pali mi rumieniec. Pani dyrektor zmrużyła oczy i otworzyła je znowu, przyglądając mi się z pretensją i podejrzliwością.

- Czy pan... - nie mogła z siebie wykrztusić tego zdania. W końcu powiedziała je, ale bardzo cicho - czy pan grzebał w popielniczce?

Musiałem mieć minę jak uczeń.

- Hmm - próbowałem wytrzeć ręce w spodnie, ale popiół zostawiał szare plamy na nogawkach. - To znaczy... To część śledztwa - powiedziałem konfidencjonalnym tonem.

- Wstyd, panie Pawle, wstyd... - pogroziła mi palcem, robiąc przy tym groźną minę. - Spodziewałam się po panu dojrzałego zachowania... - powiedziała. - Proszę iść teraz porozmawiać jeszcze trochę z panią Elżbietą - wskazała głową w stronę okna, gdzie samotnie, z kieliszkiem wina w dłoni stała tyczkowata dama. - Mówiła mi, że potraktował ją pan, mówiąc delikatnie, nieco obcesowo... Nie chciało mi się wierzyć, bo miałam pana za dżentelmena, ale pański ostatni wyczyn każe mi zrewidować sąd o pańskich manierach.

- Ale... - próbowałem przerwać jej monolog.

- Żadnego ale! - jej głos był ostry, nieznoszący sprzeciwu. - Proszę natychmiast dołączyć do pani Elżbiety. Ja tymczasem oczyszczę popielniczki, żeby już pana więcej nie kusiły...

Położyłem uszy po sobie i powlokłem się w stronę okna. A więc bezcenne dowody rzeczowe przepadły, bo nie zdobyłbym się przecież na grzebanie w śmietniku dyrektor Jankowskiej!

Porozmawiałem jeszcze chwilę z panią Elżbietą i pożegnałem gospodynię. Było to bardzo chłodne pożegnanie, podszyte podejrzliwością. Wyszedłem na oświetloną już lampami ulicę biskupa Świrskiego. Nie chciało mi się jeszcze wracać do namiotu. Postanowiłem przespacerować się trochę siedleckimi ulicami.

Szedłem ulicą biskupa Świrskiego, przyglądając się pieńkom po ściętych niedawno drzewach. Ulica zyskała nieco na przestrzeni, ale na pewno straciła trochę ze swego charakteru.

- Czemu pan zmartwiony? - usłyszałem gdzieś obok siebie głos.

Należał on do ciemnoskórego sprzedawcy kebabów o arabskich rysach i wygolonych gładko policzkach. Mężczyzna szczyrzył się wesoło.

Doleciał mnie smakowity zapach piezonego mięsa i ostrego sosu. Poczułem się nagle bardzo głodny.

- Pyśna kebab dobry na smutek! - zachęcał mnie do zakupu.

- Dobrze. Poproszę jeden kebab - rzekłem w końcu.

- Może podwójna? Podwójny smutek, podwójna kebab.

- Niech będzie podwójny - rzekłem.

- Jaki sos dać?

- Jak najostrzejszy.

- Słuszny wybór - powiedział i zaczął ścinać kawałki mięsa z obracającej się w ogniu pieczeni do dużej bułki.

- Mogę zapytać, dlaczego sprzedaje pan kebab w Siedlcach, a nie w jakimś wielkim mieście, jak inni pańscy rodacy?

- Żona - powiedział i uśmiechnął się szeroko. Brakowało mu jednego zęba. Włożył kebab do mikrofalówki i podszedł do okienka z wyciągniętą ręką.

- Aziz - rzekł podając mi dłoń.

- Paweł - odwzajemniłem uścisk.

- Co robisz w Siedlcach? - zapytał ciekawie.

- Szukam obrazu el Greca... - odpowiedziałem szczerze.

- Mistrz z Toledo... - powiedział. - Czasem myślę, że Siedlce jak Toledo. On był Grek z Toledo.

Ja jestem Arab z Siedlec.

- Mnie też atmosfera tego miasta coraz bardziej przypomina klimat, który panował w dawnej Hiszpanii. Magia, święci, pustelnicy...

Kuchenka mikrofalowa donośnym dzwonieniem obwieściła, że kebab jest gotowy.

- Zaraz, Paweł. Kebab gotowa!

Przyniósł mi bułkę załadowaną mięsem.

- Bon appetit! - powiedział wesoło.

- Dziękuję - rzekłem nabijając kawałek mięsa na widelczyk. - Pyszne! - pochwaliłem Aziza, a on

rozpromienił się i powiedział: - Dwa dni mięso w sos. Moja receptura! - poklepał się po piersi z dumą.

Nagle w końcu ulicy zobaczyłem znajomą postać.

- Muszę już iść - powiedziałem i ruszyłem w kierunku dyrektora Herrery, bo to on się do mnie zbliżał.

Szedł swobodnie. Pogwizdywał cicho jakąś melodyjkę w hiszpańskim stylu.

- Panie Pawle! - wykrzyknął na mój widok. - Jakie cudowne powietrze! W Madrycie takiego się nie znajdzie! Widzę, że zdecydował się pan na wieczorną przekąskę - wskazał na mój kebab. - Chętnie bym się do pana przyłączył, ale sam pan rozumie, nie moja pora... - poklepał się ze śmiechem po wydatnym brzuchu.

- O tak, powietrze jest wspaniałe! - przyznałem mu rację. - W całej Europie coraz mniej jest takich miast jak Siedlce... Panie dyrektorze? - spojrzałem na niego uważnie.

- Słucham, panie Pawle...

- Pan widział Romana Bogusza w Drohiczyńcu?

- Nie - mięśnie jego twarzy lekko zadrgały, na chwilę zszedł z niej uśmiech, ale po chwili oczy błysnęły i na oblicze wicedyrektora powrócił spokój. - Wydawało mi się tylko...

- Czemu w takim razie powiedział pan o tym na przyjęciu?

Czułem, że wicedyrektor nie jest ze mną szczery, że coś przede mną ukrywa. Poprawił nerwowo okulary i powiedział:

- Może atmosfera tego miasta, która, powiem panu szczerze, przypomina mi Toledo, wpłynęła na pana tak, że wszędzie szuka pan tajemnicy?

- Kto wie - odpowiedziałem zamyślony - może i tak jest? Dobrej nocy, dyrektorze Herrera! - rzekłem i czym prędzej popędziłem do wehikułu. Musiałem jak najszybciej spotkać się z moimi młodymi pomocnikami!

Jazda samochodem trochę mnie uspokoiła.

Dojechałem do namiotu, ale nie wysiadłem z wehikułu. Sięgnąłem po telefon i napisałem SMS-a do Agnieszki, aby odwiedziła mnie razem z „Dylanem” jak najszybciej. Nalegałem jednak, żeby zrobili to dyskretnie, co, biorąc pod uwagę późną porę i ciszą nocą trwającą już od dobrej godziny w

obozie malarzy, nie powinno być trudne.

Przyszli po kwadransie. Dałem im znak latarką że jestem w wehikule. Po chwili siedzieli już na tylnych siedzeniach.

- Jak idzie dochodzenie, panie Pawle? - zapytała na powitanie dziewczyna. „Dylan” zdążył tylko kiwnąć głową zanim potężne ziewnięcie sprawiło, że odchylił do tyłu głowę i zakrył usta ręką.

Opowiedziałem im o wydarzeniach podczas spotkania u dyrektor Jankowskiej. Kiedy usłyszeli o tym jak grzebałem w popielnicze, nie zdołali powstrzymać się od śmiechu.

- Dajcie spokój - powiedziałem niby to oburzony. - Przecież tego wymagało dobro śledztwa.

- Rozumiem - wykrztusiła Agnieszka w przerwach pomiędzy kolejnymi wybuchami chichotu.

- Ja wszystko rozumiem, panie Pawle, ale postępując w ten sposób nigdy nie zdobędzie pan serca kobiety... A dyrektor Jankowska chyba się panu podoba. Mam rację?

- Jeśli pozwolicie, zmienię trochę temat... Nie ciekawi was, czemu chciałem się z wami spotkać?

Przestali chichotać i spojrzeli na mnie uważnie.

- To nie po to, żeby opowiedzieć nam o swojej wpadce? - zdziwiła się, wycierając sobie łzy w kącikach oczu.

- No pewnie, że nie! - rzekłem i opowiedziałem im o spotkaniu z wicedyrektorem Herrera na siedleckiej ulicy.

- A więc podejrzewa go pan, że ukradł obraz? - zapytał „Dylan”.

- Trudno mi powiedzieć. Jeszcze za mało wiem, ale sądzę, że w jakiś sposób może być zamieszany w tę sprawę...

Przeszła im już ochota do śmiechu. Słuchali mnie uważnie.

- Przede wszystkim niepokoją mnie bibułki do papierosów „Wisła”...

- Ale przecież one są bardzo popularne... Można je kupić w każdym kiosku - powiedział „Dylan”.

- Ale nie każdy palacz przygryza filtry... Pomyślmy... Znaleźliśmy niedopałki z tymi bibułkami na miejscu przestępstwa. To byłby dość niezwykły zbieg okoliczności, gdyby okazało się, że Roman Bogusz albo wicedyrektor Herrera nie mieli z tym nic wspólnego...

- No dobrze - inicjatywę przejęła Agnieszka, bo „Dylan” znowu ziewał. - Powiedzmy, że kustosz i wicedyrektor są podejrzani... Co mielibyśmy zrobić?

- Chciałbym, żebyście jutro przez cały dzień śledzili Herrera... Ja jestem spalony, poza tym jutro rano mam spotkanie w kurii, a potem jadę do „Szczurołapa”.

Szczęki im opadły.

- Pan nam daje prawdziwe zadanie! - zakrzyknęła radośnie Agnieszka.

- Malinowski nam nie pozwoli... - jęknął „Dylan”.

- Pogadam z nim. Na pewno się zgodzi... - powiedziałem. - Pojedziecie ze mną wehikulem jutro rano. Wysadzę was w pobliżu hotelu, w którym mieszka wicedyrektor Herrera. Spotkamy się znowu jutro wieczorem. Ale uwaga! - podniosłem w górę wskazujący palec. - Musicie bardzo uważać, bo nasze zachowanie może wzbudzić zainteresowanie ludzi, którzy ukradli el Greca. Dlatego od tej pory spotykamy się tylko późnym wieczorem. W ciągu dnia będziemy się kontaktować tylko za pomocą komórek.

Moi młodzi przyjaciele przybrali miny spiskowców i pożegnawszy się, ostrożnie wyszli z namiotu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ZNOWU LICYTACJA, CZYLI O WSPÓLZAWODNICTWIE * LEŚNYM TRAKTEM * BUREK NA TROPIE * ZAKOPANY ŚLAD * OSTATNI NUMER * TOWARZYSTWO ZIEMI DROHICZYŃSKIEJ * INFORMATOR MÓWI * CZŁOWIEK W KAPTURZE

Rano rozmówiłem się z kierownikiem Malinowskim.

- Chciałbym zabrać ze sobą na cały dzień Agnieszkę i Zbyszka - powiedziałem. - Będę dzisiaj robił dokumentację wiejskich krzyży prawosławnych w okolicach Siedlec. Mogliby się przy tym sporo nauczyć.

Malinowski podrapał się w głowę.

- W zasadzie ma pan rację, panie Pawle... Ale nie wiem, czy to jest zgodne z regulaminem... - przejechał ręką po nieogolonym policzku i powiedział do mnie szeptem. - Panie Pawle, z tymi dzieciakami dzieje się coś niedobrego...

- Naprawdę? - udałem zdziwienie, chociaż domyślałem się już, o co chodzi.

- Zachowują się bardzo podejrzanie. Chodzą za mną krok w krok, cały czas czuję na sobie czyjś wzrok, a kiedy rozglądam się wokoło, to albo Zbyszek, albo Agnieszka opuszczają oczy. Wydaje mi się, że mnie śledzą!

- A wie pan, że ja też mam takie same wrażenia? Oni czasem zaglądną do mego obozu i kiedy jedno rozmawia ze mną drugie myszkuje wzrokiem, jakby czegoś szukało...

- No właśnie! - powiedział prawie radośnie Malinowski. - Cieszę się, że mnie pan rozumie. Uff! - zaśmiał się niepewnie i krótko. - Już się bałem, że głowa zaczyna mi szwankować i mam jakieś omamy. Tylko o co może chodzić tym dzieciakom?

- Myślę, że to sprawa kradzieży el Greca tak na nich podziałała. Zabawiają się w detektywów. W każdym widzą podejrzanego.

- Chyba ma pan rację... - ręka Malinowskiego znów powędrowała w stronę łysiny. - Ale co z tym zrobić? Może to rzeczywiście dobry pomysł, żeby wziął ich pan dzisiaj ze sobą. Będzie pan miał czas, żeby przemówić im do rozumu.

Pół godziny później Agnieszka i „Dylan” siedzieli w moim wozie pędzącym do centrum Siedlec.

- Musicie bardziej uważać - powiedziałem do nich.

- Malinowski coś zwąchał? - powiedziała Agnieszka przerażonym tonem.

- Byliście chyba trochę zbyt nachalni w śledzeniu go.

- Sam pan nas o to prosił... - rzekł „Dylan”.

- Prosiłem, żebyście go obserwowali, a nie prześladowali wzrokiem. Dobrze, że sam mi o tym powiedział, bo mogłem mu wcisnąć kit, że mnie też obserwujecie. Zgodził się, żebym was ze sobą wziął, bo liczy na to, że wam wybije z głowy detektywistyczne zapędy.

- I co, wybije nam pan? - zapytał „Dylan”

- Śledźcie go dalej, ale bądźcie bardziej dyskretni... Z Herrerą też bardziej uważajcie.

- Ale co konkretnie mamy robić? Przebrać się za żebraków?

- Nie. Bądźcie naturalni, zachowujcie się jak turyści zwiedzający miasto, czasem wejście do kafejki, skręćcie w bramę. Ważne, żeby was nie zapamiętał i nie zauważył.

Wysadziłem Agnieszkę i „Dylana” w okolicach małego hoteliku, gdzie zatrzymał się wicedyrektor Herrera i szybko odjechałem.

Punktualnie o godzinie dziesiątej rano przekroczyłem próg gabinetu wikariusza siedleckiej katedry, Macieja Darskiego. Ksiądz nie miał na sobie sutanny, ale tak jak wczoraj nosił elegancki garnitur. Jedyнным elementem, który świadczył o tym, że jest duchownym, była koloratka. Zauważył chyba, że przyglądam mu się z zainteresowaniem, bo powiedział z uśmiechem:

- Dziwi pana pewnie, czemu nie chodzę w sutannie? No cóż - strzepnął z czarnego garnituru wyimaginowany pyłek - obracam się raczej wśród świeckich i moje zajęcia są bardziej zajęciami świeckiego niż duchownego, dlatego ubieram się w ten sposób. Ale proszę spocząć - wskazał ręką wygodny fotel, a sam zasiadł za sporym biurkiem naprzeciw wejścia.

Pokój, w którym się znajdowałem, urządzone z wyjątkowym smakiem. Pomalowano go na beżowo. Ścianę po prawej od wejścia zajmowały dwa duże drewniane i na pierwszy rzut oka zabytkowe okna, z których jedno było uchylone.

Oprócz biurka w pokoju były jeszcze tylko elegancka szafa zdobiona rzeźbami i stolik z dwoma obitymi zielonym sukniem krzesłami. Na ścianach wisiały znakomite sztychy przedstawiające katedrę, rysunki i obrazy batalistyczne oraz, co mnie trochę zdziwiło, portret Tadeusza Kościuszki. Centralne miejsce nad biurkiem zajmowała szabla.

- Zapali pan? - zapytał ksiądz, a ja odruchowo pomyślałem: „Czyżby kolejny amator bibułki papierosowej «Wisła»”? Ale ksiądz Darski wychylił się nad biurkiem z pudełkiem cygar.

- Dziękuję.

Duchowny zdjął z cienkiego cygara złoty pierścień, przyciął nożykiem kapturek, czyli końcówkę, i zapalił. Przyjemny zapach rozszedł się po pokoju.

- Palę tylko wtedy, kiedy jestem albo bardzo zdenerwowany, albo bardzo zadowolony - stwierdził wypuszczając dym w stronę otwartego okna.

- A w którym z tych stanów znajduje się dzisiaj księdza dusza? - zapytałem.

- Teraz jestem bardzo zdenerwowany.

- Co księdza tak niepokoi?

- List.

- List?

- Anonim.

Gwizdnąłem cicho.

- Co pana tak dziwi?

- Mam ostatnio stale do czynienia z anonimami.

- W takim razie proszę dorzucić jeszcze ten do kolekcji - rzekł i podał mi kopertę.

Spodziewałem się, jakiej treści list w niej znajdę. I nie zawiodłem się.

Wasza Ekscelencjo!

Jestem w posiadaniu obrazu el Greca „Ekstaza św. Franciszka”. Niedługo organizuję licytację rzeczzonego dzieła. Będzie to licytacja prywatna, na którą pragnę zaprosić Waszą Ekscelencję. Cena wywoławcza obrazu wynosić będzie pięćdziesiąt tysięcy euro. Oczywiście nie musi Ksiądz Biskup stawiać się na licytację. Wystarczy, że wyznaczy Wasza Ekscelencja przedstawiciela. Jeśli zdecyduje się Ksiądz Biskup wziąć udział w licytacji, proszę przekazać informację o tym człowiekowi, który zjawi się wkrótce w kurii. Będzie miał wpięty w klapę herb Siedlec. On też będzie pośrednikiem między nami i przekaże

szczegółowe informacje o miejscu i czasie aukcji.

Z wyrazami najszczerzego poważania

Życzliwy

PS Odradzam Waszej Ekszelencji wciągać policję w tę sprawę, ponieważ wtedy arcydzieło może spotkać przykry wypadek.

Jak się już pewnie domyślacie, list został napisany na maszynie Jana Surdykowskiego.

- Rozumiem, że księdzu biskupowi zależy na odzyskaniu arcydzieła - powiedziałem, doznając czegoś na kształt deja vu.

- Bardzo zależy - ksiądz Maciej udał, że jest zatroskany. - Do tej niebezpiecznej misji wyznaczył mnie. A ja chciałem po prostu, żeby mi pan towarzyszył.

- W jakim charakterze?

- Drogi panie Pawle... - ksiądz Darski odłożył cygaro do popielniczki. Dym cienkim strumieniem płynął w stronę sufitu. Duchowny oparł łokcie o blat biurka i złożył palce dłoni tak, że utworzyły trójkąt. - Proszę mi powiedzieć, kim jest człowiek proponujący kupno el Greca?

- Osobą która go ukradła z Muzeum Diecezjalnego - odpowiedziałem.

- Otóż to. Jest złodziejem. A ja - wskazał na siebie obiema dłońmi - nie miałem dotychczas zbyt wiele do czynienia z przestępcami. Nie wiem, jak z nimi rozmawiać, jak ich nie rozdrażniać, jak zmusić, żeby zrobili to, co obiecali. Podczas gdy pan... - otworzył trochę szerzej oczy, wysunął brodę do przodu i znów sięgnął po cygaro - podczas gdy pan... - zaciągnął się mocno, a potem przyjrzał się cygaru, jakby przestało mu smakować - pan ma w tej mierze spore doświadczenie. Doświadczenie - uniósł cygaro do góry - które może się w tej sprawie okazać bezcenne.

Od momentu przeczytania anonimu wiedziałem, że przystanę na propozycję księdza Darskiego. Dzięki kontaktom z „szarymi eminencjami” obu kurii miałem szansę otrzymywać bezcenne informacje o ruchach przeciwnika. Postanowiłem jednak jeszcze chwilę potrzymać księdza Darskiego w niepewności.

- Ten obraz jest dla kurii aż tak cenny, żeby rozmawiać ze złodziejem? - zapytałem niewinnym tonem.

- To nasz największy skarb - powiedział poważnie ksiądz Darski. - i nie chodzi tu nawet o cenę dzieła. Ten obraz ma wartość nie tylko materialną ale też duchową.

- Dodaje prestiżu...

- Ale i sporo zmartwień oraz wydatków. Obraz, przebywając tyle lat w naszej diecezji, stał się częścią dziedzictwa kulturowego Siedlec, częścią naszej lokalnej tradycji. Jest szansą dla tej ziemi. Sam pan widział. Wielkie Prado zgodziło się wymienić obrazami z naszym prowincjonalnym muzeum! Ludzie przyjeżdżają do Siedlec oglądać tylko ten jeden obraz. Dzięki temu miasto może się rozwijać. Co będzie, jeśli obraz zniknie?

Nic nie odpowiedziałem, chociaż wiedziałem, że ma rację.

- Pozwoli pan, że go o coś spytam?

- Słucham księdza.

- Czy gdyby znalazł się pan w podobnej sytuacji, gdyby i pana zaszantażowano w ten sposób, czy wykupiłby pan obraz za małą część jego prawdziwej wartości?

Ksiądz Darski zbił mnie trochę z tropu tym pytaniem. Przyznaję, że zastanawiałem się czasem nad tym. Odpowiedziałem księdzu szczerze:

- Wykupiłbym obraz.

Gospodarz odetchnął z ulgą, na jego twarzy pojawił się zmęczony uśmiech. Ta rozmowa kosztowała go sporo sił i emocji, chociaż starał się je przez cały czas trzymać na wodzy.

- Ale - dodałem szybko - wcale nie wiemy, czy intencje przestępców są szczerze. Może chcą wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy i uciec z obrazem. I jeszcze jedno! Skąd ksiądz wie, kogo zaprosili na tę prywatną licytację. Może kurii nie będzie stać na wykupienie obrazu?

- Już złożyliśmy wniosek o kredyt. Ksiądz biskup sprzedał samochód.

- Ciągle jednak uważam, że lepiej byłoby zawiadomić o sprawie policję.

- Chętnie bym to zrobił - rzekł duchowny - ale nie wolno nam ryzykować zniszczenia arcydzieła.

Przejechałem ręką po włosach i głośno wypuściłem powietrze. Upał stawał się nie do zniesienia.

- Dobrze. Pójdę z księdzem na tę licytację - powiedziałem.

Wymieniliśmy telefony. Wstałem z fotela. Ksiądz Darski zrobił to samo. Mój wzrok spoczął znowu na sztychach i obrazach wiszących na ścianach.

- Muszę przyznać, że to dość intrygująca kolekcja dzieł sztuki jak na gabinet duchownego - wskazałem ręką na sceny batalistyczne i portret Kościuszki. - Spodziewałbym się raczej malarstwa religijnego... - wyznałem szczerze.

- Proszę się nie dziwić. To dzieła Aleksandra Orłowskiego. Największego malarza, jakiego wydało nasze miasto.

- To ten uczeń Norblina? Nie wiedziałem, że stąd pochodził...

- Sam pan widzi, że nasze miasto ma ciągle słabą prasę. Orłowski był synem oberżysty. Księżna Izabela Czartoryska, która odziedziczyła Siedlce po Aleksandrze Ogińskiej, mecenaska sztuki i patriotka, wzięła go ze sobą do Warszawy. I tak zaczęła się jego kariera. Od jakiegoś czasu staram się gromadzić jego dzieła, tu ma pan przykłady jego znakomitych grafik pokazujących starcia w czasie insurekcji kościuszkowskiej. Niech pan spojrzy. Wskazał na grafikę przedstawiającą szarżę kosynierów. Atakujący wylaniali się jakby z mgły, niby fala morska zagarniając posterunek rosyjskiego wojska. Szczególne wrażenie robił las kos postawionych na sztorc, których ruch przypominał taniec gałęzi miotanych wiatrem. - Co za dynamika! - komentował ksiądz Maciej. - Orłowski był bardzo nowoczesny jak na swój czas. Jest jednym z ojców malarstwa batalistycznego w naszym kraju.

- A te sztychy katedry? - zapytałem z ciekawości. - Też są jego autorstwa?

- O nie! To dzieła jednego z młodych artystów, których wspiera nasza kuria. Chłopak naprawdę dobrze się zapowiada.

Pożegnałem się z księdzem Darskim, wyszedłem z kurii, wsiadłem do wehikułu i ruszyłem w drogę. Jechałem do „Szczerołapa”, intensywnie rozmyślając o sprawie kradzieży obrazu el Greca. Czulem, że jestem blisko rozwiązania zagadki. Podsumowywałem w myślach wszystko co udało mi się do tej pory ustalić.

A więc kradzież została zaplanowana przez osobę doskonale poinformowaną o operacji przetransportowania obrazów Muzeum Prado z Okęcia do Siedlec. Znała ona trasę i czas przejazdu. Wybór miejsca, oddalonego od ludzkich osiedli wskazywał, że musiała to być raczej osoba pochodząca z okolic Siedlec. Na miejscu kradzieży znaleziono papierosa zrobionego z bibułki marki „Wisła”. Papieros ten miał przygryziony filtr. Udało mi się ustalić, że aż dwie osoby związane z tą sprawą paliły takie papierosy - Roman Bogusz i wicedyrektor Herrera.

Co więcej! Jeden z nich prawie na pewno przygryzał filtry w papierosach, co wyszło na jaw podczas wieczorku u dyrektor Jankowskiej. Niestety, z powodu zewnętrznych okoliczności i tego, że

przestępca prawdopodobnie zorientował się, że wpadłem na trop jego nawyku, nie udało mi się ustalić, który z nich to robił. Niewykluczona jednak była i taka wersja, że obaj panowie współpracowali ze sobą. Mogło być jednak i tak, że żaden z nich nie miał nic wspólnego z całą aferą a to, że palił „Wisły” i któryś z nich przygryzał filtry było czystym przypadkiem. Przecież przygryziony niedopałek nie mógł stanowić dowodu w sprawie. Był tylko poszlaką.

Pozostawała jeszcze sprawa anonimów. Ktoś poinformował Jana Surdykowskiego, który starał się o fotel dyrektora Muzeum Diecezjalnego i żywił względem dyrektora Jankowskiej niezbyt przyjazne uczucia, że ma nastąpić wymiana obrazów z Muzeum Prado. Liczył na to, że Surdykowski spróbuje jakoś zepsuć to wielkie święto Muzeum Diecezjalnego, ale nie spodziewał się pewnie, że zrobi to w tak korzystny dla przestępców sposób. Anonim, który wysłał Surdykowski stał się zasłoną dymną dla działań złoczyńców. A to, że zdołałem wykryć autora anonimu, uspiło tylko czujność nas wszystkich i pozwoliło złodziejom działać spokojnie. Kradzież obrazu el Greca, która przeraziła niedoszłego dyrektora tak, że zapadł w śpiączkę, też była złodziejom na rękę. Kierowała podejrzenia policji na jego osobę i utrudniała śledztwo.

Ale złodzieje nie uniknęli błędów.

Pierwszym było pozostawienie niedopałków i strzykawki na miejscu kradzieży.

Drugim, wymuszonym, utrata guzika z herbem Drohiczyzna, który naprowadził mnie na ślad licytacji.

Trzecim, największym, kradzież maszyny Jana Surdykowskiego i napisanie na niej anonimów wysłanych później do kurii diecezjalnych. Tu przestępcy przedobrzyli. Chcieli pewnie rzucić cień podejrzenia na Jana Surdykowskiego. Ale kradnąc maszynę oczyścili go właściwie z zarzutów.

Poza tym wskazali, że w ich szeregach jest ktoś z Muzeum Diecezjalnego, bo przecież ktoś kto napisał anonimy na maszynie Surdykowskiego, musiał wiedzieć, że pierwszy anonim, w którym grożono kradzieżą obrazu został na niej także napisany. A przecież ani treść ani forma anonimu nie była znana nikomu poza wąskim gronem pracowników Muzeum Diecezjalnego. „Moim zadaniem musi być więc ustalenie, który z pracowników Muzeum Diecezjalnego współpracował ze złoczyńcami” - podsumowałem w myślach swoje rozważania i wjechałem na polanę przed gospodarstwem „Szczurołapa”.

Leśny Człowiek, jak czasami w myślach nazywałem mieszkańca domku w dąbrowie, czekał na mnie przed swoją chatą. Jadł kwadratowy kawałek sera, który zagryzał czarnym chlebem.

- Chce pan kawałek? - wyciągnął swoim zwyczajem jedzenie w moją stronę. - Oscypek własnej roboty - powiedział z dumą.

Ser był pobrudzony czymś czarnym, chyba popiołem. Kształtem wcale nie przypominał oscypka. Nie miał też zdobień. Jego brzegi były gładkie i proste. Ułamałem kawałek. Ładnie pachniał. Ugryzłem. Smak był wspaniały.

- Znakomite - powiedziałem z uznaniem.

- Niech pan nie przesadza. To co, idziemy?

Kiwnąłem głową.

- Burek, Burek - krzyknął „Szczurołap”, a potem przeciągle zagwizdał.

Dało się słyszeć wesołe szczekanie, potem gdakanie przestraszonych kur, a wreszcie zza domu wyszedł Burek. Doczłapał do nas i, przywitawszy swego pana, zaczął się do mnie łąsić. Pogłaskałem go za uchem.

- To godzina marszu stąd, idziemy.

Przechadzka leśnym traktem w czerwcowe popołudnie to jedna z najprzyjemniejszych rozrywek, jakie można sobie wyobrazić. Baldachim z koron drzew chroni podróżnika przed upałem, przepuszczając przez liściastą zasłonę tylko nieliczne promienie słoneczne, które złocą zielone kobierce rozciągające się po obu stronach zakurzonej ścieżki i pył unoszący się w powietrzu.

Powietrze pachnie sokiem z liści i żywicą. Las, inaczej niż w nocy, jest przyjazny wędrowcom. Ścieżka wiję się pośród wyniosłych drzew, zachęcając, by po niej stąpać.

Nawoływania i piski ptaków odzywają się ponad głową. Słychać niecierpliwe stukanie dzięcioła niosące się pośród pni drzew. Czasem zza krzaka wyjrzy lis albo wiewiórka, popatrzy na człowieka obojętnie i pójdzie dalej swoją drogą.

Podczas marszu rozmawialiśmy ze „Szczurołapem” o tym, kiedy najlepiej zbierać grzyby, które z leśnych roślin są jadalne i jak tropić dzikie zwierzęta. Pies „Szczurołapa”, Burek, szedł kilka metrów przed nami z nosem przy ziemi. Co chwila schodził ze ścieżki i znikał w krzakach. Czasem szczekał, płosząc chmary ptaków, które zaniepokojone jego ujadaniem zrywały się do lotu i siadały wysoko na bezpiecznych gałęziach. Czasem zatrzymywał się i grzebał łapą w trawie albo w piasku i po chwili ruszał dalej.

Po czterdziestu minutach wędrowki szeroką i ubitą ścieżką skręciliśmy w leśną dróżkę. Las zgęstniał, było bardziej mroczno, rzadziej odzywały się ptaki. Nie przeszliśmy nawet kilometra, a ścieżka znikła, jak wysychający strumyk znika w piasku. Wreszcie weszliśmy w taką gęstwinę, że musieliśmy prawie przedzierać się przez gęste krzaki leszczyny, które szarpały nas za ubrania.

- Jeszcze chwilę, panie Pawle - powiedział „Szczurołap”, zobaczywszy, że mam spocone czoło. Odgarnął gałąź i oślepiło nas światło. Odzyskałem wzrok, ale ciągle jeszcze przed oczami tańczyły mi słoneczne mroczki. Zobaczyłem polankę zalaną światłem.

- To tutaj - powiedział „Szczurołap” zakreślając ręką koło jakby prezentował mi jakąś komnatę. - Mamy szczęście, że ostatnio nie padało. Jeśli się nam powiedzie, Burek chwyci trop. - Burek, piesku! - zawołał zwierzaka. - Chodź do pana!

Pies wyskoczył z chaszczy po drugiej stronie polany. Potknął się i wpadł nosem w kępę dmuchawców. Nasiona niesione na puchowych spadochronikach wzbiły się do góry bezkształtną chmurą i chociaż pies otrzepywał się energicznie i kichał, kilka z nich pozostało zaplątanych w jego czarnej sierści.

- Chodź tu, Burek - „Szczurołap” kucnął i ze śmiechem wyciągał nasiona z sierści psa. - Znów wlałeś w brodawniki, nie lubisz tego, co? - gadał do zwierzaka.

- W brodawniki? - zapytałem zaciekawiony.

- Nie zna pan tej nazwy? Na Podlasiu tak się mówi na mniszki lekarskie, to znaczy na mlecze... No, już jesteś czysty - powiedział do psa i podsunął mu pod nos jeden z niedopałków „Wisła”, który mu podałem.

- Szukaj, Burek, szukaj! - zachęcił go, a pies pomachał ogonem i zaczął przemierzać niewielką przestrzeń polanki z nosem przy ziemi. „Szczurołap” tymczasem podszedł do zdemolowanej przez Burka kępy brodawników i uważnie się jej przyglądał.

- Szkoda - rzekł po chwili. - Nie ma żadnych młodych listków. Zrobiłbym nam po powrocie sałatkę...

Wzdrygnąłem się na myśl o potrawie z mleczy. Nagle szczeknął pies. Obróciliśmy się jak na komendę. Burek obwąchiwał jakąś kępę liści i szczekał jakby chciał zwrócić naszą uwagę. „Szczurołap” podszedł do psa i przemówił do niego:

- Dobrze, Burek, brawo! Teraz szukaj dalej - poklepał go po głowie.

Pies, węsząc, ruszył w krzaki. Poszliśmy za nim. Przez ciemny las prowadziły nas raz dalsze, raz bliższe poszczekiwanie Burka. W końcu wydostaliśmy się z chaszczy i szliśmy teraz po zielonych trawnikach, pośród rzadko rosnących rozłożystych dębów i buków. Daleko majaczyła czarna sylwetka Burka. W końcu pies się zatrzymał. Doszliśmy do niego po trzech minutach i zobaczyliśmy, że stoi przy niewielkiej, może pięciocentymetrowej kupce ziemi obłożonej trawą. Na przemian to szczeakał na kopczyk, to potraçał go nosem.

- Znalazł coś! - wykrzyknął Leśny Człowiek.

Sięgnął do torby, którą niósł na ramieniu i wyjął z niej kawałek boczku, który rzucił Burkowi. Pies chwycił mięso w locie, usiadł pod drzewem i wbił zęby w bekon. „Szczurołap” wydobyl z torby saperkę. Kucnałem obok i przyglądałem się temu co robił.

- Ktoś musiał tu kopać niedawno... - powiedział, delikatnie odgarniając z kopczyka wyrwane z korzeniami kępy trawy i delikatnie nabijając powierzchnię górki ostrzem saperki. - Ziemia jest miękka i świeża.

- Tylko ostrożnie - powiedziałem.

Chwilę trwało, zanim ostrze saperki „Szczurołapa” trafiło na coś twardego. Leśny Człowiek sięgnął do sporej już dziury.

- Eee... to tylko kamień - powiedział zawiedziony i odrzucił niewielki skaień.

Nagle z dziury dobiegł nas jakiś dźwięk. Coś pomiędzy piskiem a kłasknięciem. Znałem ten odgłos.

- Słyszał pan to? - zapytał „Szczurołap” napięty ja struna.

- Tak. To śmieszne, ale zabrzmiało zupełnie jak komórka, w której wyczerpuje się bateria...

Nie pomyliłem się. Po chwili „Szczurołap” wydobyl z dziury oblepiony ziemią aparat telefoniczny i podał mi go. Komórka ponownie zapiszczała w mojej ręce, a na wyświetlaczu pojawiła się informacja, że „bateria jest słaba”.

- Zdążyliśmy w ostatniej chwili - powiedziałem. - Na wskaźniku baterii została jedna kreska. Jeszcze parę minut i telefon byłby zablokowany. Nie zdążymy jej naładować, zanim się wyczerpie. Musimy działać!

- Niech pan wybierze ostatnie połączenie - doradził „Szczurołap”.

Poszedłem za jego radą. Wybrałem numer opisany w komórce jako „TZD”. Na szczęście w tej części lasu był zasięg i po chwili usłyszałem ciągły sygnał. Ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę.

- Towarzystwo Ziemi Drohiczyńskiej, słucham - powiedział kobiecy głos.

Potem komórka kilka razy zapiszczała, bateria „padła”, połączenie zerwało się.

- I co, i co? - dopytywał się niecierpliwie „Szczurołap”. - Ma pan coś?

- Chyba tak... - uśmiechnąłem się do siebie, bo klocki układanki powoli zaczynały zajmować swoje miejsce w mojej głowie. Powiedziałem towarzyszowi, co usłyszałem w telefonie.

- Ale co ma z tym wspólnego jakieś Towarzystwo z Drohiczyzna?

- Jeszcze do końca nie wiem, ale mam zamiar to sprawdzić - rzekłem i w tym momencie odezwała się komórka. Tym razem moja.

Dzwonił lekarz ze szpitala w Siedlcach.

- Dzień dobry panu - powiedział. - Jan Surdykowski odzyskał przytomność. Jest jeszcze bardzo słaby, ale myślę, że będzie pan mógł zamienić z nim kilka słów.

Wróciliśmy szybko pod chatę „Szczurołapa”. Podziękowałem Leśnemu Człowiekowi za pomoc i obiecałem informować go o postępach śledztwa.

W szpitalu byłem po czterdziestu minutach.

- Właściwie nie powinienem panu pozwolić się z nim spotkać - tłumaczył lekarz - ale dobrze panu patrzy z oczu... Proszę go tylko za bardzo nie męczyć. Ma pan najwyżej pięć minut.

Wszedłem do małego pokoiku. Jan Surdykowski leżał z zamkniętymi oczami. Jego twarz wyglądała jakby zwiotczałą skórę naciągnięto niezbyt dokładnie na wąską czaszkę. Usiadłem cicho na krzeselku obok łóżka. Chory powoli otworzył oczy. Zobaczył mnie i zrobił przerażoną minę:

- Ja nie ukradłem el Greca... - wyszeptał zachrypniętym głosem, podnosząc się na łokciach.

- Wiem, panie Janie - powiedziałem łagodnie. - Nie przyszedłem tu, żeby pana oskarżać...

Odetchnął z ulgą i opadł znowu na łóżko.

- Jestem na tropie złodziei - rzekłem, a w oczach chorego pojawiła się iskierka zainteresowania.

- Zadam panu tylko jedno pytanie. Zgoda?

- Proszę pytać.

- Czy pamięta pan, kto przekazał mu informacje o tym, że Muzeum Diecezjalne zamierza wymienić się obrazami z Muzeum Prado?

Przełknął ślinę. Zamknął i otworzył oczy. Wpatrywał się chwilę w sufit, jakby próbował sobie coś dokładnie przypomnieć.

- Nie widziałem jego twarzy - powiedział wreszcie. - Miał na sobie czarną bluzę z kapturem. Zauważyłem go obok mojego płotu któregoś ranka, jakieś dwa tygodnie temu. Żona już pojechała do pracy. Przywołał mnie gestem do siebie i opowiedział o wymianie z Muzeum Prado. Zakazał mi za sobą iść. Nigdy więcej go nie widziałem.

- Jakiego był wzrostu.

- Bo ja wiem? Koło metra osiemdziesięciu, może troszkę więcej.

- Zapamiętał pan jego głos?

- Był normalny. Ani za niski, ani za wysoki.

- Dziękuję, panie Janie... Bardzo mi pan pomógł - powiedziałem.

Życzyłem mu zdrowia i wyszedłem.

Odwiozłem komórkę znaną w lesie inspektorowi Tomaszewskiemu, żeby poddał ją badaniom, a potem poszedłem na pocztę, żeby sprawdzić numer telefonu do Towarzystwa Ziemi Drohiczyńskiej. Zadzwoiłem tam zaraz, po wyjściu z urzędu. Odebrała ta sama osoba co przed kilkudziesięcioma minutami.

- Towarzystwo Ziemi Drohiczyńskiej, słucham?

- Dzień dobry pani - powiedziałem uprzejmie do słuchawki. - Jestem nowym mieszkańcem Drohiczyzna. Wprowadziłem się tydzień temu. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na temat mojego nowego miejsca zamieszkania i dlatego dzwonię do państwa.

- Świetnie pan zrobił. I ma pan szczęście. Akurat dzisiaj odbywa się nasze cotygodniowe spotkanie. Jeśli zechciałby pan nas odwiedzić...

- O której mam być?

- O dwudziestej - rzekła i podała mi adres.

Schowałem komórkę i zatarłem ręce. Jakiś przechodzień spojrzął na mnie ze zdziwieniem, wyprostowałem się więc i godnie doszedłem do wehikułu. Wsiadłem, zapiąłem pasy i ruszyłem z

kopyta. Uśmiechnąłem się do siebie. Rozpoczęła się decydująca rozgrywka!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NA ZEBRANIU, CZYLI O LOKALNYM PATRIOTYZMIE * KOPAĆ CZY NIE KOPAĆ, OTO JEST PYTANIE * SZEFEK JEST, ALE NIE CHCE MNIE PRZYJĄĆ * PRZERWANY POŚCIG * ZNAJOMA TWARZ POLICJANTA * SPACER WICEDYREKTORA HERRERY

Pod adresem, który podała mi kobieta z Towarzystwa Ziemi Drohiczyńskiej stał piętrowy drewniany domek pomalowany na brązowo. Trójkątny daszek kryjący ganek, który zdawał się wystawać z prostopadłego do niego dwuspadowego dachu budynku, wspierał się na dwóch prostych podporach.

Zapukałem do drzwi punktualnie o godzinie dwudziestej. Otworzyła niska blondynka, która przywitała mnie głosem dziewczyny, z którą wcześniej rozmawiałem przez telefon. Na oko miała dwadzieścia kilka lat. Była bardzo drobna, ubrana w białą koszulkę i czarną spódnicę. Na włosach miała plastikową opaskę.

- Dzień dobry pani. To ja jestem tym nowym mieszkańcem naszego, jeśli tak mogę się już wyrazić, miasta, który zawracał pani głowę dzisiaj po południu.

- Aaa... Pamiętam - uśmiechnęła się sympatycznie. - Zapraszam do środka. Spotkanie zaraz się rozpocznie. Zobacz pan, czy się panu u nas spodoba.

- Z pewnością mi się spodoba - rzekłem przymilnie.

Poprowadziła mnie do wielkiej sali, która musiała zajmować chyba większą część budynku. Na ścianach wisiały zdjęcia z różnych okresów historii Drohiczyzna. Moją uwagę zwróciła fotografia rynku z 1916 roku, a więc tuż przed odzyskaniem niepodległości. Widać było niskie budynki z dwuspadowymi dachami pokryte nierównymi łatami dachówek w różnych odcieniach. Ściany domów były brudne, rynek przypominał klepisko, a wznosząca się ponad niewysokimi zabudowaniami katedra miała odrapane ściany, zupełnie nie przypominające dzisiejszych płatów bieli. Postacie na zdjęciu były niewyraźne. Można było rozpoznać co najwyżej stojącego na pierwszym planie podpierającego się laską Żyda w chałacie, z pejsami i w czapce. Ale i on, tak jak i reszta ludzi uchwyconych przez fotografa miał w sobie coś niematerialnego, bardziej przypominał ducha niż człowieka z krwi i kości.

Moja przewodniczka lekko trąciła mnie w ramię i dała oczami znak, bym usiadł. Zająłem miejsce na składanym drewnianym krześle w ostatnim rzędzie. Przede mną w kilkunastu szeregach siedziało już co najmniej trzydzieści osób.

Obecni rozmawiali ze sobą półszepceni albo wpatrywali się w drugi koniec sali, gdzie na niewielkim wzniesieniu stała trybuna. Na razie pusta. Ścianę za trybuną zakrywała wielka płachta z wymalowanym na niej herbem miasta.

Nie minęło pięć minut, a płachta wybrzuszyła się i zza drzwi, zapewne za nią ukrytych, wyszedł wychudzony osobnik w grubych okularach z kilkoma kartkami papieru. Miał twarz suchotnika. Trochę się garbił. A chociaż jego oblicze było młode, zdążył nieco wyłysieć, co skwapliwie starał się ukryć uczesaniem „na pożyczkę”. Powolnym krokiem, nie patrząc na nikogo ze zgromadzonych, wszedł na

trybunę, odkaslnął w pięść, rozłożył przed sobą kartki i odezwał się.

- Uhm, uhm... Witam szanownych państwa na pięćset osiemdziesiątym spotkaniu naszego Towarzystwa - głos miał, jak na swój wygląd, zadziwiająco mocny i niski. - Dzisiaj mamy w porządku dziennym dwa punkty. Zaczniemy może od sprawy trochę, uhm, uhm, kontrowersyjnej...

Chodzi oczywiście o projekt wykopalisk na Górze Zamkowej. Oddaję głos panu Zbigniewowi Tofilukowi.

Na te jego słowa z pierwszego rzędu podniósł się postawny mężczyzna około czterdziestki. Miał na sobie dżinsy, skórzaną kamizelkę z frędzlami, pod nią flanelową koszulę, a na głowie kowbojski kapelusz. Duże usta okalał zarost, w kąciку ust niespokojnie tańczyła wykałaczką. Kowboj wyjął ją przejechał dłonią po wargach, włożył znowu do ust wykałaczkę, która natychmiast na nowo rozpoczęła swój taniec.

Kowboj chwiejnym krokiem wspiął się na podest. Wystarczyło spojrzenie, żeby jegomość z pożyczką i w okularkach ustąpił mu miejsca za trybuną. Mężczyzna w kowbojskim kapeluszu poruszył ramionami, jakby coś z nich strzepywał, pociągnął nosem i oparł wielkie dłonie o brzegi trybuny. Wyjął z ust wykałaczkę i wsadził ją sobie za ucho. Wypuścił powietrze furkoczając ustami i spojrzał na salę.

- Szanowni miłośnicy ziemi drohiczyńskiej - głos miał zdecydowany i mocny. - Dwa miesiące temu zgłosiłem projekt, który poparliście. Zgadza się?

Z sali poleciały ku niemu nieliczne ciche potakiwania. Kowboj spojrzał na salę z pogardą i cmoknął, ale mówił dalej.

- Zgodziliście się, że w każdej legendzie jest ziarno prawdy. A w naszym mieście żywa jest legenda, że gdzieś w środku Góry Zamkowej zakopana jest złota trumna Skomanda, ostatniego wodza walecznych Jaćwingów. Zgadza się?

Tym razem nie odezwał się prawie nikt. W oczach kowboja pojawił się gniew. Ręce zacisnęły się mocniej na krawędziach trybuny.

- Napisaliśmy do odpowiednich władz prośbę o pozwolenie na wykopaliska - mówił dalej. - A oni nam odpisali, że nie jesteśmy archeologami i zakazali nami grzebać w ziemi - w jego głosie była teraz gorycz, która szybko przeszła w agresywny ton: - Dlatego uważam, że powinniśmy zebrać się i zacząć kopać na Górze Zamkowej w nocy. Zgadza się?

- Nie - odezwał się czyjś głos i spośród osób siedzących przede mną wstał starszy człowiek o wyglądzie urzędnika. - Nie zgadzam się na to! - patrzył śmiało na kowboja, który już nie hamował emocji. Spod ściągniętych brwi strzeliło w kierunku śmiałka gniewne spojrzenie.

- Co? - warknął kowboj i uderzył pięścią w blat trybuny tak mocno, że stojąca na nim karafka zachwiała się niebezpiecznie. - Jak to: nie zgadzam się?

- Zwyczajnie - powiedział urzędnik. - Uważam, że nielegalne wykopaliska to przesada. Jeśli już traktować legendę o trumnie Skomanda poważnie, sprawą powinni zająć się archeolodzy. Nie możemy w imię ciekawości i żądzy sławy niszczyć skarbów naszej ziemi!

Kilka stłumionych głosów poparło tę wypowiedź.

- Uhm, uhm... - odezwał się z boku przygarbiony człowiek w okularach. - Proponuję przegłosować sprawę.

Kowboj spojrzał na niego pogardliwie, ale przytaknął skinieniem głowy.

- Kolego Majewski? - prowadzący zebranie zwrócił się do ciągle stojącego człowieka o powierzchowności urzędnika.

- To sprawiedliwe rozwiązanie - rzekł Majewski i usiadł.

- W takim razie głosujemy... - okularnik już zajął miejsce na trybunie. - Kto jest za wnioskiem kolegi Tofiluka, żeby rozpocząć nocne wykopaliska?

Oprócz ręki kowboja podniosło się pięć czy sześć dłoni. Okularnik przeliczył ręce.

- Siedem głosów. Dobrze. Kto jest za propozycją kolegi Majewskiego?

Rąk było dużo więcej.

- Dwadzieścia pięć głosów. Przykro mi, kolego Tofiluk...

Ale kowboj już nie słuchał. Wstał obrażony, splunął na podłogę i w towarzystwie trzech podobnie ubranych ludzi, opuścił salę zebrań.

- Ehm, ehm... - prowadzący spotkanie kaszlnął zakrywając usta ręką.

- Przejdźmy może do drugiego punktu porządku dziennego.

Dalsza część zebrania nie była już tak ciekawa, jak pierwsza. Omawiano przygotowania do zbliżającej się konferencji naukowej na temat dziejów Drohiczyzna, zastanawiano się skąd wziąć środki na imprezy plenerowe, które miały odbyć się latem. Wreszcie zebranie się skończyło. Sala opustoszała. Człowiek o powierzchowności urzędnika zniknął, pojawiła się za to kobieta, którą spotkałem przy drzwiach.

- I jak, podobało się panu? - zapytała.

- Bardzo pouczające zebranie - odpowiedziałem. - Chciałbym zostać członkiem Towarzystwa.

Co muszę zrobić?

Kobieta podeszła do trybuny na podwyższeniu i wyjęła spod blatu arkusz papieru.

- Proszę to wypełnić - powiedziała wręczając mi go. - To ankieta rekrutacyjna.

- Czy mógłbym zobaczyć się z szefem Towarzystwa?

- Niech pan najpierw wypełni ankietę, a później zobaczymy - powiedziała i zabrała się do sprzątanania sali po zebraniu.

Szybko wypełniłem rubryczki i oddałem pismo kobiecie. Rzuciła na nie okiem, pokiwała głową.

- Niech pan chwilkę zaczeka - powiedziała i zniknęła w drzwiach po lewej stronie podwyższenia.

Nie było jej dziesięć minut, a kiedy wróciła, w jej oczach dostrzegłem ostrożność i nieufność.

- Pańska kandydatura zostanie przedstawiona na następnym zebraniu Towarzystwa - powiedziała.

- Czy nie mógłbym jednak... - próbowałem dalej.

- Nie, nie mógłby pan... - stała się nagle opryskliwa. - Proszę już iść - spojrzała podejrzliwie i jakby z gniewem.

Obróciła się na pięcie tak, że długa spódnica utworzyła na chwilę coś w rodzaju klosza. Kobieta wzięła do ręki miotłę na długim kiju. W milczeniu, nie patrząc już na mnie, zaczęła wymiatać kurze.

Wyszedłem, wsiadłem do wehikułu i odjechałem. Niedaleko jednak.

Zaparkowałem za rogiem, w uliczce z dwóch stron otoczonej wysokim żywopłotem. Zostawiłem wehikuł kilka metrów w głębi, a sam, z lornetką w ręce, stanąłem przy dziurze w żywopłocie.

Miałem stąd doskonały widok na siedzibę Towarzystwa. Po półgodzinie na ganku zjawił się wysoki mężczyzna w czarnej bluzie z kapturem, który zasłaniał jego twarz. Mężczyzna zapalił papierosa. Drgnąłem i listki żywopłotu zaszeleściły. Czy mężczyzna usłyszał ten odgłos, czy zaniepokoiło go coś innego, dość że nerwowym ruchem wyrzucił papierosa, nie przydeptując go, wsiadł do granatowego malucha stojącego przy chodniku i odjechał.

Wskoczyłem do wehikułu i ruszyłem jego śladem. Zauważył mnie szybko i, klucząc uliczkami,

wyjechał w końcu na drogę do Siedlec. Na razie nie przyspieszałem, bo wydawało mi się, że granatowy maluch człowieka w kapturze nie ma żadnych szans z wehikułem. Jakże się myliłem!

Zapadła już noc. Jechaliśmy jakiś czas wśród pól, przez uśpione wioski i zagajniki. Byliśmy jakieś dwadzieścia kilometrów od Siedlec, w szczerym polu, kiedy maluch przyspieszył. Wcisnąłem czerwony guzik na desce rozdzielczej, który uruchamiał tryb rajdowy i zmieniał nasz ministerialny pojazd w pogromcę szos. Nie minęło kilka sekund, a siedziałem maluchowi na ogonie. Licznik prędkości pokazywał 105 kilometrów na godzinę.

Odbiłem w lewo, próbując go wyprzedzić, ale zajechał mi drogę. Błyskawicznie skontrolowałem w prawo, ale i tym razem kierowca granatowego malucha był szybszy. Mój samochód stracił trochę stabilności i żeby znów jechać prosto, musiałem przyhamować. Maluch błyskawicznie odjechał dwieście metrów ode mnie. Znów go dogoniłem, wcisnąłem klakson i ruszyłem do przodu. O dziwo! Maluch co prawda nie zwalniał, ale pozwolił mi się wyprzedzić.

Nie zdążyłem jednak nacieszyć się zwycięstwem, bo po prawej stronie drogi zobaczyłem odblaskowy lizak, którym machał policjant z drogówki. Wyhamowałem z piskiem opon, pozwalając się wyprzedzić granatowemu maluchowi, który wykorzystał okazję i pomknął w noc. Zawróciłem i stanąłem przy ukrytym w krzakach radiowozie. Uchyliłem szybę. W oknie pojawiła się gładko wygolona twarz policjanta. Oblicze stróża prawa wydało mi się znajome.

- Szalejemy sobie po nocy, co? - powiedział wesoło funkcjonariusz. - Nie ma pan stracha, że ta samoróbka rozleci się po drodze? - ledwie tłumił śmiech. - Prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Podąłem mu dokumenty. Policjant zabrał papiery i poszedł do radiowozu. Czekałem dwadzieścia minut, zanim wrócił. Razem z dokumentami podał mi przez okno mandat na dwieście złotych.

- Zazwyczaj pan tak nie szarżuje... - podrapał się w szyję. - Sprawdziliśmy to w bazie. Dlatego mandat jest niski. Szerokiej drogi! - zsalutował z ironicznym uśmiechem, klepnął wehikuł, jakby był koniem, schował się znów za krzakiem i wycelował w pustą drogę ręczny radar.

Wsadziłem dokumenty za osłonkę przeciwsłoneczną nad przednią szybą i wściekły ruszyłem do Siedlec. Włączyłem radio. Cichy szum radia uspokoił mnie trochę. Odruchowo rzuciłem okiem w stronę ukrytego mandatu i nagle przypomniałem sobie, skąd znam twarz policjanta, który zatrzymał mnie przed chwilą!

Gniew prawie mnie oślepił.

Zwolniłem i stanąłem na poboczu, żeby ochłonać. Wysiadłem z wehikułu i usiadłem na masce. Nocne powietrze, pachnące sianem, ochłodziło głowę.

„Jak mogłeś dać się tak nabrać? Czemu od razu go nie rozpoznałeś? Czemu od razu nie zorientowałeś się, że ten policjant to fałszywy wicedyrektor Muzeum Prado, Juan Herrera y Pacheco, tyle że bez brody?” - wyrzucałem sobie.

Dotarło do mnie, że nocny patrol policji nie pojawił się na drodze przypadkowo. Że czekał tu na mnie, żeby umożliwić ucieczkę kierowcy granatowego malucha, który zapewne był szefem szajki. Zorientowałem się też, o zgrozo, że nie zapamiętałem numeru rejestracyjnego malucha. Zlekceważyłem przeciwnika, sądząc, że bez problemu go dopadnę szybszym wehikułem. Tymczasem zostałem sprytnie wyprowadzony w pole. „Tablice rejestracyjne były pewnie fałszywe. No i przynajmniej nie będziesz musiał płacić tego mandatu” - pomyślałem wsiadając do wehikułu.

Ruszyłem z powrotem do Drohiczyzna. Fałszywy radiowóz zniknął. Wysiadłem i zbadałem miejsce, gdzie stał, licząc na to, że odnajdę jakieś ślady. Tym razem jednak przestępcy, nauczeni chyba doświadczeniami z napadu na furgonetkę wiozącą obrazy z Muzeum Prado, nie zostawili

żadnych śladów. Tylko pognieciona trawa w miejscu gdzie stał samochód, świadczyła o tym, że przed chwilą tu byli.

Do Drohiczyzna dotarłem około północy. Zaparkowałem wóz w bocznej uliczce, z której wcześniej obserwowałem budynek Towarzystwa i przyjrzałem się budynkowi. W żadnym z okien nie paliło się światło. Dom wyglądał na opuszczony.

Wziąłem latarkę z wehikułu i ostrożnie przekradłem się w stronę budynku. Przed gankiem kucnąłem i oświetliłem wydeptaną ziemię przed wejściem. Dopiero po kilku minutach mój „szperacz” oświetlił to, co miałem nadzieję tu znaleźć. Pod krzakiem po lewej stronie od wejścia leżał wypalony do połowy papieros. Podniosłem niedopałek.

Filtr, nad którym widniał napis „Wisła”, był przygryziony.

Położyłem się w śpiworze o drugiej, ale nie mogłem zasnąć. Czułem, że jestem blisko rozwikłania zagadki kradzieży el Greca. Przedstawienie, które przed dwoma godzinami odegrano przede mną na drodze do Siedlec spowodowało, że szef złodziei zdołał zbiec, ale przestępcy ratując go, mocno się odkryli. Zaryzykowali dekonspiracją fałszywego dyrektora Herrery i tylko utwierdzili mnie w przekonaniu, że Towarzystwo Ziemi Drohiczyńskiej ma z tą sprawą wiele wspólnego. A błąd, którym było pozostawienie niedopałka papierosa „Wisła” przed gankiem Towarzystwa przez człowieka w czarnym kapturze, upewnił mnie, że jego osobę trzeba wiązać z kradzieżą.

Moje działania nareszcie przyniosły efekt. Złodzieje wpadli w panikę i zaczęli popełniać błędy! Uśmiechnąłem się do siebie i zatarłem ręce. Położyłem głowę na złożonej bluzie, która służyła mi za poduszkę i zastanawiałem się, co robić dalej. Opadły mnie wątpliwości. Chociaż udało mi się trafić na obiecujący trop, ciągle nie miałem dowodów, które mógłbym przedstawić policji. Ciągle też nie opuszczało mnie przekonanie, że w tej sprawie chodzi o coś więcej niż o zwykłą kradzież.

Ta niska cena, którą wyznaczili za bezcenne arcydzieło, historia z aukcją... Poza tym przestępcy zachowywali się dziwnie, zupełnie inaczej niż większość złodziei, z którymi dotychczas miałem do czynienia. Nie używali przemocy. Woleli uciekać albo stosować fortele.

Czułem się jak bohater sensacyjnego filmu, w którym każda odkryta tajemnica ujawnia dziesięć nowych zagadek. W półśnie wyobraziłem sobie siebie jako szpiega w szarym prochowcu z postawionym kołnierzem i kapeluszem na głowie. Krążyłem po mieście, ścigany przez rozmazane cienie ubrane tak samo jak ja. Skręcałem w bramy, wyszukiwałem zaułki, zmieniałem taksówki, ale prześladowcy nie opuszczali mnie na krok. W końcu wszedłem do budki telefonicznej, żeby zadzwonić po pomoc. Sięgnąłem po czarną słuchawkę i doznałem olśnienia. Już wiedziałem, jak można zidentyfikować szefa Towarzystwa Ziemi Drohiczyńskiej! Sztuczka była banalnie prosta i ograna, ale mogła się w tej sytuacji sprawdzić. Musiałem tylko poczekać, aż wstanie nowy dzień, żeby ją wypróbować. Poczulem zniecierpliwienie, że nie mogę tego zrobić od razu, ale byłem na szczęście tak zmęczony, że po kilku minutach obracania się z boku na bok, zasnąłem kamiennym snem bez widziadeł.

Nie dane mi było długo pospać.

Obudziło mnie jakieś szuranie przy wejściu do namiotu. Spojrzałem na fluoryzujące wskazówki zegarka. Wskazywały dwadzieścia po drugiej. Ziewnąłem i ułożyłem się do snu, ale szuranie przy wejściu powtórzyło się, a potem rozległ się szept:

- Panie Pawle, niech się pan obudzi...

To był głos Agnieszki! Wygrzebałem się ze śpiwora i na czworakach poszedłem do wyjścia.

Otworzyłem zamek i wyjrzałem na zewnątrz. Oślepiło mnie światło latarki.

- Nie świeć po oczach, dziewczyno! - warknąłem, ale zaraz się zreflektowałem i dodałem grzeczniejszym tonem: - Przepraszam, mam dziś problemy z zaśnięciem... O co chodzi?

- Jak to o co chodzi? - dziewczyna była zdziwiona. - Nie chce się pan dowiedzieć, co dzisiaj robił Herrera?

- A tak... - przypomniałem sobie o misji, którą wyznaczyłem młodemu pomocnikowi. - Właźcie do środka.

Agnieszka i „Dylan” zdjęli buty, weszli do namiotu i usiedli w kucki.

- Martwiliśmy się o pana - powiedział „Dylan”.

- Powiedzieć, że się martwiliśmy to mało - zachnęła się dziewczyna. - Umieraliśmy ze strachu!

- Ale jak widać nic mi się nie stało - powiedziałem wesołym tonem.

- Co pan robił cały dzień? - zapytała Agnieszka.

Opowiedziałem im o wyprawie do lasu ze „Szczurołapem”, o zebraniu Towarzystwa Ziemi Drohiczyńskiej, nieudanym pościgu za „maluchem”, fałszywym mandacie i przygryzionym papierosie.

- Noo - Agnieszka wypuściła powietrze. - Niezły plon. Ale my też coś dla pana mamy.

- No właśnie, opowiadajcie!

- No więc, jak nas pan wysadził przy tym hoteliku, poszliśmy do kawiarenki, która jest tam na dole...

- Mają pyszne lody... - powiedział rozmarzonym tonem „Dylan”.

Agnieszka zbombardowała go wzrokiem. Jej towarzysz spuścił oczy i zamilkł, a dziewczyna mówiła dalej:

- Z tego Herrery jest straszny śpioch. Zszedł na dół dopiero o dwunastej. Najpierw poszedł na rynek i zjadł śniadanie w takiej małej restauracyjce na północnej pierzei.

- Wspaniała kawa, polecam panu - wtrącił się „Dylan” patrząc na mnie, ale dziwnie kręcąc głową jakby chciał spojrzeć na koleżankę.

Dziewczyna zacisnęła usta, fuknęła groźnie, ale nie zareagowała na zaczepkę.

- Włóczyliśmy się za nim jeszcze jakiś czas po mieście...

- Zjedliśmy świetnego kebaba, przy takiej małej uliczce...

- Słuchaj, „Dylan” - Agnieszka mówiła przez zaciśnięte zęby. - Jeśli chcesz, to możesz sam opowiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło. Ze wszystkimi kulinarnymi szczegółami, z opisem sosów, które masz jeszcze na ubraniu...

Chłopak zaczął nerwowo lustrować swoją garderobę.

- Przejdę od razu do najważniejszego, bo on nigdy nie pozwoli mi skończyć - westchnęła i spojrzała zmęczonym wzrokiem na „Dylana”. - Nie wiem, co go dzisiaj napadło. Gada jak najęty.

Około czwartej po południu Herrera poszedł do kaplicy Świętego Krzyża, która stoi w pobliżu pałacu Ogińskich. Podeszliśmy blisko jak tylko się dało i patrzyliśmy zza drzewa co robi. Zanim wszedł do kaplicy, uważnie się rozejrzał, jakby bał się, że go ktoś śledzi. Nie było go jakieś dziesięć minut. Wszedł bardzo zadowolony, jakby załatwił w ważną sprawę. Zdziwiło to nas, bo w kaplicy jest przecież krypta jej fundatorki, księżnej Aleksandry Ogińskiej... Potem Herrera poszedł do hotelu. Nie wychodził stamtąd do dwudziestej, chyba że przez okno. Potem już poszliśmy, bo baliśmy się, że Malinowski zmyje nam głowy.

- Świetnie się spisaliście - pochwaliłem ich. - Dyrektor Herrera zrobił dokładnie to, na co liczyłem...

Moim pomocnikom odebrało na chwilę mowę.

- Pan... pan... - Agnieszka nie mogła znaleźć słów. - Pan wiedział, dokąd on pójdzie? To po co kazał pan nam go śledzić?

- Trochę mnie przeceniasz... - rzekłem. - Podejrzewałem, że Herrera będzie się jakoś kontaktował z ludźmi, którzy ukradli el Greca. Nie wiedziałem tylko, w jaki sposób się porozumiewają...

- I co, teraz już pan wie? - powiedział „Dylan”.

- Wiem.

- Skąd? - zapytała Agnieszka.

- Sama mi przed chwilą powiedziałaś.

- Ja... panu? Jak to? - nagle na jej twarzy pojawił się błysk zrozumienia. - No jasne, to przecież banalnie proste.

- Wykrztusicie to z siebie wreszcie czy nie? - zdenerwował się „Dylan”.

- Chodź, matolku, pan Paweł jest wykończony - zmierzwiła jego czuprynę zadowolona. - Opowiem ci po drodze do obozu... Dobranoc, panie Pawle - rzuciła stojąc już na dworze - ...i miłych snów!

Zanim ułożyłem się do snu, zadzwonił inspektor Tomaszewski. Komórka, którą znaleźliśmy ze „Szczurołapem” w lesie była na kartę, więc nie można było stwierdzić, do kogo należała. Nie było też na niej oczywiście ani odcisków palców, ani DNA.

Opadłem ciężko na „poduszkę”.

Chociaż bardzo chciało mi się spać, nie byłem w stanie zmrużyć oka. Obmyślałem plan dalszego działania do czasu, aż w koronach drzew ponad moją głowę nie odezwało się poranne „gadanie” ptaków.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

STARA SZTUCZKA * KTO UKRADŁ EL GRECA? * POPIELNICZKA PEŁNA NIEDOPALKÓW * BRAK DOWODÓW * ŚWIEŻY WERNIKS * WYMIARY * PORYWCZY STOLARZ * ZOSTAJĘ WŁAMYWACZEM, ALE NIC NIE KRADNĘ * TAJEMNICZY KUFER

Rano, ledwie się obudziłem, popędziłem wehikułem do Siedlec. Zaparkowałem przed muzeum i pieszo ruszyłem do miasta w poszukiwaniu budki telefonicznej, która znajdowałaby się na uboczu. Znalazłem taką na tyłach rynku. Przyłożyłem do mikrofonu chusteczkę i wybrałem numer.

- Towarzystwo Ziemi Drohiczyńskiej, słucham? - głos rozmówcy po drugiej stronie należał do dziewczyny, która wzięła od mnie wczoraj podanie o przyjęcie w poczet członków organizacji.

- Jestem lokalnym biznesmenem - powiedziałem czując jak pot spływa mi po skroni. - Chciałbym sponsorować Towarzystwo... - sekunda, która upłynęła, zanim dziewczyna znów się odezwała, była dla mnie wiecznością, ale chyba nie rozpoznała mojego, zniekształconego przez chusteczkę, głosu.

- Takie sprawy załatwia się u nas z szefem... - powiedziała, a ja zacisnąłem pięść w geście triumfu. Ryba wzięła!

- Więc proszę podać mu słuchawkę...

- Szefa w tej chwili nie ma, będzie wieczorem, około dziewiętnastej...

- Proszę pani, jutro wyjeżdżam na miesiąc za granicę, muszę się z nim skontaktować dzisiaj.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Przestraszyłem się, że przeszarżowałem i niczego się nie dowiem, ale na szczęście zamiast szczęku odkładanej słuchawki, usłyszałem głos dziewczyny:

- Ma pan coś do pisania? Podam panu numer telefonu do jego pracy.

- Chwileczkę - sięgnąłem po notes i dodałem. - Jestem gotów.

Przedyktowała cyfry.

- Dziękuję, a jak się nazywa pani szef? - zapytałem.

A dziewczyna wymieniła imię i nazwisko, które sprawiło, że wiele rzeczy stało się nagle łatwych do wyjaśnienia. Postanowiłem pójść do niego od razu.

Po drodze kupiłem paczkę papierosów, odpieczętowałem ją i wyrzuciłem kilka sztuk do kosza. Schowałem paczkę do kieszeni i po kilku minutach stałem przed drzwiami.

Zapukałem delikatnie. Znajomy głos zaprosił mnie do środka. Uchyliłem drzwi i wszedłem do skromnie urządzonego gabinetu. Za biurkiem pamiętającym jeszcze czasy PRL-u, pod sporym obrazem przedstawiającym widok Siedlec, siedział Roman Bogusz. W pomieszczeniu poczułem dziwny zapach, ale podniecony rozwiązaniem zagadki, zignorowałem go.

- Dzień dobry, kustoszu - odezwałem się od drzwi.

- Dzień dobry, panie Pawle! - pracownik muzeum ucieszył się na mój widok. - Co pana do mnie sprowadza? - zapytał.

- Wpadłem na nowy trop w sprawie el Greca... - starałem się nadać swojemu głosowi obojętny ton - ...i chciałem go z panem przedyskutować.

- Proszę usiąść - wskazał na fotel stojący przed jego biurkiem.

Siadłem i sięgnąłem do kieszeni po papierosy.

Otworzyłem paczkę i wyciągnąłem ją w stronę kustosza.

- Zapali pan?

Na ułamek sekundy oczy Bogusza stały się czujne, ale już po chwili pojawiło się w nich znów nieco melancholijne rozmarzenie.

- Chętnie - powiedział i sięgnął po papierosa. Przytrzymał go chwilę w palcach obu rąk, przyglądając mu się uważnie, a potem włożył do ust i przypalił.

- Dziwne - powiedziałem - bardzo dziwne... - odchyliłem się w fotelu patrząc na kustosza wyzywająco.

Nie odpowiedział. Przyglądał mi się tylko z łagodnym zdziwieniem, zaciągając się mocno. Nie strzepywał popiołu, chociaż spalona część papierosa miała już ze dwa centymetry.

- A więc - kustosz nie spuszczał ze mnie wzroku, ciągle nie strzepując popiołu. - O jakim tropie chciał mi pan opowiedzieć?

- Jest pan bardzo inteligentnym i przebiegłym człowiekiem - rzekłem. - Ale ma pan słabości jak wszyscy. Nałóg pana zdradził... - nie dałem wytrącić się z równowagi.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - powiedział. Zaśmiał się nerwowo.

Sytuacja wyglądała coraz bardziej groteskowo. Kustosz prowadził ze mną rozmowę, nie zważając na to, że popiół spadł na jego biurko, kiedy przysunął papierosa do ust.

- Proszę strącać popiół do popielniczki... - powiedziałem, pochylając się w jego stronę. - Wiem, że wszystkie niedopałki, które tam pan wrzucił, mają przygryzione filtry. Nie przygryzając papierosa, którego przed chwilą panu podałem, próbował mi pan zasugerować coś innego...

Kustosz zgasił papierosa w popielniczce pełnej przygryzionych niedopałków, wstał i podszedł do okna. Położył ręce na parapecie i przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń.

Nie odwracając się powiedział cicho i spokojnie:

- Bardzo mi przykro, że tak źle mnie pan ocenia. I to bez żadnych dowodów.

- Fakt. To z kolei mój błąd. Powinienem być na miejscu, gdzie „Szcurołap” znalazł niedopałek sprowadzić policję. Wyniki badań DNA mogłyby być bardzo ciekawe...

- Nic pan nie rozumie - obrócił się ze smutnym uśmiechem.

- Gdzie jest obraz? - zapytałem ostro.

- Jaki obraz?

- Niech pan nie udaje, że nie wie, o czym mówię...

- Jedyne obraz, jaki posiadam - powiedział powoli wskazując na malowidło za swoimi plecami - to ten pejzaż Siedlec. Jak się panu podoba?

Spojrzałem na dzieło. Chociaż namalowane przez amatora, miało w sobie jakąś siłę. Siedlce przypominały na nim Toledo z obrazu el Greca. Szare budynki skąpane w intensywnej ciemnej zieleni. Jedyne elementem dodanym przez malarza był dziwny blask słońca przykrytego chmurami, który miał podkreślać niesamowitość pejzażu. Wpatrując się w płótno znów poczułem ten sam zapach, który dotarł do moich nozdrzy przy wejściu. Tym razem jednak udało mi się go zidentyfikować. Był to żywiczny zapach świeżego werniksu. Dyskretnie rozejrzałem się po ścianach. Pejzaż Siedlec był jedynym obrazem w pokoju.

- Bardzo mi przykro - przerwał moje rozmyślenia Roman Bogusz - ale muszę wracać do moich obowiązków.

Zrozumiałem aluzję i, podawszy rękę kustoszowi, wyszedłem z jego gabinetu. Po chwili

siedziałem już w dusznym wnętrzu wehikułu, obserwując granatowego „malucha” zaparkowanego przed wejściem do muzeum.

Części układanki w mojej głowie trafiały na swoje miejsca. Zdałem sobie sprawę, że to Roman Bogusz był osobą która nie straciła przytomności po ataku złodziei na furgonetkę wiozącą obrazy z Muzeum Prado. Ponieważ był z nimi w zмовie, a może nawet był ich szefem, bandyci strzelili do niego strzałką bez tiopentalu.

Bogusz udał, że traci przytomność, a kiedy reszta jego towarzyszy z furgonetki znajdowała się pod narkozą on wstał i zapalił papierosa. Potem położył się i dał związać, ale wtedy szyki złodziejom popsuka Blanka Fernandez, która ocknęła się wcześniej. Musieli błyskawicznie zrobić coś z pustą strzykawką i wtedy pewnie, w panice, wrzucili ją w krzaki. Zdołali uciec, ale wiedzieli, że popełnili błąd. Następnego dnia wrócili na miejsce kradzieży, żeby odzyskać niewygodny dowód. Wtedy jednak nadziali się na mnie i „Szczurołapa”.

Reszta była prosta. Bogusz miał alibi, a jednocześnie był jedyną osobą która mogła pójść po pomoc i w ten sposób mógł bez problemu grać na zwłokę i dać swoim kompanom przebrany za delegację z Muzeum Prado tyle czasu, ile potrzebowali, żeby nas oszukać i ukraść obraz. Bogusz tymczasem szedł przez las. Palila go pewnie ciekawość i użył komórki, którą miał ze sobą, żeby dowiedzieć się, czy wszystko w Siedlcach poszło zgodnie z planem. Potem wytarł komórkę i zakopał ją w lesie.

Dręczyło mnie to, że chociaż udało mi się zidentyfikować złoczyńców, ciągle nie miałem dowodu, że to oni ukradli el Greca. Opadły mnie wątpliwości, czy postąpiłem słusznie, ujawniając kustoszowi, że wiem o jego roli w sprawie kradzieży. Liczyłem, że w ten sposób go spłoszę, zmuszę do szybkiego i nierozważnego działania, a w końcu do błędu. Mogłem jednak spowodować, że Roman Bogusz przestraszy się i spróbuje mnie wziąć na przeczekanie. Że ukryje obraz i siedlecki el Greco, jak wiele innych obrazów, zniknie ze sceny na zawsze.

Czekanie w samochodzie na kustosza było męką.

Pot lał się ze mnie strumieniami, chociaż intensywnie wachlowałem się „Sennikiem Artemidora”. Nie pomagały nawet coraz to nowe oszronione butelki z zimną wodą które co jakiś czas przynosiłem sobie z pobliskiego sklepu. Było około czwartej, kiedy wracałem z jednej z takich wypraw. Spod zmęczonych powiek rzuciłem spojrzenie w stronę granatowego „malucha”, ale samochodu nie było!

- Ładnie się urządziłeś - warknąłem pod nosem, wściekły na samego siebie. - Pan Tomasz na pewno cierpliwie czekałby na Romana Bogusza, a nie latał po wodę.

Uruchomiłem silnik, ale nie wiedziałem dokąd jechać. Musiałem zaryzykować. Po chwili wahania wybrałem drogę do Drohiczyzna. Odetchnąłem z ulgą kiedy po dwudziestu minutach szaleńczej jazdy zobaczyłem w oddali sylwetkę wozu kustosza.

Tym razem nie zbliżałem się do niego zbyt blisko, bojąc się sztuczek w stylu nocnego patrolu policji. Po godzinie naszym oczom ukazała się Góra Zamkowa. Białe ściany katedry spowijała mgiełka spowodowana upałem. U stóp pokrytego zielenią wzgórza szerokim łukiem zakręcał Bug. Roman Bogusz pojechał na wschodnie obrzeża miasta i zaparkował przed parterowym domkiem.

Na frontowej ścianie budynku i na daszku ganku pienilo się dzikie wino. Ale boczne ściany i okiennice, z których odchodziła zielona farba, świadczyły, że ludzie tu mieszkający nie należeli do bogatych. Wsiadłem i podkradłem się do domu. Jedno z okien było uchylone i właśnie pod nim przycupnąłem. Doleciał mnie zapach gulaszu i ogórków ze śmietaną a potem usłyszałem szczęk

sztućców i talerzy.

- Jak było w pracy? - zapytał głos należący do starszej kobiety.

- Normalka... - Roman Bogusz przerwał na chwilę i usłyszałem jak przeżuwa jedzenie. - Mamy teraz strasznie dużo papierkowej roboty... Upał mnie wykańcza... A ty, mamó, uważasz na siebie?

- Siedzę prawie cały czas w domu - padła odpowiedź.

Przez kilka minut panowała cisza, przerywana tylko odgłosami posiłku. W końcu ktoś pozbiierał talerze i puścił wodę z kranu. Usłyszałem szuranie odsuwanej krzesła i wolne kroki. Skrzypnęły drzwi.

- Będiesz gdzieś dzisiaj wychodził - zapytała kobieta.

- Tylko wieczorem, na godzinkę... Teraz muszę się wziąć do malowania.

- Weź sobie wodę z lodówki.

Nie słuchałem dalej. Pobiegłem do wehikułu i ruszyłem z powrotem do Siedlec.

Na rogatkach Drohiczyzna zobaczyłem przy drodze ogłoszenie, które obwieszczało, że jakiś miejscowy zakład stolarski wykonuje ramy do obrazów na zamówienie. Przypomniałem sobie zapach świeżego werniksu z pokoju kustosa. Tknęło mnie przecucie. Zawróciłem i odszukałem stolarnię.

Drewniany dom stał trochę za miastem, prawie w lesie. Zza ściany doszedł mnie zgrzytliwy odgłos piły tarczowej. Nacisnąłem dzwonek przy drzwiach, a kiedy nikt nie odpowiedział, poszedłem na tyły i znalazłem otwarte drzwi, za którymi znajdował się warsztat. Wszedłem do środka.

Powietrze pachniało żywicą. Tyłem do mnie, pochylony nad hałasującą piłą stał człowiek ubrany we flanelową koszulę. Miał szerokie bary i nieco posiwiąłą czuprynę. Podszedłem i dotknąłem jego ramienia. Mężczyzna wzdrygnął się, gwałtownym ruchem wyłączył piłę i z gniewem w ukrytych za goglami oczach spojrzał na mnie.

- Czemu się tak skradasz, człowieku? - wykrzyknął. - Chcesz, żeby stracił ostatnie palce? Dopiero teraz zauważyłem, że mężczyzna nie ma dwóch palców u lewej i trzech u prawej dłoni. - Co się tak gapisz? - zauważył moje zainteresowanie. - To choroba zawodowa stolarzy...

Podszedł do nieobejcowanego stołu po prawej stronie i wprawnym ruchem wziął z niego butelkę wody. Pił długo i chciwie. Potem otarł czoło z potu i wpatrując się w moją twarz z zainteresowaniem, zapytał:

- Przepraszam za mój wybuch, ale jestem nieco porywczy - podrapał się w nieogolony podbródek. - Co pana do mnie sprowadza?

- Chciałbym zamówić ramę...

Stolarz sięgnął po notes i ołówek.

- Jakie wymiary? - zapytał.

- Sto dwadzieścia na siedemdziesiąt pięć centymetrów.

Mężczyzna popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Śmieszna sprawa - odezwał się. - Dwa dni temu robiłem taką samą...

- Naprawdę? - niezbyt umiejętnie próbowałem przykryć podniecenie brakiem zainteresowania.

Liczby, które podałem były wymiarami siedleckiego obrazu el Greca!

Na szczęście stolarz niczego nie zauważył. Przeszukiwał już papierki nabite na długą szpilę przymocowaną do okrągłej podstawki, zupełnie taką samą jak te, które kiedyś można było spotkać w niektórych urzędach.

- Chwileczkę... Gdzie ja to miałem... Aaa, jest! - z triumfem na twarzy trzymał w obu dłoniach

papierek. - Tak jak mówiłem: sto dwadzieścia na siedemdziesiąt pięć...

- Można zapytać, kto złożył to zamówienie? - powiedziałem, ale szybko zrozumiałem, że popełniłem błąd. Twarz stolarza przybrała podejrzliwy wyraz. Rzemieślnik odezwał się chłodno:

- A po co to panu?

- Eee... Pytam tak z ciekawości...

- Za bardzo jesteś pan ciekawski, jak na kogoś, kto chce zamówić ramę - w jego tonie pobrzmiwała teraz groźba. Odchylił się lekko do tyłu i z przybornika stojącego na stole wyciągnął młotek.

Nie miałem zamiaru testować wytrzymałości jego nerwów i rzuciłem się do ucieczki. Dopadł mnie, gdy manewrowałem już wehikułem, żeby wyjechać na drogę. Stanął przed maską i groźnie wymachując młotkiem wysyczał:

- Ty wścibski draniu...

Odbiłem w lewo, minąłem poczerwieniałego ze złości stolarza o kilka centymetrów. Za moimi plecami rozległ się huk rozbijanej szyby. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem leżący na tylnym siedzeniu młotek. Przez szczątki szyby dostrzegłem pędzącego za wehikułem rzemieślnika.

Wcisnąłem pedał hamulca. Stolarz był coraz bliżej, ale wtedy wdepnąłem gaz. Piasek, którym wysypane było podwórko, zatrzeszczał pod kołami i wąską szprycą poleciał w kierunku napastnika. Ten zatrzymał się, podnosząc ręce, żeby uchronić twarz przed piachem.

- Łajdak! - wrzasnął.

- Wariat! - nie pozostałem mu dłużny i zwoleń pedał hamulca.

Wehikuł szarpnął gwałtownie i wystrzelił do przodu. Z piskiem opon skontrowałem w prawo i już po chwili pędziłem do Siedlec.

Dzień miał się powoli ku końcowi, a ja musiałem czym prędzej spotkać się z dyrektorką Jankowską.

- To, o co mnie pan prosi, jest trochę dziwne... - pani dyrektor bawiła się złotym piórem.

- Proszę mi zaufać... Tu już nie chodzi tylko o obraz...

- A o co?

- Powiedzmy, że muszę naprostować czyjeś ścieżki.

- Jest pan bardzo tajemniczy - dyrektor Jankowska westchnęła ciężko. Przymknęła oczy i drapiąc się po głowie, opadła na oparcie krzesła.

Wyglądała jakby zasnęła. Patrzyłem na jej ciemne, pofalowane włosy, na prosty nos i pełne usta. Po chwili otworzyła oczy i zauważyła, że na nią patrzę. Uśmiechnęła się delikatnie i poprawiła włosy.

- Dobrze, panie Pawle... - powiedziała - zaufam panu... - podniosła się z krzesła i otworzyła sejf, który stał obok jej biurka. Chwilę tam czegoś szukała, a potem podała mi pęk kluczy, nanizanych na duże kółko. - O pierwszej w nocy przyjdę do muzeum i otworzę okno, o którym pan mówił. Potem pójdę do gabinetu. Będzie pan miał godzinę. Wystarczy?

- To nawet za dużo... - odpowiedziałem.

Budynek Muzeum Diecezjalnego spowijał mrok.

Księżyc, co chwila przesłaniany przez chmury, tylko czasami oświeślał swym zimnym blaskiem białe rusztowania ustawione przy ścianie, upodabniając je do pozostałości jakiejś widmowej budowli. Było cicho.

Ubrany w kominiarkę i czarny dres czekałem w cieniu katedry na znak od dyrektor Jankowskiej. Jakiś samochód przemknął ulicą. Ukryłem się za niewielką przyporą odstającą od muru kościoła. Światła wozu omiotły ceglana ścianę katedry i pojazd odjechał na zachód. Znów zapadła cisza. A potem usłyszałem uderzenie kamyka o bruk. To był umówiony z dyrektor Jankowską znak.

Dźwięk powtórzył się jeszcze dwukrotnie i ruszyłem w kierunku rusztowania. Zaczekałem, aż księżyc zakryje chmura i zacząłem się wspinać. Rusztowanie skrzypiało i chwiało się delikatnie. Po pięciu minutach byłem już na poziomie pierwszego piętra budynku. W miejscu gdzie podciągnąłem się na platformę, zobaczyłem podobny do skrzyni przedmiot, przykryty zieloną, nieprzemakalną plandeką. Odkryłem ją i zobaczyłem okutą aluminium skrzynię na kółkach. Otworzyłem ją. Była pusta. Przestrzeń w środku podzielono pionowymi przegródkami. Zdziwiony zamknąłem kufer, przykryłem go starannie plandeką i ruszyłem dalej.

Szybko znalazłem uchylone przez dyrektor Jankowską okno i wśliznąłem się do środka. Z plecaka wyjąłem opaskę z lampką i nasadziłem ją na głowę. Włączyłem światło, które odbiło się od złoceń na ikonach zgromadzonych w tej sali. „To musi być wystawa, o której czytałem w namiocie kierownika Malinowskiego” - pomyślałem i przemknąłem do drzwi pośród świętych zastygłych w uświęconych tradycją pozach.

Byłem teraz w długim korytarzu z kilkunastoma identycznymi drzwiami po bokach.

Znalazłem gabinet kustosza Bogusza i sięgnąłem do plecaka po pęk kluczy, które dostałem od dyrektor Jankowskiej. Nie minęło kilka minut i już byłem w gabinecie, który odwiedziłem dzisiaj rano. Spojrzałem na obraz wiszący nad biurkiem.

„A więc tu cię więżą?” - pomyślałem i zabrałem się do roboty. Scyzorykiem wyryłem z boku ramy, w dość świeżym drewnie małą literę „P”. Potem wyjąłem z plecaka małe pudełko i położyłem je na biurku. Otworzyłem pudełko i w świetle latarki ukazał się mikroskopijny, płaski nadajnik GPS. Wyjąłem go delikatnie i odczepiłem zabezpieczenie klejącej taśmy.

Obróciłem się do obrazu. Poczulem zapach werniksu, przemieszany z lakierem do drzewa. Chwyciłem malowidło za ramy i uniosłem obraz, zdejmując go z haka. Nagle odezwał się głośny dzwonek alarmowy. „Tylko spokojnie, Pawle, tylko spokojnie, a na pewno zdążysz” - pomyślałem. Postawiłem obraz przy ścianie i ujrzałem płataninę drutów, które zapewne były sprzężone z alarmem. Przykleiłem nadajnik z tyłu obrazu, pod ramą. Był niemal niewidoczny. Wybiegłem z pokoju i zamknąłem drzwi. Na korytarzu zobaczyłem dyrektor Jankowską. Stała, lekko pochylona do przodu, wpatrując się w ciemność:

- Szybciej! - mówiła dramatycznym szeptem, machając do mnie rękami. - Strażnik zaraz tu będzie.

- Niech pani udaje, że chce mnie powstrzymać - szepnąłem.

Usłyszeliśmy kroki na schodach.

- Ratunku, bandyci, włamanie! - wrzasnęła pani dyrektor.

Wcisnąłem jej klucze do ręki i złapałem za nadgarstki. Porozumieliśmy się wzrokiem i Anna Jankowska kontynuowała przedstawienie.

- Ratunku, ochrona, napadł mnie!

Strażnik pojawił się w korytarzu i, kiedy mnie zobaczył, sięgnął do kabury po pistolet.

- Ręce do góry! - krzyknął.

Posłuchałem go, puściłem dyrektor Jankowską która z dzikim wrzaskiem uciekła do swego gabinetu. Usłyszałem szcęk klucza w zamku.

- Na ziemię! - rozkazał ochroniarz. Zrobiłem co kazał, ale kiedy zbliżył się do moich nóg, podciąłem go, a kiedy upadł, pobiegłem do sali z ikonami.

Krzeseł, które stało obok wejścia zabarykadowałem drzwiami. Strażnik nie stracił przytomności, bo nie minęło kilka chwil, a zaczął wściekle szarpać klamkę. Podbiegłem do okna i zamknąłem je. Zdjąłem bluzę, owinałem nią pięść i uderzyłem w szybę. Szkło ustąpiło z trzaskiem. Otworzyłem okno, przetarłem framugę z odcisków palców pani dyrektor i wyskoczyłem na rusztowanie. Przez dziurę w szybie zamknąłem okno od środka i przejechałem bluzą po resztkach szkła w okiennej ramie, żeby zostawić takie ślady, jakie znalazłyby się na szkłe, gdybym wyskoczył przez okno.

Strażnik sforsował właśnie drzwi i oddał pierwszy strzał. Padłem na rusztowanie, a gazowy pocisk śmignął mi nad głową. Podczołgałem się do krawędzi i szybko zszedłem po rusztowaniach na ziemię. Spojrzałem w górę. Spoglądał na mnie stamtąd ochroniarz.

- Stój! - krzyknął, ale nie słuchałem go ani nie czekałem, aż odda następny strzał.

Rzuciłem się do ucieczki krętymi uliczkami w stronę podwórka na tyłach kamienicy przy ulicy Piłsudskiego. Ledwie żywy ze zmęczenia dopadłem wehikułu. Zrzuciłem z siebie dres oraz kominiarkę i w samych spodenkach i koszulce włączyłem się w niezbyt wielki ruch na głównej arterii miasta. Pojechałem na zachód aż do ulicy Warszawskiej, a potem przez pół godziny krążyłem po osiedlu domków jednorodzinnych, aż upewniłem się, że nikt za mną nie jedzie. Wtedy pojechałem do namiotu.

Ułożywszy się do snu, sięgnąłem po komórkę i wysłałem SMS-a do Agnieszki, by ona i „Dylan” zjawili się u mnie z samego rana.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

DOLCE FAR NIENTE * DRUGI SEN, DRUGA WALKA * PRZYKRE KONSEKWENCJE WYGRZEWANIA SIĘ
NA SŁOŃCU * PRETENSJE AGNIESZKI * SPODZIEWANE WIADOMOŚCI * NOWY TERMIN * CO MI WRÓŻY
ARTEMIDOR? * INSPEKTOR TOMASZEWSKI MA WĄTPLIWOŚCI

Jajecznica na kielbasie, którą postanowiłem uczcić swój nocny sukces, skwierczała apetycznie. Wyłączyłem maszynkę i właśnie sięgnąłem po pierwszy kęs, kiedy zobaczyłem Agnieszkę i „Dylana” idących powoli brzegiem w stronę mego obozowiska. Wyglądali na smutnych, a może nawet trochę obrażonych. Bez słowa siedli po turecku przy moim namiocie.

- Poczęstujecie się? - chwyciłem za rączkę patelni i podsunąłem im naczynie pod nos.

„Dylanowi” już zaświeciły się oczy i chciał coś powiedzieć, ale Agnieszka spiorunowała go wzrokiem i chłopak tylko powiedział cicho:

- Dziękuję, przed chwilą jedliśmy.

- Może ty masz ochotę? - zapytałem ją, ale wzruszyła ramionami i odwróciła głowę.

Jadłem, przyglądając się moim młodym pomocnikom. Agnieszka patrzyła na mnie groźnie i z wyrzutem. Wyczyściłem już połowę patelni z jajecznicą, kiedy w końcu się odezwała:

- Gdzie pan był wczoraj w nocy? - zapytała obrażonym głosem.

- I dlaczego nas pan nie zabrał? - wtórował jej „Dylan”.

- Na razie muszę milczeć o tym, gdzie byłem i co robiłem. A wziąć was ze sobą naprawdę nie mogłem, bo to było zbyt niebezpieczne.

- Jakoś nie widać, żeby coś się panu stało! - ironizowała Agnieszka.

- Bił się pan z kimś? - zapytał „Dylan”, a oczy mu zabłysły.

- Podobno jesteś miłośnikiem pokoju - zażartowałem, a „Dylan” trochę się zmieszał. - Z nikim się nie biłem i rzeczywiście nic mi się nie stało - powiedziałem pojednawczym tonem. - Mam za to dla was nowe zadanie. I to naprawdę ważne - próbowałem ich zainteresować, ale dalej byli na mnie trochę obrażeni. - Będziecie musieli przechwycić tajną wiadomość...

Podziałało. Jeszcze trochę się ociągając młodzi pomocnicy spojrzeli na mnie z zainteresowaniem.

- Naprawdę? - zapytali chórem.

- Naprawdę - pokiwałem głową. - Pójdziecie dzisiaj do pałacowego parku w Siedlcach i zaczajcie się przy kaplicy Świętego Krzyża. Przyjdzie tam dzisiaj człowiek, ale nie wicedyrektor Herrera. Kiedy już wyjdzie z kaplicy, pójdziecie tam i odnajdziecie skrzynkę kontaktową. Wiadomość będzie pewnie ukryta w jakiejś szparze. Zresztą wierzę w was. Na pewno sobie poradzicie. Skopijcie to co będzie w wiadomości i wróćcie do mnie.

- Skąd pan wie, że tam ktoś przyjdzie? - zapytała dziewczyna.

- Zaufajcie mi.

- A co pan będzie robił, kiedy nas nie będzie? - drążyła Agnieszka.

- Ja... - zastanowiłem się. - Muszę przejść jeszcze raz wszystkie ścieżki sprawy el Greca -

rzekłem tajemniczo.

- Ja to pana chyba nigdy nie zrozumieję - powiedziała Agnieszka. - Zbieramy się, „Dylan” - pociągnęła chłopaka za koszulę i poszli wzdłuż brzegu. Tym razem jednak w ich ruchach była młodzięcza energia.

Wyciągnąłem z namiotu karimatę i rozłożyłem ją na słońcu. Rozebrałem się do kąpielówek, włożyłem przeciwsłoneczne okulary i zacząłem opalać się. Po pięciu minutach jednak przypomniałem sobie o pewnej sprawie i pobiegłem do namiotu po telefon komórkowy i wodę.

Pociągnąłem łyk z butelki, położyłem komórkę w zasięgu ręki. Jeżeli moje przewidywania były słuszne, powinienem otrzymać dzisiaj dwie wiadomości.

- Dziękuję panu! - usłyszałem gdzieś obok głos kierownika Malinowskiego.

Podniosłem się na łokciach i nasadziłem okulary na głowę. Szef pleneru malarskiego stał nade mną. Jego głowę zdobiła chusteczka z zawiązanymi po bokach czterema węzełkami.

- Nie podejrzewałem, że ma pan takie zdolności! - uśmiechał się szczerze.

- Co się stało? - zapytałem zdziwiony. - Jakie zdolności?

- I do tego jest pan skromny. No, niechże pan nie udaje, że nie wie, o co chodzi!

- Ale ja... - przez chwilę przeraziłem się, że kierownik Malinowski wpadł na trop mojego śledztwa w sprawie kradzieży el Greca. Próbowałem poderwać się z karimaty, ale Malinowski wyciągnął przed siebie otwarte dłonie, powstrzymując mnie przed tym.

- Dobrze już, dobrze - ciągnął dalej. - Niech pan sobie spokojnie leży i odpoczywa. Mówiłem o pańskich zdolnościach pedagogicznych. Dziękuję, że przemówił pan do rozumu Agnieszce i Zbyszkowi. Już nie myszkują po obozie, a dzisiaj to nawet zabrali szkicowniki i poszli do miasta rysować katedrę. Zrobił pan z nich złote dzieci!

Przypomniałem sobie o jego wczorajszej prośbie i odetchnąłem z ulgą.

- Nie było pana wczoraj cały wieczór. Pewnie miał pan randkę z uroczą panią dyrektor, co? - uśmiechnął się konfidencjonalnie, a widząc moją oburzoną minę, dodał: - Nic już nie mówię, ani słówka więcej - położył palec na ustach. - Byłem wczoraj, ale pana nie zastałem, więc przychodzę dzisiaj z podziękowaniem i zaproszeniem... Dzisiaj ja z kolei mam zajęty wieczór. Też idę na spotkanie - zaśmiał się dziwnie. - Mniejsza z tym. Ale jutro kończy się nasz plener i będzie uroczyste ognisko, więc pomyślałem sobie, że powtórzmy to co ostatnio. Udało mi się zdobyć rewelacyjny lokalny samogon. Spróbowałem go wczoraj, ale niech pan się nie boi, tylko kropelkę. Postanowiłem zachować go do jutra, żeby napić się razem z panem, Panie Samochodzik.

- Przecenia pan moją słabą głowę - spróbowałem zażartować. - Nie wiem, czy byłbym to w stanie wytrzymać po raz drugi, ale na ognisko przyjdę z przyjemnością.

- Więc załatwione?

- Załatwione.

- W takim razie do jutra - powiedział autentycznie zadowolony kierownik Malinowski i, uściskawszy mi dłoń, odszedł.

Malinowski ujął mnie swoim zachowaniem. Odczuwałem do niego sympatię, chociaż wiedziałem, że coś knuje. Położyłem się i, korzystając ze słońca, zastanawiałem się, co ma zamiar zrobić wieczorem mój niedawny rozmówca. Czyżby planował swój wielki skok? A może naprawdę miał randkę. Pomyślałem o dyrektor Jankowskiej i poczułem nieprzyjemne ukłucie. Dlaczego jeszcze się z nią nie umówiłem? Moje rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu. Odebrałem.

- Dzień dobry, panie Pawle.

- Dzień dobry, pani dyrektor. Właśnie o pani myślałem.

- Naprawdę? Ja myślę o panu od samego rana - rzekła, ale w jej głosie nie było zbyt wiele sympatii.

- To może spotkamy się dzisiaj wieczorem?

- No wie pan, to już przesada. Naraża mnie pan na kłopoty, a teraz ma czelność proponować spotkanie?

- Coś zginęło z muzeum? - zapytałem wesoło, bo byłem w doskonałym humorze.

- Dobrze pan wie, że nie... Oczywiście zjawiała się policja.

- Znaleźli tego okropnego bandytę?

- Niech się pan nie zgrywa, bo to poważna sprawa.

- Czy policja ustaliła jak przestępca wszedł do środka?

- No dobrze - Anna Jankowska trochę się udobruchała. - Tu mnie pan ma. Dziękuję, że tak to pan załatwił... Ale, ale... Może mi pan wytłumaczy, po co poszedł pan do gabinetu Bogusza? Policja mówiła, że złodziej próbował ukraść jakiś obraz, ale mu się nie udało, bo kustosz zamontował alarm. O co chodzi z tym obrazem?

- Już niedługo przyjdzie czas na wyjaśnienia - odpowiedziałem. - Może jeszcze dzisiaj. Proszę się nie bać, kontroluję sytuację - zapewniał ją.

- Czy Roman Bogusz ma coś wspólnego z kradzieżą el Greca? - zapytała poważnie.

- Proszę mi pozwolić załatwić sprawę po swojemu. Jak dotąd pani chyba nie zawiodłem?

- Dobrze, ale nie będzie się już pan włamywał do muzeum? - zapytała z niepokojem. - Jeżeli będzie pan chciał odwiedzić naszą instytucję, proszę przyjść w biały dzień i napić się ze mną kawy - wyraźnie rozluźniona pani dyrektor parsknęła śmiechem.

- Trzymam panią za słowo. I zapewniam, że tym razem wejdem drzwiami, a nie oknem.

Dyrektor Jankowska zachichotała jak nastolatka..

- W takim razie do zobaczenia! - zakończyła rozmowę.

- Do zobaczenia, miła pani dyrektor! - odrzekłem i odłożyłem komórkę.

Nie minęło jednak pięć minut, a telefon odezwał się znowu.

- Halo, Pan Samochodzik? - niski głos w słuchawce należał do ojca Marcina Darskiego, szarej eminencji drohiczyńskiej kurii. Kiedy usłyszał potwierdzenie, ciągnął dalej wyniosłym i pełnym dystansu tonem:

- Dzwonię do pana z informacją, że ksiądz biskup dziękuje panu za współpracę. Kończy ją.

- Czyżby w ciągu dwóch dni zmienił ojciec zdanie na temat moich kompetencji?

- Pańskie kwalifikacje są bez zarzutu - odpowiedział dyplomatycznie. - Zmieniły się raczej... - chwilę szukał odpowiedniego słowa - ...okoliczności.

- Rozumiem. No cóż, trudno. Jakoś to przeżyję.

Ojciec Marcin chyba się zdziwił beztrząską z jaką przyjąłem jego decyzję, bo przez chwilę panowała cisza.

- Do widzenia, panu - pożegnał się w końcu oficjalnie i nie czekając na moją odpowiedź, przerwał połączenie.

Na następny telefon czekałem prawie godzinę.

- Witam serdecznie, panie Pawle - tym razem moim rozmówcą był brat bliźniak ojca Marcina Darskiego, Maciej, wikariusz katedry w Siedlcach.

- Dzień dobry księdzu - pozdrowiłem go.

- Dzwonię z bardzo przykrą a może właśnie dobrą wiadomością...

- Chcą państwo zrezygnować z moich usług? - wyrwałem się, ale zaraz pożałowałem tych słów.

Wikariusz mógł współpracować z kustoszem!

- Skąd pan...? - Maciej Darski był zaskoczony. - To znaczy nie, a właściwie tak. To znaczy w pewnym sensie. W ogóle rezygnujemy z udziału w tej licytacji.

- Tak szybko odpuszczacie? A jeśli obraz kupi ktoś z zagranicy i wywiezie go z kraju?

- Powiem panu w sekrecie - ksiądz zniżył głos do szeptu, ale jego głos nie był szczery. - Wcześniej nie konsultowałem sprawy z biskupem, bo to ja obsługuję całą korespondencję kurii. Ale biskup dowiedział się jakoś o liście i zrobił mi straszną awanturę... Nakazał mi opowiedzieć o wszystkim policji.

- Rozumiem, sprawy nie ma i nigdy nie było - powiedziałem, a w myślach dodałem: „Nie myśl, że uwierzę w tę bajeczkę”.

- Pańska domyślność jest zadziwiająca. Nie zastanawiał się pan nigdy, żeby zostać dyplomatą?

- Niespecjalnie - rzuciłem. - Lubię swoją pracę.

- Tak, tak... W takim razie dziękuję za wszystko i, mam nadzieję, do zobaczenia. Kiedy pan wyjeżdża?

- Kiedy skończę z el Grekiem, a to znaczy, że prędko - rzekłem buńczucznie. - Mam niejasne przeczucie, że się jeszcze zobaczymy przed moim wyjazdem.

- Właśnie chciałem zaproponować spotkanie.

- Może dziś wieczorem? - rzuciłem przynętę.

- Proszę zaczekać, sprawdzę swój terminarz - rozległ się szelest przewracanych kartek. - Niestety, dzisiaj nie mogę... Mam już coś innego w planach. Może jutro.

- Dobrze. W takim razie jutro. Do widzenia księżdu - zakończyłem rozmowę.

„No, robaczki, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, spotkamy się wcześniej, niż się spodziewacie”. - pomyślałem.

Podłożyłem ręce pod głowę. Przymknąłem oczy i zacząłem się zastanawiać, czy wypada kupić dyrektor Jankowskiej kwiaty, a jeśli tak, to jakie. Rozleniwiony ciepłem słońca i delikatną bryzą idącą od zalewu, zasnąłem.

Płynąłem łodzią po rzece Muchawce, płynącej w okolicach Siedlec i wpadającej do zalewu.

W dulkach nie było wiosła, a mimo to stateczek sunął rażno po rozświetlonej zachodem słońca wodzie. Minąłem stary młyn i po kilku minutach byłem na zalewie.

Zapadł zmrok. Brzeg, przy którym rozbiłem swój obóz, rozświetlały światła pochodni. Łódź dobiła sama do brzegu, a ja zorientowałem się, że prosto z brzegu zalewu wchodzi się do starej części Siedlec, a nie, jak to było w rzeczywistości, na nowoczesne osiedle. Ponad starymi kamieniczkami widać było wieże katedry. Wskoczyłem z łódki i przedzierając się przez gęsty dywan żółtych kosaćców, wyszedłem na brzeg.

Czekał tam już na mnie rycerz z portretu el Greca. Ten sam, który poprzednim razem wprowadził mnie w pułapkę. Próbowałem mu uciec, ale chwycił mnie mocno pod ramię i powiódł mrocznymi uliczkami.

Zatrzymał się przed jednym z domów i wskazał na szyld wiszący przed wejściem. Był to kij pomalowany w czerwone paski. Od razu skojarzyłem, co oznacza. Było to niejako godło dawno już wymarłego zawodu cyrulików. Golibrodów, fryzjerów i paramedyków w jednym. Cyrulicy upuszczali w celach leczniczych krew (na specjalne paliki, stąd szyld) i wyrywali bolące zęby, zanim

jeszcze rozwinęła się stomatologia.

Przewodnik otworzył drzwi i pchnął mnie do środka.

Chwyciły mnie silne ręce. Wyginając się do tyłu spojrzałem na twarz felczera, który okazał się mieć rysy kierownika Malinowskiego. Śmiał się prymitywnie bezzębnymi ustami. Na sobie miał wysmarowany czymś czerwonym fartuch. Usadził mnie na zydlu i przywiązał do niego paskiem, tak że nie mogłem się ruszyć. Najpierw zdjął z półki słoje pełne ciemnej mazi. Wysmarował mi nią twarz.

- Nie szarp się, nie szarp - mówił do mnie, kiedy próbowałem uniknąć naniesienia mikstury na twarz.

Wreszcie skończył. Poczułem mrowienie na policzkach.

Z brudnej szmaty, na której leżały narzędzia, Cyrulik podniósł wielkie obcęgi i ruszył w moją stronę. Oczy rozszerzył mi strach. Kierownik Malinowski kołyszącym się krokiem podszedł do mnie i rzekł:

- Dawaj tego zęba.

- Jakiego zęba? - gardło miałem ściśnięte. Nie mogłem oderwać wzroku od obcęgow, które kłapały szczękami niczym wściekły krokodyl.

- Tego zęba - warknął Malinowski, a smród alkoholu uderzył mnie w nozdrza - co ci go wybił ten łobuz.

W rękę poczułem coś twardego. Otworzyłem dłoń i zobaczyłem na niej trzonowca, którego straciłem podczas walki, jaką stoczyłem z szermierzem w kapturze podczas poprzedniego snu.

Malinowski chwycił zęba i wprawnym ruchem umieścił go w szczypcach obcęgow.

- Otwieraj paszczę! - rozkazał.

Posłuchałem go, a on włożył do moich ust obcęgi. Przez chwilę czułem ból. Potem Malinowski uwolnił mnie i poklepał wielką ręką w policzek.

- No, teraz będzie lepiej. Wstawiłem ci tego trzonowca. Sam zobacz! - podał mi przybrudzone lustro. Przejrzałem się, ale to nie stan uzębienia zainteresował mnie najbardziej. Zamiast swego odbicia ujrzałem w lustrze pysk lwa.

Złapałem się za głowę. Pod rękami poczułem gęstą sierść. Spróbowałem coś powiedzieć, ale usłyszałem tylko ryk. Spojrzałem na siebie. Na szczęście tylko głowa zmieniała swoją przynależność gatunkową. Poza nią reszta mego ciała pozostała ludzka. Nie miałem czasu jednak dłużej zastanawiać się nad swą dziwną przemianą bo cyrulik Malinowski chwycił mnie za kołnierz, wyrzucił ze swego obskurnego gabinetu na ulicę i krzyknął:

„Następny!” w kierunku kolejki, która ustawiła się przed jego zakładem.

Przewodnik, który czekał na zewnątrz pomógł mi wstać z błotnistej uliczki i pociągnął dalej, w kierunku katedry. Szliśmy teraz ulicą biskupa Świrskiego. Daleko, w perspektywie ulicy, zobaczyłem coś niezwykłego.

Wysoko ponad miastem, na chmurze, widać było świętego. Ze złożonymi rękami, w biskupiej szacie wpatrywał się w niebo. Dwie aureole otaczały jego głowę. Podobne przedstawienie świętych widziałem na obrazie el Greca, ale to wydało mi się znane skądinąd. Nagle mnie olśniło! To był przecież święty Stanisław ze Szczepanowa, patron Siedlec, tak jak go przedstawił Jan Matejko na obrazie „Bitwa pod Grunwaldem”.

Z zamyślenia wyrwał mnie znajomy głos:

- Pyśna kebab. Kupujcie ludzie. Pyśna kebab, mięso original, dobra przypraw, super sos!

Odwróciłem się w prawo, w kierunku tego głosu. Przed kwadratowym namiotem, z którego

sączył się szary dym, stał sprzedawca kebabów z Siedlec, Aziz, u którego niedawno jadłem. Trzymał w ręku porcję kebabu na palmowym liściu, zachwalając swój towar przechodniom. Był ubrany w luźną prążkowaną szatę, na głowie miał turban. Nad wiecznie uśmiechniętymi ustami czernił się podkreślony wąs.

Wyrwałem się prowadzącemu mnie rycerzowi i podbiegłem do Aziza. Próbowałem powiedzieć mu, że jestem w niewoli człowieka, który prowadzi mnie na pewną śmierć, ale wydałem z siebie tylko donośny ryk.

Aziz, z przerażoną twarzą skoczył do środka namiotu i wyskoczył z niego uzbrojony w długi sztucer. Wycelował we mnie broń i wykrzyknął niezbyt pewnie, próbując jednocześnie nadać swojej twarzy groźny wyraz:

- Odsuń się, lew! Nie cieba, żeby Aziz zranił lew!

Przewodnik spojrział na mnie tryumfalnie, a ja powlokłem się dalej za nim.

Blisko katedry, po lewej stronie, dostrzegłem kolejną znajomą postać. Pod ścianą budynku Muzeum Diecezjalnego lekko zgarbiona, w chustce i opończy z frędzlami, stała dyrektor Jankowska. Na nosie miała brodawkę, w uszach złote kółka wielkie jak spodki. Spojrzała na mnie i złapała za rękę.

- Jaka piękna głowa - powiedziała przymilnie skrzeczącym głosem. - To maska z karnawału? Daj rękę, panie... Powrócę ci... Prawdę powiem... Przyszłość przed tobą odkryję...

Wyrwałem się natrętnej Cygance i krzyknąłem w niebo, rozkładając bezradnie ręce:

- Czy ktoś mnie poznaje? Jestem Paweł Daniec! Czy ktoś w tym mieście mnie zna?

Gdzieś za mną szcęknał rapier wyciągany z pochwy.

- Ja cię znam! - usłyszałem za sobą głos.

Odwróciłem się.

Ze schodków katedry schodził szermierz w kapturze. Rapier w jego dłoni opadał ku ziemi. Szatę rozwiewał wiatr.

Sięgnąłem po broń przypasaną u boku. Przyłożyłem wyprostowane ostrze do twarzy w szermierczym powitaniu. Człowiek w kapturze uczynił to samo i zbliżył się do mnie.

Gwar miasta wokół ucichł. Staliśmy w plamie światła, rzucanego przez lampy wokół katedry. Przyjeliśmy postawę do walki i zrobiliśmy kilka kółek z bronią skierowaną ku ziemi. Ostrza błyszczały złotym światłem. Słyszać było tylko cichy szmer kroków i szuranie szaty szermierza przesuwającej się po ziemi.

Uderzyliśmy jednocześnie. Jak na komendę.

Ostrza starły się z jękiem i zgrzytem. Odskoczyłem w tył, przeciągając rapierem po ostrzu przeciwnika. Snop iskier zaświecił jasno jak warkocz komety.

Zakapturzony rzucił się na mnie uderzając wściekle, prawie na oślep. Ale moje parady były bezbłędne i po chwili to ja przejąłem inicjatywę. Kilkoma szybkimi sztychami udało mi się zepchnąć przeciwnika do muru katedry. Miałem go teraz wystawionego jak na tacy. Musiałem go rozbroić!

Zrobiłem wypad w przód i po chwili kabłąki naszych rapierów uderzyły o siebie, chrzęszcząc. Zrobiłem pół młynka nadgarstkiem i broń mojego przeciwnika wyskoczyła jak z procy, upadając kilka metrów od nas.

Odskoczyłem na dwa kroki i zanim człowiek w kapturze zdołał odskoczyć od muru, wycelowałem w jego gardło szpic klingi. Zatrzymał się. Ciężki oddech poruszał brzegami kaptura.

- Odkryj głowę - powiedziałem.

Stał nieruchomo. Jak bryła lodu.

- Zdejmuj kaptur - rozkazałem po raz drugi.

Żadnej odpowiedzi.

- Kaptur, bandyto! - wrzasnąłem na niego.

Odkleił się od ściany. Powoli uniósł ręce i złapał za brzegi nakrycia głowy.

Poczułem przypływ podniecenia, że nareszcie poznam prawdę. Nareszcie będę pewny, kto stoi na czele spisku!

Przeciwnik powoli odkrywał twarz. Już widziałem kępki jego włosów, już ukazywało się czoło, kiedy dobiegł mnie dziewczęcy głos: - No nie!

- No nie! - oburzony głos Agnieszki wyrwał mnie z drzemki. - My harujemy, a pan się wyleguje!

Ogarnęła mnie fala żalu, że nie poznałem tożsamości tajemniczego napastnika. Otrząsnąłem się ze snu i otworzyłem oczy. Dobrze, że miałem na nosie okulary przeciwsłoneczne, które chroniły moje oczy przed oślepiającym słońcem. Przede mną stali moi pomocnicy. Mrużyli oczy, zmęczeni słońcem i upałem, ale wyglądali na zadowolonych.

- Ale się pan zjarał - powiedział „Dylan”, przyglądając mi się jakbym był fascynującym obrazem, a nie człowiekiem. - Wygląda pan jak oskubany indyk.

Zaśmiali się.

- No, no! - pogroziłem im palcem, a potem dodałem, trochę lekceważącym tonem: - Przesadzasz.

Podniosłem się z karimaty i zrozumiałem, że „Dylan” miał rację. Ledwie zacząłem się ruszać, a poczułem straszliwe pieczenie. Jednym ruchem zdjąłem okulary i zobaczyłem, że z całkowicie czerwonego brzucha zaczyna schodzić skóra. Jakby tego było mało, od długiego leżenia na słońcu „pękała” mi głowa.

- Chodźcie do namiotu - powiedziałem zbolalym głosem.

Natarłem się olejkiem do opalania i nałożyłem koszulkę, ale niewiele pomogło. Mniej piekło, ale za to swędziało.

- Opowiadajcie - zachęciłem młodych ludzi, podając im kubeczki z wodą.

Wypili chętnie, otarli pot z twarzy. Opowieść podjęła jak zwykle Agnieszka:

- Czekaliśmy ze trzy godziny... - powiedziała, a ja zrozumiałem, że musiałem spać na słońcu bardzo długo. Spróbowałem podrapać się w swędzące miejsce, gdzieś w okolicach mostka, ale szybko z tego zrezygnowałem, bo było jeszcze gorzej.

- Słucha pan? - Agnieszka przyglądała mi się z dezaprobatą. Przestałem się drapać i, walcząc ze swędzeniem, patrzyłem na dziewczynę. Musiałem mieć minę jak udręczony pies.

- Po tych trzech godzinach czekania - podjęła Agnieszka - pojawiła się...

- Pojawiła?

- Tak, to była dziewczyna. Taka szara niepozorna myszka.

Natychmiast skojarzyłem ją z osobą którą spotkałem w Towarzystwie Ziemi Drohiczyńskiej.

- No i co zrobiła? - zapytałem zaciekawiony.

- Tak jak pan powiedział... - Agnieszka ściszyła głos do szeptu i nadała mu tajemniczą barwę. -

Weszła do kaplicy i była tam chyba ze dwadzieścia minut. Potem, bardzo się rozglądając, wyszła stamtąd i poszła w stronę parku. Poszliśmy do środka budynku. Pół godziny szukaliśmy tej skrytki. Bez skutku. W końcu „Dylan” oparł się niefortunnie o ścianę i upadł. Z poziomu podłogi dojrzał szparę z wetkniętą w nią karteczką zwiniętą w rulonik.

- I co tam było napisane? - nie mogłem powstrzymać podniecenia i prawie poderwałem się z

podłogi.

- Spoko - powstrzymał mnie gestem „Dylan” - wszystko zapisaliśmy w telefonie.

Agnieszka podała mi swoją komórkę. Informacja przekazana Herrerze była lakoniczna:

Poprzedni termin licytacji odwołany. Jest Pan oczekiwany dzisiaj o 23 w kościele w Kosowie Lackim, około 50 kilometrów od Siedlec.

Życzliwy

- Spisaliście się wspaniale! - wykrzyknąłem zadowolony. - Macie u mnie wielkie lody!

- Tak sobie myśleliśmy - odezwał się cicho „Dylan” patrząc na Agnieszkę - że...

- Że mógłby nas pan wziąć tym razem ze sobą! - wypaliła dziewczyna.

Podrapałem się w głowę. Głupio mi było odmawiać, ale ich miejsce w moim planie było inne.

- Posłuchajcie... - młodzi ludzie wyczytali z tonu mojego głosu, że z wyprawy nici i, założywszy ręce na piersi, obrażeni odwrócili głowy.

Opowiedziałem im, co chciałem zrobić tego wieczoru. Wyjawiłem wszystkie, tak długo skrywane tajemnice. Objąłem, czego od nich oczekuję. W miarę jak słowa płynęły z mych ust, twarze współpracowników rozjaśniały się, a oczy coraz bardziej płonęły ciekawością.

- Myśli pan, że inspektor Tomaszewski się zgodzi? - zapytał „Dylan”, kiedy skończyłem.

- Zaraz do niego pojedę, żeby to sprawdzić, ale sądzę, że spodziewany efekt waszej misji może go do tego zachęcić.

- To co nam pan zlecił, nie jest na pewno spektakularnym finałem śledztwa w sprawie jednego z najcenniejszych obrazów w Polsce, ale dobre i to... - podsumowała Agnieszka.

- Więc zgoda? - zapytałem z nadzieją.

- Zgoda! - powiedzieli chórem młodzi ludzie, kiwając głowami.

- Od tej pory kontakt za pomocą komórek... Czekam na wasz sygnał...

- Oby się pan nie pomylił - rzucił „Dylan”, kiedy wychodzili z namiotu.

- W razie czego zwałajcie wszystko na mnie. I bądźcie bardzo ostrożni.

- Niech się pan nie martwi... - rzekła Agnieszka na pożegnanie.

Zanim pojechałem do inspektora, zajrzałem jeszcze do „Sennika Artemidora”. Poprzedni sen się sprawdził, zabawiłem się więc w przepowiadanie przyszłości po raz drugi. O dziwo! Tym razem wszystko wydawało się wróżyć mi wielki sukces!

Podróż łodzią jest „dobra dla wszystkich” - mówił sennik i dodawał: „(...) jeśli okręty już przybijają do brzegu lub stoją w porcie, pomyślność urzeczywistni się wkrótce, ponieważ żegluga cel swój osiągnęła.”

Zadziwiająco, ale odnalazłem w „Senniku Artemidora” wytłumaczenie mej wizji o głowie lwa: „Dobrze jest śnić, że się ma głowę lwa, wilka, pantery, słonia. Śniący zabierze się do spraw niemal ponad swe siły, odniesie jednak sukces i wiele zyska, stanie się groźny dla przeciwników, a miły dla swoich.”

Po tak pomyślnych przepowiedniach nerwowo wertowałem sennik próbując przypasować jego tłumaczenia do mych widziadeł. Udało mi się to jeszcze raz. Czytając rozdział o kwiatach, przypomniałem sobie, że żółte kosańce, które, niby wieniec otaczały w moim śnie zalew, stanowiły pierwotny wzór lilii, które znajdowały się niegdyś w herbie Francji. Lilie też wróżyły dobrze, szczególnie w wieńcach: „Wieńce z lilii pozwalają żywić dobrą nadzieję o swych sprawach.”

I chociaż jestem racjonalistą i nie wierzę we wróżby, pokrzepiła mnie ta moja zabawa z sennikiem i z zapalem zacząłem przygotowywać się do wyjazdu.

W czasie golenia zdałem sobie sprawę, że nie znalazłem w senniku, tak bogatym w tłumaczenia snów o zębach, ich wrywaniu i odrastaniu, nic na temat ich wstawiania. Powodem był pewnie niski poziom stomatologii w owych latach, która ograniczała się prawie wyłącznie do usuwania zepsutych zębów.

- W ten sposób zostałeś zmuszony być onejrokrytą Pawle - westchnąłem, goląc podbródek i połykając gorzką pianę.

„Ale ten sen łatwo wytłumaczyć” - myślałem manewrując maszynką między nosem a ustami. „Skoro ten o utracie zęba zwiastował, że obraz el Greca wydostanie się spod twojej opieki, ten musi znaczyć coś przeciwnego!”. Zadowolony strzepnąłem resztkę pianki z maszynki do golenia i powiedziałem do siebie:

- W takim razie czas zacząć działać!

Przywdziałem koszulę i dzinsową kurtkę. Wsiadłem do wehikułu i pojechałem spotkać się z inspektorem Tomaszewskim.

Tomaszewski przyjął mnie w swoim gabinecie. Poczęstował herbatą i ciasteczkami, które upiekła jego żona.

- Co słyhać, panie Pawle? - zapytał od niechcienia i jakby z delikatną ironią. - Rozwiązał pan już zagadkę kradzieży el Greca?

- Nie tylko wiem, kto ukradł obraz, ale i gdzie się znajduje.

Policjant o mało co nie udławił się ciasteczkami. Parsknął okruciami w moją stronę. Nerwowo popił herbatą i wycharczał:

- Wie pan wszystko i mówi o tym tak spokojnie? - oczy prawie wyszły mu z orbit i zakaszłał konwulsyjnie.

Klepnąłem go kilka razy w plecy. Inspektor odzyskał normalny oddech. Usiadłem naprzeciw niego i wpatrywałem się z uwagą w sympatyczną twarz. „Muszę zaryzykować” - pomyślałem.

- No więc... - Tomaszewski sięgnął po notes i długopis. - Kto ukradł el Greca?

- Mam dla pana propozycję, inspektorze - powiedziałem spokojnie.

Przez twarz policjanta przebiegł cień podejrliwości.

- Szantażuje mnie pan? - rzekł chłodnym tonem. - Chce pan pieniędzy? - zamyślił się na chwilę, a potem rzekł gorzko: - Zawiodłem się na panu, panie Pawle...

- Spokojnie, spokojnie - zarzuciłem pozę wszystkowiedzącego detektywa. - Nic od pana nie chcę. Mam tylko prośbę.

Tomaszewski spojrzał na mnie trochę życzliwszym okiem, ale nie odezwał się.

- Wydaje mi się - ciągnąłem dalej - że przejrzałem motywację osoby, która ukradła el Greca. Ta osoba nie zrobiła tego dla zysku. Gdybym z nią porozmawiał, sądzę, że oddałaby obraz...

- A jeśli się pan myli? - skontrolował inspektor.

- Zabezpieczyłem się. Podłączyłem do obrazu nadajnik GPS. Gdyby osoba, o której mówię, nie zgodziła się oddać obrazu po dobroci, dopadłby ją pan bez problemu. Poza tym jeśli pan się zgodzi, żebym spróbował przekonać tę osobę, powiem panu o jeszcze jednej kradzieży, która zostanie dokonana w Siedlcach, prawdopodobnie dzisiaj wieczorem.

- Pan jest niesamowity, panie Pawle! - wykrzyknął inspektor, ale był w tym okrzyku wyrzut. - Nie dość, że miał pan obraz w rękach i nie oddał go właścicielom, ryzykując, że dzieło przypadnie, to

jeszcze mówi mi pan o jakiejś nowej kradzieży. Gdyby nie patrzyło panu tak dobrze z oczu, pomyślałbym, że to pan kieruje całym tym złodziejskim cyrkiem. Poza tym z pana słów wynika, że chce pan uchronić przestępcę przed karą...

- No tak - westchnąłem cicho. - Ale sam pan wie, że więzienie może zniszczyć każdego. No i taka osoba byłaby spalona w takim małym mieście. A coś mi mówi, że ten, kto ukradł el Greca mógłby tu zrobić dużo dobrego.

- Nie rozumiem ani słowa z tego co pan mówi. Powiedzmy, czysto teoretycznie, że ma pan rację co do tej osoby i jej intencji... - inspektor pociągnął nosem. Wziął sobie ciasteczko i przeżuwał je powoli. - To i tak za duże ryzyko. Proszę zrobić coś, żebyśmy mogli panu zaufać.

- Podam panu miejsce i czas, gdzie będzie dziś wieczorem złodziej, który ukradł el Greca, razem z obrazem - oczy inspektora Tomaszewskiego rozblęły. - Ale tylko pod warunkiem, że przybędzie tam pan godzinę po podanej przeze mnie porze. Będę na pana czekał z obrazem albo i z obrazem, i ze złoczyńcą. Nic pan nie traci.

Na twarzy inspektora Tomaszewskiego podejrzliwość przeplatała się z ciekawością i jakimś rodzajem bezradności połączonej ze zdziwieniem. Nerwowo zaciskał usta, marszczył czoło, przejeżdżał ręką po karku.

- Dobrze - przerwał w końcu milczenie. - Niech pańskie będzie na wierzchu. Ale daję panu tylko czterdzieści pięć minut. Potem wkraczam z moimi ludźmi.

Powiedziałem mu, gdzie i kiedy odbędzie się licytacja.

- A co z tą drugą kradzieżą? - zapytał Tomaszewski.

- Jestem prawie pewien, że dzisiaj do niej dojdzie. Nie wiem tylko jeszcze dokładnie o której. Kiedy tylko dostanę sygnał od moich asystentów, natychmiast pana powiadomię. Chociaż i w tej sprawie należy zachować dużą ostrożność. Złodziej jest sprytny i musimy go złapać na gorącym uczynku, żeby wszystkiego się nie wyparł.

- Może potrzebuje pan jakichś ludzi do pomocy?

- Nie - odpowiedziałem bojąc się, że jakiś narwany policjant może popsuć zasadzkę. - Wystarczy, że zostawi pan kogoś w komendzie, żeby czuwał i w razie czego mógł interweniować. A my skupmy się na sprawie el Greca. On jest w tej chwili najważniejszy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W STARYM KOŚCIOŁKU * PROPOZYCJA * ROBI SIĘ TŁOCZNO * KLÓTNIA * GODZĘ ZWAŚNIONE STRONY * SPÓŹNIONY ALARM * NOCNA WYCIECZKA KIEROWNIKA MALINOWSKIEGO * TAJEMNICA PARAGONU

Był kwadrans po dwudziestej drugiej. Przez szyby wehikułu patrzyłem na pograżony w mroku kościółek. Przed świątynią nie paliły się żadne światła. Na pierwszy rzut oka budynek wyglądał na opustoszały, ale gdy spojrzano się uważnie, można było dostrzec słabe światło rozświetlające delikatnie wysokie okno na froncie. Wsadziłem do kieszeni kurtki mały aparat fotograficzny. Wsiadłem z wehikułu i uzbrojony jedynie w latarkę podkradłem się do świątyni.

Od neogotyckiej bryły oddzielał mnie mur, ale na szczęście nie musiałem przez niego skakać. Na rogu ogrodzenia znalazłem bramę, zwieńczoną trójkątną kapliczką z figurką Matki Boskiej.

Krata bramy była otwarta. Wszedłem przez nią i spojrzałem na boczną ścianę kościoła. Budowla wyglądała jak stroma skała, ze swoimi niezliczonymi przyporami, wieżyczkami i daszkami. Wyżej górowała czworoboczna wieża, zakończona sześciobocznym szarym hełmem. U dołu ostatniego ze strzelistych okien w nawie głównej dojrzałem białą poświatę. Zbliżyłem się do wejścia. Wysokie, drewniane drzwi były uchylone. Ostrożnie nacisnąłem klamkę i zajrzałem przez szparę. W przedsionku było ciemno, więc szybko wśliznąłem się do środka. Przed prezbiterium, naprzeciw sięgającego sufitu drewnianego, połączanego ołtarza z białymi figurami świętych, umieszczonego pomiędzy wygaszonymi witrażami, pod gwiazdzistym, gotyckim sklepieniem, w strudze światła z punktowego reflektora, na drewnianych sztalugach stała „Ekstaza św. Franciszka” el Greca.

W głównej nawie nie było nikogo, ale widać było światło sączące się z zakrystii. Czym prędzej dopadłem schodków prowadzących na chór i nie zważając na ciche skrzypnięcia stopni, wdrapałem się na górę. Przykucnąłem za barierą w najciemniejszym miejscu i wysunąwszy głowę, obserwowałem prezbiterium.

Po chwili wokół arcydzieła toledańskiego mistrza począł się krzątać człowiek w czarnej bluzie z kapturem, który opadał na plecy. Obserwowałem go uważnie co najmniej dziesięć minut. Jego zachowanie wskazywało na to, że jest w kościółku sam. Upewniwszy się o tym, wychyliłem się zza bariery chóru i powiedziałem głośno:

- Dobry wieczór, panie kustoszu!

Odwrócony do mnie plecami człowiek drgnął i zastygł w kamiennej pozie. Potem odwrócił się powoli i mrużąc oczy przed światłem reflektora, spojrzał w moim kierunku. Na jego twarzy nie było złości ani agresji. Raczej zaskoczenie pomieszane z niepokojem.

- Co pan tu robi? - zapytał w końcu Roman Bogusz. - Jak się panu udało...?

- Mam swoje sposoby - odrzekłem, schodząc po schodkach. Przeszedłem nawę główną i wkroczyłem w krąg światła wokół obrazu. Stałem teraz pomiędzy dwoma rzędami ławek, twarzą w twarz z tajemniczym „Życzliwym”.

- Nie doceniłem pańskich zdolności... - rzekł Bogusz, odkrywając głowę.

- Proszę się nie przejmować - powiedziałem. - Nie pan pierwszy.

Ramiona kustosza opadły, nogi lekko się pod nim ugięły, jakby chciał usiąść, ale ponieważ w pobliżu nie było żadnego krzesła, stał dalej.

- Czego pan chce? - rzekł zrezygnowanym tonem.

- Najpierw chcę poznać prawdę - odpowiedziałem. - Zadam panu kilka pytań, a pan mi na nie szczerze odpowie.

- Dobrze - rzekł kustosz, wpatrując się we mnie ze zdziwieniem i niedowierzaniem. - Proszę pytać.

- Kiedy zaczął się pan zastanawiać nad tym, żeby ukraść el Greca?

Roman Bogusz spojrzał na mnie niepewnie, jak zwierzę zapędzone w róg klatki, ale widać coś w mojej twarzy musiało wzbudzić jego zaufanie, bo zdecydował się mówić.

- Od razu, kiedy przyszedł ten list z Muzeum Prado. Dyrektor Jankowska ma do mnie zaufanie i pokazuje mi całą korespondencję. Więc kiedy przyszedł ten list, wpadłem na pomysł. Razem z moimi współpracownikami opracowaliśmy plan.

- Którego częścią było skłonienie Jana Surdykowskiego do napisania anonimu.

- A więc i to pan wie? - brwi kustosza powędrowały do góry. - Tak. Wiedziałem, że Surdykowski brał udział w konkursie na dyrektora Muzeum Diecezjalnego. Przegrał go i bardzo to przeżył. Pisał jakieś odwołania, próbował interweniować u wpływowych przyjaciół. Na próżno. Dyrektor Jankowska była po prostu lepsza. Postanowiłem więc wykorzystać jego urażoną dumę w moim planie. Udało mi się nakłonić Surdykowskiego, żeby napisał anonim. Nie spodziewałem się, że aż tak dobrze wywiąże się ze swojego zadania. Jego anonim miał wyprowadzić w pole policję, a tymczasem Surdykowski dodatkowo kierował podejrzenia w swoją stronę. Niestety, pojawił się pan i wpadł na jego trop. Mogę zapytać, w jaki sposób?

- Dzięki maszynie do pisania i jej charakterystycznym czcionkom - odrzekłem, a kustosz w zadumie pokiwał głową. - Wie pan, że Surdykowski jest w szpitalu? Dostał udaru mózgu, kiedy dowiedział się, że skradziono el Greca...

- Naprawdę? - na twarzy kustosza było szczere zdziwienie i współczucie. - Nie chcieliśmy nikogo skrzywdzić...

- Popełnił pan jeden z niewielu błędów, kradnąc jego maszynę. Surdykowski był do wczoraj nieprzytomny. Nie mógł więc napisać reszty anonimów, które pan wysłał. Wykorzystując jego maszynę, dał mu pan niemal niepodważalne alibi.

- Cóż, errare humanum est - odpowiedział filozoficznie i zamyślił się, a potem powiedział z nadzieją: - Ale jednego na pewno pan nie odgadł... Nie wie pan, gdzie przechowywałem obraz!

- Proszę uważnie przyjrzeć się ramie. Po lewej stronie z boku zostawiłem ślad - rzekłem, a on podszedł do obrazu i uważnie zlustrował wskazaną przeze mnie część.

- Wycięta litera „P”... - powiedział po chwili nerwowego milczenia - a więc to pan był u mnie w gabinecie wczoraj w nocy?

Kiwnąłem głową.

- Co jeszcze chce pan wiedzieć albo raczej co pan chce potwierdzić? Bo zdaje się, że wie pan wszystko...

- Mam jeszcze ostatnie, najważniejsze pytanie - spojrzałem w twarz Romana Bogusza, ale dojrzałem na niej tylko rezygnację. - Niech mi pan powie, po co to wszystko? Po co ukradł pan el Greca?

Mój adwersarz westchnął ciężko, a potem przemówił:

- To długa historia. Może usiądziemy w ławce... - spoczęliśmy, a on kontynuował: - Urodziłem się w Drohiczynie. Kiedy byłem mały, ojciec opowiedział mi historię o złotej trumnie Skomanda ukrytej w czeluściach Góry Zamkowej. Zafascynowało mnie to i razem z kolegami zorganizowaliśmy wyprawę archeologiczną, żeby odnaleźć skarb. Nic z tego oczywiście nie wyszło... To była dziecinada. Koledzy się zniechęcili, ale mnie historia wciągnęła na całego. Po nocach śniły mi się skarby Jaćwingów, Krzyżaków, templariuszy. Marzyłem, że zostanę sławnym odkrywcą, jak mój idol, Heinrich Schliemann. Minęło kilka lat, skończyłem historię sztuki i zrozumiałem, że skarby to niekoniecznie złote monety ukryte w zardzewiałych kufrach, że skarbem może być też zabytkowy budynek. Że jest skarbem stara legenda, która dotrwała do naszych czasów, a nawet oryginalny układ przestrzenny miasta, jak na przykład ten w Zamościu. Założyłem Towarzystwo Ziemi Drohiczyńskiej, które miało odkrywać i chronić takie właśnie skarby w naszej okolicy. Mniej więcej w tym czasie dokładnie poznałem historię odnalezienia obrazu el Greca w Kosowie Lackim.

Drohiczyn był już wówczas stolicą diecezji i kiedy dowiedziałem się, że zgodnie z prawem kościelnym, to właśnie w naszej, a nie siedleckiej diecezji, powinien przebywać obraz, poczułem się jak ktoś, kogo okradziono z czegoś najcenniejszego. Jakaś ciemna plama zaćmiła mi umysł i nakierowała go na myślenie tylko i wyłącznie o tym, w jaki sposób odzyskać drohiczyński skarb. Aby osiągnąć cel, zatrudniłem się w Muzeum Diecezjalnym w Siedlcach. W dzień byłem kustoszem, sprawującym pieczę nad „Ekstazą św. Franciszka”, wieczorami zaś zastanawiałem się, w jaki sposób sprawić, by arcydzieło wróciło do naszej diecezji.

List z Muzeum Prado był tylko katalizatorem. Wtedy też wpadłem na pomysł aukcji, podczas której „sprzedałbym” obraz kurii drohiczyńskiej. Jej przedstawiciela zaprosiłem wcześniej na to dzisiejsze spotkanie. Chciałem mu powiedzieć, żeby licytował przebijając ofertę Siedlec, a ja i tak sprzedałbym mu obraz za dwadzieścia tysięcy euro. Po wszystkim - zastrzegł się kustosz - przelałbym pieniądze z powrotem na konto kurii. Wiedziałem doskonale, jakie byłyby konsekwencje, gdyby obraz znalazł się nagle w Drohiczynie. Władze diecezji siedleckiej zgłosiłyby sprawę policji i prędzej czy później obraz wróciłby do Siedlec. Dlatego właśnie wciągnąłem w licytację siedlecką kurię. Wicedyrektor Herrera miał być tylko dodatkowym świadkiem.

Przed licytacją dałbym do podpisania wszystkim zainteresowanym dokument, że zrzekają się praw do obrazu na rzecz zwycięzcy aukcji. Ten otrzymałby dokumenty i w ten sposób byłby zabezpieczony przed ewentualnymi roszczeniami rywali - zamilkł na chwilę, a potem, patrząc na mnie, rzekł z uśmiechem wyrażającym rezygnację: - No, ale zjawił się pan i pokrzyżował mi plany. Co pan zamierza teraz zrobić?

- Wszystko w pańskich rękach, panie Romku - rzekłem.

Kustosz spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Jeśli pan teraz stąd wyjdzie bez el Greca, nie powiem o niczym policji - zapewniłem go.

- A jeśli... - oczy kustosza zalśniły buntowniczo, usta ułożyły się w uśmiešku - ... jeśli zechcę zabrać obraz.

- Daleko pan nie ucieknie. Powiadomię policję i złapią pana.

Oczy mu zmatowiały, usta wyprostowały się.

- Jaką mam gwarancję, że mnie pan nie wyda? - zapytał.

- Żadnej. Musi mi pan zaufać. Aha, muszę ostrzec, że gdyby jeszcze raz próbował pan...

- Rozumiem, rozumiem... - Roman Bogusz machnął ręką. - Może się pan nie bać. Nie jestem

głupi.

Odetchnąłem z ulgą.

- Jeszcze jedno pytanie... - rzekłem pokazując mu guzik z greckimi literami „delta” i „theta”, który znaleźliśmy ze „Szczurołapem” po bójce w lesie. - Wie pan, co to jest?

Rzucił okiem na guzik i twarz mu się rozjaśniła:

- No jasne. Taka nasza zabawa.

- Nasza?

- Tych, którzy chcieli sprowadzić el Greca do Drohiczyna. To są jednocześnie inicjały el Greca i pierwsze litery od słów Drohiczyn, Towarzystwo... Takie guziki nosili tylko ci, którzy brali udział w akcji porwania dzieła... No, ale z tym już koniec...

Kustosz odwrócił się do mnie plecami i wpatrywał się w obraz.

- Prawie mi się udało - rzekł smętnie. - Chociaż na chwilę obraz znalazł się w naszej diecezji... - westchnął ciężko i dalej kontemplował dzieło.

Spojrzałem na zegarek. Do dwudziestej trzeciej został kwadrans. Odkaszlnąłem i powiedziałem:

- Już czas, kustoszu... Musi pan iść.

Obrócił się do mnie.

- A tak... - mówił tonem człowieka obudzonego ze snu. - Już pora...

Podał mi rękę.

- Dziękuję, panie Pawle, i do zobaczenia.

- Powodzenia, kustoszu. Niech pan na siebie uważa...

Uśmiechnął się smutno, założył kaptur i odszedł. Patrzyłem jak jego przygarbiona, szybko poruszająca się postać znika w zakrystii. Po chwili zgasło tam światło. Trzasnęły drzwi. W kościele zapadła cisza.

Co sił w nogach pobiegłem na chór i zacząłem się za barierą. Minęło dziesięć minut, potem kwadrans, ale nikt się nie zjawiał. Na zegarku było już pięć po dwudziestej trzeciej, a żaden z uczestników aukcji nie przybył na miejsce. Już miałem wyjść przed kościół, kiedy skrzypnęły drzwi w przedsionku.

To był wicedyrektor Herrera. Szedł główną nawą i rozglądał się na boki, lustrując wyposażenie kościoła. Ledwie jednak zobaczył el Greca, podbiegł do obrazu. W świetle reflektorów widziałem dokładnie twarz wicedyrektora. Oblizywał językiem wargi, intensywnie wpatrując się w arcydzieło. Co chwila zbliżał do płótna rękę, ale zaraz ją odsuwał, jakby bał się dotknąć malowidła.

Skrzypnęły drzwi wejściowe. Herrera obrócił się gwałtownie. Przez główną nawę szybkim, pewnym krokiem szedł ojciec Marcin Darski, szara eminencja kurii w Drohiczynie. „Spóźnił się...” - pomyślałem mimowolnie.

Fałdy brązowego habitu tańczyły, jakby wzburzył je niewidzialny wiatr. Zakonnik skinął powściągliwie głową wicedyrektorowi, stanął prosto przed obrazem i włożywszy dłonie w rękawy habitu przyglądał się el Grekowi spod przymkniętych powiek.

Kilka minut po nim przybył jego brat bliźniak, Maciej Darski, wikariusz siedleckiej katedry. Wpadł do kościółka jakby został wystrzelony z procy, ale kiedy zauważył stojących przy obrazie ludzi, zatrzymał się, a po chwili podszedł do oświetlonej strefy. Znajdujący się tam ludzie nie zareagowali na jego przybycie. Ojciec Marcin trwał w swojej niewzruszonej pozycji, a wicedyrektor Herrera, teraz już siedzący w pierwszym rzędzie ławek, myślał nad czymś intensywnie. Wyciągnąłem z kieszeni aparat i zrobiłem im zdjęcie. Upewniłem się, że udało się i uznałem, że najwyższy czas,

żeby się ujawnić, tym bardziej że Marcin Darski zaczął już nerwowo spoglądać na zegarek. Podniosłem się z kucek i rzekłem głośno:

- Witam panów serdecznie - obecni w kościele jak na komendę spojrzeli w moją stronę.

Zszedłem z chóru, czując ich spojrzenia na sobie. Przeszedłem nawet główną i wkroczyłem w krąg światła. - Mam dla panów wiadomość - rzekłem, obserwując ich zdębiałe miny: - Licytacja się nie odbędzie.

- Co? - ojciec Marcin postąpił krok do przodu, wysuwając ostry podbródek, oczy zaszły mu gniewem, w głosie brzmiała pretensja i niedowierzanie: - Co pan wygaduje, Panie Samochodzik?

- To co ojciec słyszał - rzekłem twardo. - Licytacji nie będzie.

- Zaraz, zaraz, Marcin. Nie tak ostro! - brat bliźniak zakonnika, wikariusz siedleckiej katedry odzyskał już rezon i próbował łagodzić sytuację pojednawczym tonem. - Czy to pan, hmm... - zamyślił się na chwilę szukając odpowiedniego słowa - zorganizował tę aukcję?

- Nie... To nie ja ukradłem obraz el Greca - powiedziałem wesoło, a ksiądz Maciej spiekł raka. - Właśnie przed chwilą udało mi się go odzyskać z rąk przestępców... Mógłbym w tej chwili siedzieć w komendzie, ale zczekałem tu na panów, żeby przedstawić im pewną propozycję...

- Zaraz cię złapię, złodzieju - skoczył na mnie wysłannik drohiczyńskiej kurii. Na szczęście powstrzymał go w ostatniej chwili jego brat. Teraz, skrępowany jego zaskakująco silnym uściskiem, miotał w moim kierunku dalsze groźby: - Zaraz wezwę policję. Zgnijesz w więzieniu!

- Niech się ojciec tak nie gorączkuje - rzekłem hardo. - Policja zaraz tu będzie... Sam ją wezwałem.

Zakonnik osłupiał. Przestał wyrywać się bratu. Słuchał mnie teraz uważnie.

- Kiedy zgromadzili się panowie w kościele, zrobiłem wam piękne grupowe zdjęcie. Myślę, że policję może zainteresować to, skąd wiedzieliście, gdzie i kiedy będzie się znajdował obraz...

- A więc szantażuje nas pan? - ojciec Maciej spojrział na mnie podejrzliwie.

- Nie, chciałem tylko mieć pewność, że mnie panowie wysłuchają...

- Puść mnie, Maciek - powiedział do brata zakonnik, a kiedy ten go posłuchał, poprawił habit. Objął dłonią czoło, przez chwilę nad czymś się zastanawiał, a w końcu powiedział: - Czego pan chce?

- Jeżeli ojciec pozwoli, najpierw przetłumaczę treść naszej rozmowy dyrektorowi Herrerze - wskazałem na stojącego obok obrazu urzędnika, który z szeroko otwartymi oczami wsłuchiwał się w niezrozumiałą dla niego konwersację. - Czy możemy dalej rozmawiać po angielsku?

Bracia bliźniacy kiwnęli głowami niemal w tym samym momencie, a ja opowiedziałem Herrerze, co tu zaszło. Potem zwróciłem się do wszystkich obecnych:

- Wiem na pewno, że przyczyną kradzieży el Greca był konflikt dotyczący praw do własności obrazu pomiędzy diecezjami drohiczyńską i siedlecką...

- Oskarża mnie pan o kradzież? - ojciec Marcin zrobił się czerwony na twarzy, ale uspokojony przez brata, który położył rękę na jego ramieniu i szepnął mu coś do ucha, pozwolił mi mówić dalej.

- Dlatego cała ta przykra sprawa powinna zakończyć się likwidacją tego konfliktu...

- Ciekawe w jaki sposób? - zapytał zaczepnie zakonnik.

- Bardzo prosty. Wystarczy, że obraz będzie przebywał na zmianę po pół roku w każdym Muzeum Diecezjalnym, a u notariusza spisze się akt, który będzie poświadczał, że arcydzieło jest własnością obu kurii.

Duchowni milczeli przez chwilę. Ciszę przerwał wikariusz siedleckiej katedry, który ze

sprytnym uśmiechem na twarzy powiedział:

- Zgoda. Dogadamy się potem, Marcin! - rzucił i ruszył do drzwi wyjściowych.

- Chwileczkę - zatrzymałem go delikatnym gestem. - Najpierw spisujemy umowę.

- Umowę?

- Dobrze słyszałeś, umowę! - powiedział śmiejąc się triumfalnie jego brat. - Dobrze, Panie Samochodzik! Mój brat to szczwany lis. Pan oddałby obraz policji, a braciszek dostałby ataku amnezji i obraz byłby dalej w Siedlcach.

- Nie może mnie pan zmusić... - zaproponował ksiądz Maciej. Wyglądał na obrażonego tym, że udało mi się przejrzeć jego plany. Odepchnął moją rękę spoczywającą na jego ramieniu i szybko skierował swoje kroki do wyjścia.

- Mam zdjęcie - rzuciłem za nim.

Przystanął i odwrócił się.

- Tym razem wygrałeś - wycelował palcem w brata. - Ale to nie koniec!

- Dobra, dobra - powiedział wyraźnie zadowolony ojciec Marcin. - Marudzisz jak zawsze.

Po dziesięciu minutach na umowie stanowiącej o tym, że obraz będzie eksponowany w Siedlcach od stycznia do czerwca, a przez pozostałą część roku w Drohiczynie, znalazły się podpisy bliźniaków i, jako świadka, wicedyrektora Herrery.

- To co, mogę już odejść? - zapytał naburmuszony wikariusz siedleckiej katedry.

- Nie widzę przeszkód - odpowiedziałem, a on opuścił kościół.

Jego brat, ojciec Marcin z Drohiczyna, długo ścisnął mi rękę przy pożegnaniu.

- Podoba mi się sposób, w jaki pan to załatwił. Opowieści o panu nie są przesadzone - chichotał cicho. - Mój braciszek musiał obejść się smakiem. No i przede wszystkim dziękuję panu, że el Greco będzie teraz mógł cieszyć oczy mieszkańców Drohiczyna.

- A w Siedlcach nie mógł cieszyć ich oczu?

- No tak... - uśmiechnął się łobuzersko - ale tak chyba będzie sprawiedliwiej... Do zobaczenia, panie Pawle - rzekł zakonnik i odszedł.

W otwartych drzwiach zobaczyłem jeszcze, jak wychodzi z kościoła, narzuca na głowę mnisi kaptur i znika w ciemnościach nocy.

- Panie Pawle - cichy głos Herrery wyrwał mnie z zamyślenia - czy to co się zdarzyło - wicedyrektor patrzył zawstydzony na czubki doskonale wypastowanych butów - mogłoby zostać między nami?

- Errare humanum est - odpowiedziałem. - Zdaję sobie sprawę, że to była dla pana wielka pokusa...

- No właśnie - przytaknął ochoczo Herrera. - Taki obraz za takie małe pieniądze. Głupio zrobiłem, że się połasiłem.

- Nie mówmy już o tym, dyrektorze. Wystarczy, że wypożyczy pan muzeum w Siedlcach jeszcze jakieś obrazy, powiedzmy Velazqueza, i sprawa nie wyjdzie na jaw.

Herrera pokręcił kilka razy głową uśmiechając się pod nosem, a potem rzekł:

- Polska kultura ma szczęście, że jest pan jednym z jej strażników. Umie pan dbać o jej interesy lepiej niż niejeden rząd... - umilknął na chwilę, ale widząc moją groźną minę dodał szybko:

- Oczywiście, oczywiście proponuję dyrektor Jankowskiej taką wymianę za znakomite ikony ze zbiorów Muzeum Diecezjalnego. Przecież współpraca pomiędzy naszymi placówkami powinna być dłuższa niż jeden tylko epizod z el Grekiem...

- I ja tak uważam - powiedziałem z uśmiechem. - Cieszę się, że się rozumiemy.

- Pójdę już - Herrera wyciągnął rękę na pożegnanie. - Policja zdaje się zaraz tu będzie?

Spojrzałem na zegarek.

- Za pięć minut - odparłem i podałem mu rękę.

Wyszedł cicho. Po chwili spokój letniej nocy zakłócił warkot jego samochodu.

Inspektor Tomaszewski dotrzymał słowa. Punktualnie kwadrans przed północą podjechały trzy policyjne radiowozy. Funkcjonariusze cicho wsypali się do kościoła. Na ich czele kroczył Tomaszewski.

- Jak pan widzi, inspektorze, udało mi się! - powiedziałem głośno, wskazując na obraz.

- Cieszę się - rzekł inspektor, ale w jego głosie nie było słyhać radości. - Co z tą drugą kradzieżą o której pan wspominał? Czy tajemniczy informator się odezwał?

Złapałem się za głowę. Na śmierć zapomniałem o Agnieszce i „Dylanie”! Mieli dać znać, gdyby Malinowski zrobił coś podejrzanego. Sprawdziłem telefon, ale nie nadeszła żadna nowa wiadomość.

Czyżbym pomylił się co do Malinowskiego? Może rzeczywiście miał dzisiaj wieczorem randkę? A jeśli moim współpracownicy poszli za nim i coś im się stało? Wolałem o tym nie myśleć i postanowiłem zabić niepokój gorączkowym działaniem.

- Proszę za mną inspektorze! - wykrzyknąłem i pociągnąłem go za rękaw w stronę drzwi kościoła.

Inspektor postawił opór, a kilku jego ludzi sięgnęło do kabur.

- Spokojnie, chłopcy - powstrzymał ich policjant gestem. - Zajmijcie się obrazem. Będę w komendzie za dwie, trzy godziny - dodał i podążył moim śladem.

Nerwowym krokiem kierowałem się do wehikułu.

- Może pojedziemy którymś z radiowozów? - zaproponował Tomaszewski ostrożnym tonem, jakim mówi się do ludzi niespełna rozumu. - Będzie chyba szybciej niż tym pana... - chwilę szukał właściwego słowa - ...pojazdem.

- Proszę wsiadać - ponaglałem go, nie zważając na te słowa. - Mój wóz to jedna z najszybszych maszyn jeżdżących po polskich szosach - rzuciłem uruchamiając silnik.

Mina policjanta świadczyła o tym, że gdyby był gorzej wychowany, pewnie stuknąłby się kilka razy w czoło.

- Niech pan chwilkę zaczeka - powiedział i pobiegł do najbliższego stojącego radiowozu.

Wrócił z przenośnym policyjnym kogutem. Wsiadł, zatrzasnął drzwiczki, umieścił koguta na dachu i uruchomił go. Usłyszeliśmy przeraźliwe wycie, a ziemię wokół wehikułu omiotło pulsujące, niebieskie światło. Inspektor zapiął pasy i milczał.

Wyjechałem na szosę i przełączyłem wehikuł na tryb rajdowy. Kiedy wskazówka prędkościomierza osiągnęła dwieście kilometrów na godzinę, inspektor Tomaszewski postanowił to skomentować:

- No, no, nieźle pruje ta pańska poczwa... - ugryzł się w język - ...maszyna.

W niecałe pół godziny dotarliśmy do Siedlec. Pędziłem drogą dojazdową do zalewu, aż nagle, na poboczu, w światłach mojego wozu, ujrzałem machającą do nas Agnieszkę. Zatrzymałem się i jadąc na wstecznym biegu zrównałem się z dziewczyną. Wtedy stanąłem.

- Rozładował mi się telefon i dlatego pana nie zawiadomiłam - wyrzuciła zdyszonym głosem. - Malinowski przed godziną poszedł do miasta. „Dylan” go śledzi. Ja zostałam, żeby na pana zaczekać. Nie mam pojęcia, gdzie ich szukać! - powiedziała, a łzy pociekły jej po policzkach. - Tak

zawiedliśmy...

- Głowa do góry! Wsiadaj szybko! - pocieszyłem ją i dodałem tknięty nagłą myślą: - Chyba wiem, dokąd poszedł Malinowski.

- Naprawdę? - popatrzyła z niedowierzaniem, przecierając twarz. - To czemu tam nie jedziemy?

- Dobre pytanie - rzekłem i zawróciwszy, pomknąłem w kierunku centrum.

- Czy może pan wyłączyć tego koguta, panie inspektorze? - poprosiłem policjanta w połowie ulicy Piłsudskiego, a on mnie posłuchał.

Dojechałem do końca arterii i na wąskim placu skręciłem w lewo. Byliśmy na ulicy biskupa Świrskiego, u której końca znajdowało się Muzeum Diecezjalne. Wyłączyłem światła i zmieniłem tryb pracy wehikułu na miejski, który był cichszy od rajdowego. Po kilku chwilach wjechałem w biegnącą po lewej ulicę Joselewicza i zgasłem silnik.

- Dalej idziemy piechotą - oświadczyłem towarzyszom.

- Ale dokąd? - zapytali niemal jednocześnie inspektor Tomaszewski i Agnieszka.

- Nie powiedziałem wam? - zdziwiłem się. - No tak. Idziemy oczywiście do Muzeum Diecezjalnego. Agnieszko, wypatruj „Dylana”.

Opuściliśmy samochód, przeszliśmy na drugą stronę jezdni i zaczęliśmy skradać się w górę ulicy. Szliśmy tak, żeby nie dosięgało nas światło padające na ulicę z nielicznych już o tej porze rozświetlonych okien. Po dziesięciu minutach byliśmy pod katedrą. Agnieszka, która szła przodem, odwróciła się do nas.

- Tam jest „Dylan” - wyszeptala i wskazała palcem na przyporę katedry, w której cieniu sam się wczoraj chowałem. Zgarbieni, kryjąc się przed światłem latarń, podbiegliśmy do niego.

- Szedłem za nim od samego obozu - relacjonował „Dylan”, który ku memu zdziwieniu nawet w nocy nie zdjął ciemnych okularów. - Najpierw odwiedził mieszkanie na starym mieście, a potem, w towarzystwie dwóch gości wyglądających mi na murarzy, przyszedł tutaj. Wspięli się na rusztowanie, na pierwsze piętro. A potem zniknęli w środku.

- Nie wychodzili? - upewniał się inspektor Tomaszewski.

- Siedzę tu przez cały czas. Z tej strony na pewno nie...

- Pójdzie pan ze mną panie Pawle? - zwrócił się do mnie policjant.

- Oczywiście - powiedziałem i ruszyłem za policjantem, który już zmierzał w kierunku rusztowania.

- A co z nami? - Agnieszka złapała mnie za koszulę.

- My też chcemy iść! - krzyknął cicho „Dylan”.

- Może być niebezpiecznie... - odparłem.

- Nie boję się - rzekł hardo chłopak.

- Ani ja! - zawtórowała mu dziewczyna.

- Weźcie aparat - podałem im moją cyfrówkę. - Ma niezłe zbliżenie, a przy okazji udokumentujecie akcję.

Agnieszka niechętnie przyjęła aparat i fuknęła:

- Haruj człowieku, a potem inni spijają śmietankę sukcesu!

- Nie bójcie się - zapewniłem moich pomocników. - Zadbam, żeby was doceniono.

- Nie o to chodzi! - powiedział „Dylan”. - My chcemy po prostu przeżyć przygodę!

- Nie proś się, „Dylan”... - rzekła Agnieszka. - To bez sensu.

Zostawiłem ich pod przyporą i pobiegłem za Tomaszewskim, który w czasie mojej kłótni z

młodzieżą zdążył wspiąć się na pierwsze piętro. Nawoływał mnie teraz niecierpliwie:

- Szybciej, panie Pawle!

Po chwili byłem obok niego.

- I co teraz robimy? - zapytał.

- Schowajmy się pod tą plandeką - zaproponowałem, wskazując na płachtę, pod którą był ukryty dziwny kufer z przegródkami.

Materiał był tak duży, że bez problemu nas zakrył. Czekaliśmy w milczeniu. Wreszcie usłyszeliśmy powolne kroki, a potem ciężkie sapanie.

- Dużo jeszcze? - zapytał ochryply z przepalenia głos, którego wydał mi się znajomy, ale nie umiałem go przypisać do konkretnej osoby.

- Nie gadaj tyle, tylko pakuj to do skrzyni i wracaj do muzeum! - tym razem bez problemów zidentyfikowałem kierownika Malinowskiego.

Czyjeś ręce podnosiły plandekę.

- Teraz! - inspektor Tomaszewski wymierzył mi kuksańca w bok.

Wyskoczyliśmy jak diabły z pudełka. Inspektor wymierzył pistolet w osłupiałych przestępców. Ja zaatakowałem słowem:

- Koniec zwiedzania, chłopcy! Rączki do góry!

Niski człowiek w ubraniu poplamionym białą farbą wypuścił ikony, które zastukały głucho o drewnianą platformę rusztowania i wyciągnął rękę w stronę Malinowskiego:

- To on mnie do wszystkiego namówił, panie władzo! - chrypiał, a ja rozpoznałem w nim majstra budowlanego, który kilka dni temu przeproszał mnie za to, że o mało co nie wylał mi na głowę wiadra farby. - Powiedział, że jak postawimy kufer na rusztowaniu i zostawimy na noc uchylone okno, to się nieźle obłowimy. On to wymyślił, panie władzo!

- Będiesz się tłumaczył później! - wypalił Tomaszewski. - Nie słyszałeś, gruby? - powiedział do Malinowskiego. - Odłóż ikony i rączki do góry! - Malinowski niechętnie wykonał jego polecenie. Miał żal w oczach, kiedy delikatnie kładł swoją zdobycz na skrzyni.

Pomogłem inspektorowi skuć złoczyńców kajdankami. Inspektor wezwał pomoc i po godzinie wszyscy byliśmy na dole. Malinowski, razem z dwoma współnikami (trzeci ze złodziei stał na czatach i ujął go nadjeżdżający patrol) odjeżdżał do komendy policji, a Agnieszka, „Dylan”, inspektor Tomaszewski i ja pochyliliśmy się nad skrzynią z aluminiowymi okuciami, którą udało się zdjąć z rusztowania za pomocą bloczka i liny. Inspektor Tomaszewski uchylił wieka kufra i zobaczyliśmy, że pomiędzy przegródki powkładane są ikony.

Tomaszewski aż zagwizdał, kiedy to zobaczył.

- No ładnie... - powiedział. - Dobrze, że ich złapaliśmy. Ale jak pan wpadł na trop tej kradzieży?

- To zasługa tych młodych ludzi - wskazałem na moich współpracowników. Chociaż było ciemno, widać było, że oboje spiekli raka. Opuścili skromnie głowy.

- Oni go wytropili? Te dzieciaki? - zdziwił się inspektor.

- No, no, panie władzo! - oburzył się „Dylan”. - Tylko nie dzieciaki. Mamy już siedemnaście lat.

- Przepraszam. Nie chciałem was urazić - tłumaczył się inspektor. - Więc jak to było z tym śledztwem?

- Może ja powiem - wtrąciłem się, dając znak młodym współpracownikom, żeby pozwolili mi załatwić tę sprawę. - Od kierownika Malinowskiego dowiedziałem się, że interesuje go wystawa ikon w Muzeum Diecezjalnym. Agnieszka i „Dylan”, przepraszam, Zbyszek, z dużym poświęceniem

zdobyli paragon, który świadczył o tym, że kierownik Malinowski, to znaczy człowiek, którego tam na rusztowaniu nazwał pan „grubym”, zakupił w Siedlcach skrzynię z przegródkami do przewozu obrazów. Dziwnym jednak trafem nikt u niego tej skrzyni nie widział. Zupełnym przypadkiem - przypomniałem sobie swoje włamanie do Muzeum i zawałem na sekundę - udało nam się tę skrzynię wypatrzeć właśnie tu, na rusztowaniu przy Muzeum Diecezjalnym... Potem wystarczyło obserwować kierownika Malinowskiego i poczekać, aż zrealizuje swój nieczyny plan...

- Zaraz, zaraz - inspektor zdjął czapkę i podrapał się w głowę. - Jak udało się wam wypatrzeć skrzynię, skoro była przykryta plandeką?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć.

- Wcześniej jej nie było - uratowała mnie Agnieszka. - Pewnie przykryli skrzynię, bo bali się, że spadnie deszcz. Ostatnio bez przerwy zapowiadają że pogoda ma się popsuć.

- Bardzo to dziwne... - Tomaszewski był całkowicie zdezorientowany. - Oglądam prognozę codziennie po dzienniku i mówili, że przez następny tydzień ma być piękna pogoda.

- U nas w obozie nie ma telewizora - wyszczerzył się do Tomaszewskiego „Dylan”. - Słuchamy tylko radia. Sam pan wie, panie inspektorze, jak bardzo różnią się czasem od siebie zapowiedzi meteorologów.

- Tak, tak. No cóż, dziękuję wam i panu, panie Pawle. Proszę się u mnie zjawić jutro w komendzie, żeby złożyć zeznania dotyczące dzisiejszych wydarzeń. Nie będę was dłużej zatrzymywał, jesteście pewnie bardzo zmęczeni. Dobrej nocy!

Aresztowanie kierownika Malinowskiego, który przyznał się nie tylko do kradzieży ikon, ale też do wsypania mi cukru do silnika, spowodowało, że pożegnalne ognisko, na które zapraszał mnie szef pleneru, nie odbyło się.

Zaniepokojeni rodzice przybyli następnego dnia po swoje pociechy, żeby zabrać je do domu. Dowiedziałem się o tym, kiedy Agnieszka i „Dylan” przyszli do mnie o jedenastej i przerwali mój zasłużony odpoczynek.

- Przyszliśmy się pożegnać - powiedziała dziewczyna, odslaniając wejście do namiotu i wpuszczając do środka promienie słoneczne.

Wygrzebałem się ze śpiwora, ubrałem i wyszedłem z namiotu.

- To był fajny plener - powiedział „Dylan”, podając mi rękę.

- Dzięki panu przeżyliśmy wreszcie jakąś prawdziwą przygodę - rzekła Agnieszka, żegnając się ze mną.

- Mam nadzieję, że nie ostatnią - rzekłem. - Może się kiedyś jeszcze spotkamy - powiedziałem. - Zaczekajcie - powstrzymałem ich gestem, bo już zbierali się do odejścia. - Mam dla was prezenty.

Wskoczyłem do namiotu i po chwili wyszedłem z niego z dwoma książkami.

- Dla ciebie, Agnieszko, album z obrazami el Greca - wręczyłem jej spory tom. - Żebyś zawsze pamiętała, że detektywistyczna robota, to nie tylko praca w terenie, ale też mozolne poznawanie źródeł. A dla ciebie, „Dylan” - podałem mu małą książeczkę - „Sennik Artemidora”. Poeta powinien znać się na snach.

- I my dla pan coś mamy! - powiedział „Dylan”. - Wczoraj w nocy trudno nam było usnąć i ułożyliśmy nową piosenkę o panu i el Grecu.

- Zaczekajcie - powiedziałem. - Napijemy się jeszcze czekolady!

Po chwili siedzieliśmy wokół maszynki, na której gotowało się mleko. „Dylan” trącał struny gitary i razem z Agnieszką śpiewali:

*Siedlce i Drohiczyn spór wiodły zacięty,
Gdzie obraz umieścić z niebem oraz świętym.
Przyjechał Pan Samochodzik,
Zwaśnione strony pogodził.
El Greca dla widzów czyniąc znów dostępnym.*

ZAKOŃCZENIE

- Czy wie pani, że kabała, którą mi pani postawiła kilka dni temu, sprawdziła się co do joty? - rzekłem, patrząc na Annę Jankowską, która nalewała mi kawę do filiżanki.

- Naprawdę? - pani dyrektor po raz kolejny tego popołudnia obdarzyła mnie uśmiechem.

Była wyjątkowa miła od chwili, kiedy zadzwoniła do mnie z wiadomością że inspektor Tomaszewski poinformował ją że dzięki mojej wydatnej pomocy udało się odzyskać „Ekstazę św. Franciszka”. Uznała, że spotkanie ze mną „będzie dla niej zaszczytem”, a kwiaty, które przyniosłem do muzeum określiła jako „najpiękniejsze, jakie dostała w życiu”.

- Każde słowo wróżby było prawdą - rzekłem.

- I kto był tym waletem pik, z którym musiał się pan zmierzyć w walce o el Greca?

- Hmm... Tego nie mogę powiedzieć. Tajemnica śledztwa.

- Naprawdę musi pan już wyjeżdżać? - kilka minut wcześniej oświadczyłem jej, że za dwie godziny opuszczam Siedlce.

- A chciałyby pani, żebym został?

- Roman Bogusz pokazałby panu całą okolicę. Moglibyście pojechać do Drohiczyzna. Czy pan wie, że on stamtąd pochodzi?

- Coś mi o tym wspominał... - odpowiedziałem pod nosem. - Wie pani, myślałem, że może pani będzie moim przewodnikiem...

- Tak mi przykro - powiedziała i było widać, że jest szczerą. - Bardzo chętnie pokazałabym panu naszą uroczą okolicę, ale Juan... to znaczy dyrektor Herrera zaprosił mnie do Madrytu. Powiedział, że chciałby zacieśnić współpracę między naszymi placówkami. Mam z nim pojechać do Hiszpanii, żeby zobaczyć jak u nich dba się o dzieła klasy el Greca, a poza tym wybrać kilka obrazów z ich zbiorów na wystawę, która odbędzie się tu w przyszłym roku... Niech pan zgadnie, dzieła jakiego malarza obiecał wypożyczyć nam dyrektor? - Anna Jankowska miała policzki rozpalone od emocji.

- Niech no pomyślę... - udałem, że się zastanawiam, żeby nie psuć jej radości. - Może Velazqueza?

- Skąd pan wiedział? - zapytała. - Ma pan niezwykle umiejętności mediumiczne! Powinien pan się kształcić w tym kierunku. Jeśli pan chce, mogę pana poznać z kilkoma osobami...

- Dziękuję - odparłem z uśmiechem - ale chyba pozostanę przy zwyczajnej dedukcji. Jak dotąd się sprawdzała.

- Karty też się sprawdziły - powiedziała, jakby lekko urażona.

- No tak - próbowałem ją udobruchać. - Przepraszam, ale jestem wykończony. Mało wczoraj spałem. Stąd ta szorstkość.

A naprawdę szorstkość wynikała z wściekłości na wicedyrektora Herrere. „Nazwała go Juanem! Szczwany hiszpański lis! Już ją omotał. Wykorzystał karę, jaką mu wyznaczyłem, do uwiedzenia pani dyrektor!” - myślałem rozzalony.

Kilka minut piliśmy kawę żartując i umawiając się na spotkanie, gdy będę przejazdem w okolicy Siedlec.

- Muszę już się zbierać - powiedziałem wreszcie, wypiwszy ostatni łyżeczek kawy. - Jeśli mam dotrzeć do Warszawy, nie wpadając po drodze na jakieś drzewo... - a widząc jej przerażoną minę, dodałem szybko: - To taki żart muzealników, nie zna go pani? Obiecuję, że jeśli poczuję się zmęczony, zatrzymam się i odpocznę.

- Niech pan się trzyma, panie Pawle. Szerokiej drogi!

- Do zobaczenia, pani dyrektor. Miłej podróży do Hiszpanii! I niech pani stamtąd przywiezie jakieś skarby do Polski.

Odprowadziła mnie przed muzeum i długo machała ręką kiedy odjeżdżałem wehikułem w stronę ulicy Piłsudskiego.

Wracając do domu chciałem zahaczyć jeszcze o samotnię „Szczurołapa”, ale los zetknął nas wcześniej. Tak jak wtedy, gdy jechałem do Siedlec wyjaśnić sprawę zagadkowego anonimu, szedł drogą z korowodem zwierząt: tym razem były to kot, kaczka i tchórzofretka. Zobaczył wehikuł i pozdrowił mnie.

Stałem przy drodze i zaczekałem, aż się do mnie zbliży. Zatrzymał się i tchórzofretka wskoczyła mu na ramię, kot zniknął w zbożu, wyrastającym obok szosy, a kaczka zajęła się poszukiwaniem jedzenia na poboczu.

Podaliśmy sobie ręce.

- Udało się panu znaleźć to czego pan szukał? - pytanie zabrzmiało filozoficznie i postanowiłem na nie opowiedzieć w tym samym tonie.

- Jedno znalazłem, ale drugie zgubiłem.

- To się zdarza... - powiedział i poklepał mnie po ramieniu. - Wpadnie pan do mnie na chwilę?

- Właśnie do pana jechałem, żeby podziękować za pomoc i pożegnać się, ale skoro spotkaliśmy się po drodze... Jeśli pan chce, to pana podwiozę...

- Chyba jednak się przejdę.

- W takim razie do zobaczenia - wyciągnąłem rękę.

- Oby szybkiego - uściśnął ją mocno. - Gdyby już znudził się panu wyścig szczurów, może pan przyjechać do mnie... Zresztą niech pan wpada jak najczęściej.

Wsiadłem do wozu.

- Dziękuję panu, „Szczurołapie”! - wykrzyknąłem przez otwarte okno, ruszając.

- Za co? - odkrzyknął mi wędrowiec.

- Za to, że pan mieszka w lesie w imieniu nas wszystkich!

Nie usłyszałem, co mi odpowiedział. Pędziłem już w stronę Warszawy, za plecami zostawiając piękną siedlecką przygodę.

Następnego dnia, zaraz po wejściu do mojego małego gabinecziku na końcu korytarza, znalazłem na biurku kartkę od Alfreda Kobyłki. Prosił, żebym przyszedł do niego zaraz po przyjeździe z Siedlec. Z duszą na ramieniu zapukałem do jego drzwi.

- Proszę - odezwał się ze środka nieprzyjemny głos specjalisty od zarządzania zasobami ludzkimi.

Wszedłem do przestronnego gabinetu. Chociaż władza Kobyłki zmalala ostatnio po tym, jak niefortunnie bawił się w detektywa, jego miejsce pracy ciągle wyglądało imponująco. Przestronne gabloty z cennymi eksponatami zabranymi przemytnikom i wielkie dębowe biurko, zza którego ledwo go było widać.

- Usiądź, Pawle - powiedział uprzejmie, a ja wzmacniłem czujność. „Czyżby znów chciał mnie zwolnić?” - pomyślałem.

- Napijesz się czegoś? - zaproponował, a kiedy odmówiłem, podsunął mi pod nos jakieś dokumenty i powiedział przymilnym, chociaż nieznoszącym sprzeciwu tonem:

- Podpisz proszę...

- Co to jest? - spytałem, nie zwracając uwagi na papiery.

- Twoja delegacja do Siedlec. Wasz departament, dzięki akcji zorganizowanej przeze mnie, odniósł wielki sukces. Udało się nam odzyskać obraz el Greca. Ta delegacja to tylko formalność - mówił z uśmiechem na twarzy.

- Co ty wygadujesz? - zachnąłem się. - Byłem tam przecież na urlopie.

- Ale jako urzędnik ministerstwa. Nikt nie musi wiedzieć, że się tam wczasowałeś.

- Chcesz sobie przypisać nasz sukces? - podniosłem się z krzesła i wymachiwałem ręką przed nosem Kobyłki. - Wrócić do łask ministra wspinając się po naszych plecach? Po moim trupie! - warknąłem.

- Ja! - Kobyłka wskazał na siebie i zrobił zdziwioną minę. - Ależ skąd! Chcę mieć tylko dobry powód, żeby móc dofinansować wasz niesłusznie zaniedbywany departament. No, podpisz - uśmiechnął się zachęcająco i stuknął kilka razy w dokumenty. - Wszystkim to wyjdzie na dobre...

Niechętnie złożyłem parafkę na dokumentach. Trzaskając drzwiami wyszedłem z gabinetu i poszedłem do szefa.

- Cieszę się, że już jesteś, Pawle! - pan Tomasz wstał zza biurka i złapał mnie za ramiona. - Twoja sława cię wyprzedza. O odzyskaniu el Greca pisały na pierwszych stronach wszystkie krajowe dzienniki! Jesteś bohaterem.

- Wie pan, że nie robiłem tego dla sławy - burknąłem.

- Za dobrze cię znam, żeby tak pomyśleć... - odpowiedział i spojrzał na mnie zmartwiony. - Czemu spuszczasz nos na kwintę? Aaa... Pewnie byłeś już u Kobyłki... Nieźle to sobie spryciarz obmyślił.

- Nie o to chodzi - bąknąłem.

- No tak, teraz już wiem - szef przyglądał mi się od dłuższej chwili. - W twoim wypadku jak nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o kobietę. Trafiłem?

- W dziesiątkę, panie Tomaszu - rzekłem i opadłem na fotel przed jego biurkiem.

Siedzieliśmy chwilę w ciszy.

- Nie zapytałeś mnie... - zagaił tajemniczo szef.

- O co, szefie?

- Nie zapytałeś mnie, dlaczego mam taki dobry humor.

- Dlaczego ma pan taki doskonały humor, szefie? - powiedziałem automatycznie.

- Bo błogosławiona Dorota straszy! - powiedział.

Spojrzałem na pana Tomasza z obawą.

- Błogosławiona Dorota z Mątówów? Przecież błogosławieni nie straszą.

- A jednak ona uparła się, żeby straszyć - uśmiechnął się tajemniczo.

Przypomniałem sobie tak pilnie śledzoną przez mnie sprawę badań w katedrze w Kwidzynie. Kilkoro archeologów-zapaleńców postanowiło odnaleźć tam grób błogosławionej Doroty z Mątówów, pomezjańskiej mistyczki.

Kilka dni przed moim wyjazdem do Siedlec udało im się odkryć kryptę, w której spoczywali

trzej wielcy mistrzowie zakonu krzyżackiego. Prasa nazywała ich „mistrzami wyklętymi”, ponieważ każdy z nich miał w życiu jakieś niechlubne wydarzenie i z tego powodu pochowano ich właśnie w Kwidzynie, a nie na zamku w Malborku.

- Czy to ma coś wspólnego z „mistrzami wyklętymi”? - zapytałem, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

- Tak mi się wydaje. Dziwi mnie nagła aktywność błogosławionej Doroty. Sprawa wygląda mi bardziej na działanie żywych niż zmarłych. Tak samo uważa kierownik poszukiwań w kwidzyńskiej katedrze, który do mnie napisał.

- Trzeba to sprawdzić - powiedziałem.

- Dostaliśmy dodatkowe pieniądze na działalność departamentu, więc pojedziesz tam służbowo...
- pan Tomasz rzucił mi przenikliwe spojrzenie i uśmiechnął się łobuzersko. - Nie patrz tak na mnie!
Nie dam ci urlopu, przecież dopiero co wróciłeś z wakacji!